

Birkner Friede

Amor w tarapatach

Urocza i piękna Christa Hartung wraz ze swą przyjaciółką płyną luksusowym parowcem do Chin, które również są celem wyprawy przystojnego "króla stali" i jego sekretarza. Z różnych powodów czwórka bohaterów pozamieniała się nazwiskami. Biedny Amor godzący miłosnymi strzałami w serca pasażerów "Oceany" zupełnie się pogubił... Tymczasem nad głową jednego z nich, zajętego miłosnymi rozterkami, zbiera się groźna burza.

Egzotyka Dalekiego Wschodu, mroczne zagadki świątyń, których nie widziały oczy białego człowieka, intrygi, porwania, zdrady oraz pasjonujące przygody to niewątpliwe zalety tej niecodziennej podróży na kartach powieści Friedy Birkner.

I

Chińczyk uklonił się tak nisko, że Robert Bredow nie zauważył, fałszywego uśmiešku na jego twarzy.

— Czy mam powtórzyć pani, żeby nie czekała na pana z podwieczorkiem? Pani będzie przykro i smutno, jeżeli pan nie przyjdzie

— rzekł Kin Lung, stojąc w drzwiach zgięty niemal do ziemi.

— Nie wysilaj się, tylko rób, co ci poleciłem — zdenerwował się Robert i zniecierpliwiony dał Chińczykowi znak, żeby zniknął, po czym zwrócił się do siedzącego obok przyjaciela.

— Sam nie wiem dlaczego, ale ten facet działa mi na nerwy. Chętnie odesłałbym go z powrotem do Chin, ale macocha twierdzi, że bez niego dom by się zawalił. Co ojca napadło, żeby lokaja sprowadzać akurat z Azji?

— Mam wrażenie, że on jest nie tylko lokajem — zauważył Max Rex — o co mu właściwie chodzi, gdy tak ciągle przypomina ci macochę. Stale podkreśla jej ogromne do ciebie przywiązanie. Po co? Sam przecież wiesz najlepiej, że jest dokładnie na odwrót.

Znali się od szkolnej ławki i byli ze sobą blisko zaprzyjaźnieni. Kiedy Robert Bredow objął spadek po ojcu, pierwsze co zrobił, to zatrudnił Maxa na wysokim stanowisku w swojej stalowni, za co ten odplacił mu sumienną pracą, szczerą przyjaźnią i przywiązaniem.

— Skończmy rozmawiać o Kin Lungu i zabierzmy raczej do pracy

— zaproponował Max widząc zdenerwowanie Roberta.

— Człowieku, twój zapał jest godny podziwu! W takim razie siadaj i pisz — uśmiechnął się Bredow i zaczął dyktować następne ważne pismo, którego treści nie chciał ujawniać nawet sekretarce.

*

Liana Bredow siedziała w swoim pokoju przy elegancko nakrytym stole. Wciąż jeszcze piękna kobieta groźnie zmarszczyła czoło, zacisnęła równiutkie białe zęby na karminowych wargach i ze złości tupnęła noga o podłogę. &H

— Mamo, niepotrzebnie się denerwujesz. Jeżeli nie chce przyjść to przecież za włosy go tu nie przyprowadzisz. Nie lubi nas i koniec Powinnaś cieszyć się, że nie jest gorzej — odezwał się Kurt Bredow przyrodni brat Roberta.

Rozsiadł się w fotelu naprzeciwko matki i patrzył na nią z politowaniem.

— Gdybym to ja była tak obojętna i leniwa jak ty, ładnie byśmy dziś oboje wyglądali — złościła się Liana. — Wiesz dobrze, że całkowicie jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę twojego braciszka i dopóki będziemy mu nadskakiwać, wcale na tym źle nie wyjdziemy.

— Ja w każdym razie za ten ochłap, który mi serwuje co miesiąc płaszczyc się przed nim nie zamierzam — odpowiedział Kurt, wrzucił do' kominka niedopałek papierosa i nie spytawszy matki o pozwolenie zapalił następnego.

— Chciałam ci przypomnieć, że w tym miesiącu także dołożyłam ci z mojej nędznej pensji, żebyś mógł zapłacić twoje wygórowane rachunki, — warknęła, co jej się raczej rzadko zdarzało, na uwielbianego syna.

— Voila! Masz kolejny dowód naszego położenia. Nic na to nie poradzisz mamo, że ojciec był tylko czymś w rodzaju zarządcy majątku i stalowni, należących przecież do jego pierwszej żony. Chyba nie liczyłaś na jakiś spadek. Nawet gdyby żył, mógłby rozporządzać pieniędzmi tylko do czasu, gdy jego pierworodny osiągnie pełnoletność. Pewnie otrzymałby u synalka jakąś dobrze płatną posadę, natomiast w testamencie i tak zapisałby nam jedynie bogatego młodego przyrodniego krewnego.

Kurt mówił te słowa z taką pogardą i lekceważeniem, że Liana zerwała się, szarpnęła go mocno za ramię i krzyknęła:

— Posłuchaj! Nie waż mi się nigdy mówić o ojcu takim tonem zwłaszcza w mojej obecności. Chyba zupełnie straciłeś poczucie rzeczywistości. Ty nie rozumiesz, że Robert w każdej chwili może wyrzucić nas z domu? — uspokoiła się trochę, ale wciąż mówiła ostrym tonem. — Nie

ma dnia, żebym nie próbowała dowiedzieć się, co zamierza. Nie potrafię skoncentrować się na prowadzeniu domu, bo cały czas żyję w strachu, że on dziś, jutro może się ożenić. A wtedy twoja szansa na spadek zmaleje do zera. Jesteś jego najbliższym krewnym, ale dziedziczyć możesz tylko w przypadku, jeżeli umrze jako stary kawaler. Na to się jednak nie zanoszą: te hieny, swatki, nie dadzą sobie sprzątnąć sprzed nosa tak wyśmienitej partii. Chyba nie wątpisz więc, że w twoim własnym interesie leży stworzenie Robertowi w domu takiej atmosfery, żeby do głowy mu nie przyszło sprowadzenie jakiejś kobiety.

— Uff! Mogłaś sobie darować to przydługie przemówienie. Wiem aż za bardzo, że muszę być dla braciszka niezwykle uprzejmy i wezmę sobie twoje słowa głęboko do serca.

— Zrobisz to tylko dla swojego dobra, synu.

Drzwi uchyliły się po cichu i ukazała się w nich woskowa twarz Chińczyka.

— Czego chcesz, Kin Lung?

— Przyniosłem rachunki, mrs Bredow — rzekł lokaj, patrząc z oddaniem na Lianę.

Skinęła lekko głową na znak, że zrozumiała.

— Mam zajęcie. Bądź uprzejmy, Kurt, i zostaw mnie teraz samą.

— Z przyjemnością mam. Właśnie chciałem iść do klubu.

— Znowu będziesz grał? — spytała przerażona.

— A na cóż innego mógłbym wydać moją iście królewską gażę?

— No dobrze. Porozmawiamy o tym jutro. Do zobaczenia przy śniadaniu.

Kurt uklonił się, pocałował matkę w rękę i obszedł zgiętego w pół Chińczyka wciąż stojącego w drzwiach. Ledwo zdarzył je zamknąć, Liana spytała:

— I co tam nowego, Kin?

— Słyszałem, że w najbliższym czasie pan wybiera się do Chin. Rozmawiał o tym z panem Rexem przez telefon.

— Dowiedziałeś się, kiedy planuje wyjazd? — spytała Liana mocno zdenerwowana.

— Nie, ale usłyszałem nazwę parowca. To „Oceana”.

Liana złapała leżącą obok gazetę i gorączkowo szukała strony informacyjnej. — Parowce... „Oceana” — wyjazd: pierwszego...

— Mój Boże! To już za kilka dni! Wszystkie moje plany biorą w łeb. I co ja teraz pocznę? — opadła załamana na fotel i zapatrzyła się nieruchomo przed siebie.

Chińczyk bezszelestnie stanął za jej plecami i nerwowo zacierał ręce.

— Może ja źle zrozumiałem, mrs Bredow, ale gdyby pan Robert umarł, to szefem zostałby pan Kurt, prawda?

Liana odwróciła się i przeszła lokaja wzrokiem.

— Co ty kombinujesz, Kin?

— Nic, pani, ale jeżeli ktoś wybiera się w tak daleką podróż, zawsze zachodzi obawa, czy wróci cały i zdrow. Często się słyszy, że w azjatyckich krajach ktoś z Europejczyków zaginął bez śladu.

Kin Lung zerkał, jakie wrażenie zrobią jego słowa na Lianie. Wstrzymała oddech. Po chwili odezwała się stłumionym głosem:

— Powtarzasz jakieś plotki, Kin. Ja tam nie słyszałam o takim przypadku, chociaż o twojej ojczyźnie rzeczywiście mówi się, że to tajemnicza kraina.

— Chińczyk uklonił się nisko, ale nie spuszczał Liany z oczu, aż zmusił ją do odwrócenia głowy. Stał jak gipsowy posąg. Po krótkiej przerwie Liana popatrzyła na niego i odezwała się jakby od niechcienia:

— Gdyby rzeczywiście jakimś cudem mój syn został tu panem, to ty na pewno też byś skorzystał, Kin. Kurt ceni twoje oddanie niemal tak samo jak ja. Dostałbyś oczywiście podwyżkę, ale to tylko gdybanie. Idź już, a jak się czegoś dowiesz, to przyjdź mi powiedzieć.

Chińczyk uśmiechnął się zadowolony, złożył głęboki ukłon i bez słowa wyszedł z pokoju. Liana stała przy oknie nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Do licha! Przypadki chodzą po ludziach, a jeden taki mógłby mnie uwolnić od wszystkich problemów. Nie, o tym nie wolno mi myśleć. Zdać się na los? Kawał łobuza z tego Chińczyka! Ale nie mogę go wyrzucić, bo jeszcze mi się przyda — odeszła od okna i zapatrzyła się we wzór na dywanie. — Mój Boże! Nie mógłbyś zrządzić dla nas takiego przypadku? Och nie! Nie mogę kusić losu. Precz z takimi myślami!

Walczyła ze sobą, ale słowo „przypadek” kojarzące się z ratunkiem dla niej i dla syna, nie dawało jej spokoju i uparcie powracało.

*

— W żadnym razie nie pozwolimy, abyś w tak daleką podróż wybrała się sama z tym młodym człowiekiem — sprzeciwiła się ciotka Eudoksja, jedna z licznych krewnych Christy Hartung. Dziewczyna patrzyła błagalnym wzrokiem na rozzłoszczoną starszą panią i podsuwała jej pod nos kartkę papieru.

— Przeczytaj, ciociu, najpierw list od ojca. Przecież on wcale nie chce, żebym wyjeżdżała bez towarzystwa jakiejś damy.

— I chwała Bogu! Chociaż po twoim ojcu wszystkiego można się spodziewać. Przeczytaj mi ten list, drogie dziecko, bo znowu gdzieś zgubiłam okulary.

— Jak zawsze w decydujących momentach, cioteczko! — zaśmiała się Christa i rozłożyła kartkę.

„Jak już Ci wyjaśniłem, w tym roku nie będę mógł przyjechać do Hamburga, a jaka tęsknota zżera Twojego starego ojca, to sobie nawet nie wyobrażasz. Najlepiej będzie, droga córeczko, jeżeli tym razem Ty przyjedziesz do mnie...

— Stary błazen! Tak jakby podróż do Chin znaczyła to samo co przejażdżka tramwajem — wtrąciła ciotka.

— A nie znaczy? — zdziwiła się Christa. — Wystarczy kupić bilet, wsiąść na statek, przeżyć chorobę morską i wysiąść w Szanghaju. Przecież to bajecznie proste, ciociu! Ale posłuchaj dalej:

„Wiem, że chór Twoich przemiłych ciotek zakrzyczy Cię od razu i nie puści do Chin samej, więc poszukaj dyskretnie jakiejś sympatycznej damy do towarzystwa. Tylko błagam; nie przywoź mi tu żadnej z tych starych hamburskich zrząd — są sztywne i nudne — skonać można...

— Widzę, że twój ojciec nie zmańdrał ani trochę. Gbur i tyle! — skrzywiła się ciotka, ale Christa nie dała się sprowokować.

„Za żadne skarby nie pozwól, aby ciotka Eudoksja lub któraś z jej kumoszek naraiły Ci jakąś wiedźmę, która zepsuje humor nie tylko Tobie, ale wszystkim pasażerom. Nie zwlekaj, skarbie! Pakuj walizki i zaufaj Royowi Harrisonowi, którego Ci polecam, i przyjeżdżaj do Twojego stęsknionego taty.”

Christa odłożyła list i uśmiechnęła się:

— To tyle, cioteczko. Jak widzisz, ojciec pomyślał o wszystkim, a nawet załatwił mi opiekuna na czas podróży.

— Opiekuna? Chyba nie masz na myśli tego młodego nicponia, który ostatnio nie odstępował cię na krok? Nikt nie może zamienić z tobą nawet słowa, żeby ten łobuz nie wtrącił się ze swoimi docinkami lub przynajmniej nie nastawiał ucha.

Ciotka najwyraźniej była w coraz gorszym humorze.

— Mówiąc „nikt”, miałaś pewnie na myśli twojego złociutkiego Hansa. Powiem ci szczerze, ciociu, że każdemu, kto wybawiłby mnie od paplaniny twojego synka, gotowa jestem rzucić się w ramiona

— roześmiała się i nagle spoważniała. — Jeżeli zaś chodzi o tego nicponia — jak go nazwałaś — to nie zapominaj, że poleca go mój ojciec i przez niego zawsze przysyła mi wiadomości. Poza tym ten nicpoń prowadzi w Szanghaju filię przedsiębiorstwa swojego ojca i radzi sobie znakomicie, czego o twoim Hansie raczej powiedzieć nie można. Nie złość się, cioteczko, twój syn ma oczywiście wiele zalet, tyle tylko, że w moich oczach nie znajdują one uznania. Jest na przykład utalentowanym sportowcem.

— Z tobą naprawdę nie można porozmawiać poważnie. Nieobliczalnością już dorównujesz swojemu ojcu. Miałaś ogromnego pecha, że matka umarła ci przy porodzie, zaś ojciec zdziwił się, gdy zobaczył, co sobie wychował. Ciotka Eudoksja aż kipiała z wściekłości, że Christa — doskonała przecież kandydatka na żonę — z lekceważeniem wyraża się o jej synu i wcale się nim nie interesuje. Skoro nie ma już szans na małżeństwo tych dwojga, ciotka nie musiała silić się na uprzejmość.

— Jedno ci powiem, Christo, gdy wrócisz z Chin po tej podróży, w hamburskim towarzystwie nie masz się co pokazywać! — wystrzeliła z najcięższej armaty swój koronny argument.

— Obawiam się, cioteczko, że tego nie przeżyję. Może lepiej od razu zostać w Chinach na stałe? Z pewnością ty też zamkniesz przede mną swój dom, jeżeli odważę się wrócić? Pozostanie mi tylko zarezerwować sobie miejsce pod pręgierzem.

Christa z trudem zachowywała spokój, lecz w jej oczach czaiły się dzikie, sztyletujące błyski. Ciotka zgarnęła kapelusz, płaszcz, parasolkę i torebkę — nieodłączne atrybuty prawdziwej hamburskiej damy

— wzruszyła ramionami i wyszła bez pożegnania. Christa uśmiechnęła się, potem zadzwoniła po pokojówkę.

— Proszę poprosić do mnie pannę Berger i zawiadomić natychmiast, gdy przyjdzie panna Holm
Nucać pod nosem jakąś pogodną melodyjkę, Christa chodziła po pokoju tam i z powrotem. Wielkimi ciemnymi oczyma, pięknie kontrastującymi z jasnymi włosami, które gęstymi puklami opadały na wesołą, uśmiechniętą twarz, rozglądała się po salonie. Ubrała dziś jak zwykle prostą i skromną sukienkę, choć była córką bogatego i znanego nie tylko w Hamburgu przemysłowca. Nie przywiązywała wagi do luksusu — wręcz przeciwnie: stroniła od niego i tak całe miasto aż huczało od plotek na jej temat.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Ach, to pani, Bergerciu! — zawołała Christa na widok starszej pani wchodzącej do salonu. — Nawet sobie pani nie wyobraża, jak mi się dostało od ciotki Eudoksji.

— Wcale się nie dziwię. Jestem też pewna, że ciotka nie wyszła stąd z pustymi rękami, czy raczej uszami, bo nie sędzę, żebyś pozostała jej dłużna chociażby słowo — zaśmiała się panna Berger.

Starsza pani była od lat gospodynią w domu Wenera Hartun-ga i do jej obowiązków należało, prócz prowadzenia domu, głównie wychowanie Christy. Radziła sobie z nią doskonale, co przy wybujałym temperamencie wychowanicy wcale nie było łatwym zadaniem. Z czasem obie kobiety, mimo różnicy wieku, połączyła nić szczerej sympatii, prawie że przyjaźni.

— Pani mnie zna, Bergerciu: prędzej umrę, niż daruję komuś ostatnie słowo. Pan Harrison pewnie przez cały czas miał czkawkę i piekły go uszy, bo ciotka nieźle sobie na nim poużywała.

— Jakbym ją słyszała! Eudoksja nie cierpi młodego Amerykanina, ale są to tak odmienne dwa charaktery, że trudno wymagać, aby się tolerowały.

— Nazywa go nicponiem, pędziwiatrem, a... — Christa przerwała, gdyż za plecami usłyszała nagle czyjś głos:

— Hello! Słyszę, że o mnie mowa. Ktoś podobno za mną tęskni, ale nie dosłyszałem dokładnie kto?

— Niech pan szybko biegnie za ciotką Eudoksją! Biedaczka nie mogła się pana doczekać, na pewno by się ucieszyła

— zawołała Christa

do młodego Amerykanina, który niczym aktor w operetce kłaniał się i całował obie damy w rękę.

— O rety! Wszystko, tylko nie to! Chroń mnie Panie Boże przed ciekawskimi ciotkami.

— I to ma być ta słynna męska odwaga, przed którą my kobiety powinnyśmy mdleć z zachwytu? Bardzo mnie pan rozczarował, panie Harrison!

— Panno Christo, mam nadzieję, że cios, jaki pani zadałem ujawniając własne tchórzostwo, nie okaże się śmiertelny, bo z myślą o przyszłości chciałem obu paniom zaproponować, żebyście mówiły mi po imieniu; po prostu Roy. Zawsze, gdy ktoś powie „panie Harrison”, z niepokojem rozglądam się dookoła, czy przypadkiem za mną nie stoi mój ojciec.

— Skandal! Cały Hamburg stanie na głowie, gdy usłyszy to bezceremonialne „Roy”, ale niech tam! Czego to ja nie zrobię, żeby panu sprawić przyjemność? A skąd nagle tak poważna mina?

— Ach tak! Przepraszam, ale zamyśliłem się. Moja bujna wyobraźnia podsunęła mi obraz ciotki Eudoksji, która przecież należy do hamburskiej śmietanki towarzyskiej, stojącej na głowie. Te falbany... No nie! Niechże spojrzę na pani śliczną buzię, panno Christo, to może szybko odzyskam równowagę.

— Po pierwsze, drogi Royu, złamał pan umowę i znów prawi mi komplementy, po drugie — chce pan zasugerować, że w Ameryce zanikły tak pożyteczne istoty jak stare, gderliwe ciotki.

— Niestety, nie mam na ten temat wyrobionego zdania, bo w istocie u nas w ogóle nie istnieją stare kobiety, a co dopiero ciotki.

— A to heca! Pewnie likwidujecie je zawczasu albo też poznaliście tajemnicę eliksiru młodości, tylko jeszcze świat tego nie wie.

— Ani jedno, ani drugie. U nas po prostu żadna dama nie przyzna się do starości, a nie daj Boże powiedzieć to którejs wprost! Zmieńmy raczej temat. Na pewno nie wie* jeszcze pani, że już zarezerwowałem bilety na „Oceane”

— Wspaniale, Roy! Kiedy wypływamy?

— Za dziesięć dni.

— Litości, panie Roy! —jęknęła panna Berger. — Przecież Christa

nie może płynąć bez damy do towarzystwa, a tej tak szybko nie znajdziemy.

— No tak! Amerykańskiego tempa tu narzucić się nie da. Skądże wytrzasnąć jakąś damę? Zarezerwowałem dla pań dwa bilety, a co zrobimy, jak nikt się nie zgłosi?

W tym momencie pokojówka zawiadomiła, że do Christy przyszła panna Maria Holm, która była nauczycielką języka chińskiego. Roy zerwał się z szeroko rozwartymi ramionami.

— Eureka! Znalazłem! — krzyczał na całe gardło. — Już mam to, co potrzeba — poklepał Christę po plecach.

— Nic nie rozumiem — burknęła, trzymając się przez ramię za obolałą łopatkę. — A swoją drogą, ma pan ciężką rękę, Roy.

— O yes! Załatwione! — cieszył się Roy, nie zwracając uwagi na skargę Christy. — Najważniejsze, że mamy tę brakującą damę — uklonił się przed zdumionymi kobietami. — Znowu nie kapujecie? Wytężcie trochę umysł, a za chwilę same przyznacie, że jestem geniuszem. Jak na prawdziwego Amerykanina przystało!

Spojrzały na siebie i z uznaniem pokręciły głowami.

— Świetny pomysł, Roy! Że też same na to nie wpadłyśmy... Leżał dosłownie pod ręką.

— Pożyjecie jeszcze przez kilka lat w cieniu mojego geniuszu i nie mam wątpliwości, że coś z niego wam skapnie.

— Roy dobrodusznie poklepywał Christę po dłoni.

Panna Berger na szczęście nie słuchała, cały czas myślała o pomysle Harrisona. Dopiero teraz odezwała się:

— To rzeczywiście wydaje się niezłe, ale wątpię, czy panna Holm przyjmie bez oporów naszą propozycję. W końcu ona pracuje zawodowo. Czy zechce zrezygnować z posady?

— Na to jest tylko jeden sposób — rzekł Roy poważnie.

— A mianowicie?

— Trzeba ją spytać!

— Roy! Pan traktuje tę sprawę jak załatwioną, a taka postawa nie ułatwia rozmowy. Obawiam się, że panna Holm będzie niezadowolona, że decyzję podjęliśmy za jej plecami.

— Ja ją przekonam. Chyba pani nie wątpi w moje talenty dyplomatyczne?

— No, nie jestem pewna! — zaśmiała się Christa. — Ale skoro to pan jest twórcą tego pomysłu, ustąpię panu prawo jego realizacji. Zaraz poproszę tu pannę Holm.

Panna Berger, gdy została sama z Royem, patrzyła na niego z ukosa. Nie bardzo wierzyła w jego talent przekonywania i miała gotowy swój plan rozmowy z panną Holm, ale zanim zdążyła się odezwać, Christa wróciła już z nauczycielką.

Maria Holm była dojrzałą kobietą, wyglądała młodo i zachowywała się naturalnie. Smukła, wysoka, ubrana była skromnie, ale ze smakiem.

Wychowywał ją ojciec, oficer, który ciężko ranny w czasie zamieszek w Chinach, nie był w stanie zapewnić córce niczego więcej poza skromną pensją, ale ta w żaden sposób nie wystarczała na utrzymanie. Dziewczyna szybko zdecydowała wziąć los w swoje ręce. Miała niezwykłą zdolność do języków, więc nauczyła się od ojca również chińskiego, uchodzącego za bardzo trudny. Maria opanowała go do perfekcji i dorabiała do pensji, udzielając prywatnych lekcji.

W tym charakterze trafiła też do domu Hartungów. Okazało się, że jest nie tylko utalentowaną nauczycielką, ale również niezwykle miłą, inteligentną kobietą, z którą Christa z łatwością się zaprzyjaźniła

W salonie panowała głucha cisza, gdy Christa wprowadziła tam pannę Holm. Nauczycielka odezwała się pierwsza. — Mój ojciec, gdy trafił w milczące w ten sposób towarzystwo, był zawsze pewien, że dopiero co rozmawiano na jego temat.

— Mądry człowiek z pani ojca. Tym razem też miałby rację.

— Zatem rozmawialiście o mnie, panie Roy?

— Hm, to ja zacząłem, przyznaję, a jeżeli pani odmówi, to będę musiał zmienić dobre zdanie, jakie o pani miałem. Nie lubię zmieniać zdania, więc najlepiej niech pani powie „tak” i jedzie z nami do Chin.

— Jak? Chyba czegoś nie zrozumiałam — zaśmiała się Maria swoim aksamitnym głosem. — Po cóż ja jestem potrzebna panu w Chinach?

— Co za pytanie! Nie w Chinach, ale w podróży do tego kraju. Myślałem, że wyraziłem się jasno — omal nie obraził się pewny siebie Amerykanin, a gdy Christa wybuchnęła śmiechem, popatrzył na nią z wyrzutem.

— Jaśniej już naprawdę pan nie mógł, Roy! — skwitowała Christa.

— Jak wy dwoje dalej będziecie rozmawiać tym tonem, to panna Holm na pewno nie domyśli się, o co wam chodzi. Nie widzę innego wyjścia, jak wziąć sprawę w swoje ręce — nie wytrzymała panna Berger i podeszła do Marii.

— Droga panno Holm, potrzebujemy kogoś, kto towarzyszyłby naszej Chrście w podróży do Chin. Pan Roy podsunął odważny pomysł, że pani byłaby najlepszą kandydatką.

— Pomysł nie jest aż tak ryzykowny, panie Roy. Chiny są od dawna krainą moich marzeń i ciągnie mnie tam jak innych do Włoch, tylko, że jest to dla mnie zbyt kosztowny wyjazd. Gdyby nie to, od razu bym pojechała.

Roy wyprostował się niezwykle dumny z siebie.

— I kto zaprzeczy, że nie mam nosa do interesów?

— Znów zaczyna! Tym tonem, mój drogi, daleko nie zajdziemy. Panno Holm, oczywiście pojechałaby pani na mój koszt, a ściślej mówiąc mojego ojca, który mnie zaprasza. Musiałaby pani zrezygnować z pracy na prawie rok i jest to jedyną przeszkodą. Proszę się zastanowić, czy mimo tego zechciałaby pani pojechać ze mną do Szanghaju? —

Christa patrzyła na Marię błagalnym wzrokiem. Nauczycielka uśmiechnęła się i podeszła z wyciągniętą ręką:

— Jakże mogłabym odrzucić tak kuszącą propozycję, panno Har-tung? Właściwie nie widzę żadnych przeszkód, żeby nie pojechać — dodała Maria wyraźnie zadowolona.

— Chciałem jednak uprzedzić, panno Holm, że ja również będę waszym towarzyszem podróży — wtrącił się Roy, niezadowolony, że przez kilka chwil wypadł z kręgu zainteresowania.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Liczę, że wskutek choroby morskiej będzie pan cichym i nie narzucającym się kompanem — odparła Maria z uśmiechem.

— Oj, chyba panią rozczaruję: jestem odporny na morskie choroby.

— O Boże, żebym to ja mogła tak powiedzieć o sobie — westchnęła Christa poważnie zatroskana.

— Nie ma obaw, droga Christo — szklanka gorącego oleju maszynowego szybko postawi panią na nogi — rzekł Roy z miną znawcy i ruszył dumnie przed siebie.

Na wypastowanej podłodze pośliznął się, stracił równowagę i z głupią miną klapnął na siedzenie. Wszystkie trzy panie rzuciły się w jego stronę, ale zaraz stanęły jak wryte. Bohater zajścia, mimo że miał wszelkie powody do złego humoru, roześmiał się rozpromieniony.

— U pani jest tak wygodnie, Christo. Nigdzie jeszcze nie poczułem się tak swojsko.

Christa wybuchnęła szczerym śmiechem, aż łzy pociekły jej po policzkach.

— Ależ pan ma pomysły! Ktoś inny na pana miejscu wyskoczyłby raczej z wymówkami.

— Chyba, że nie miałby zielonego pojęcia o wygodzie.

— Możemy kontynuować rozmowę, czy też ma pan w zanadrzu jeszcze jakiś komplement, Roy?

— Mam, ale wolę posłuchać rozmowy między mądrymi kobietami.

— Aj, zabrzmiało to jak ironia!

— Czy ja z moją niewinną miną wyglądam na szydercę?

— Pozory myślą, ale wróćmy do tematu. Mam jeszcze jedną gorącą prośbę, panno Holm — rzekła Christa. — Czy w czasie podróży nie mogłaby pani wystąpić w mojej roli? Chciałabym w pełni skorzystać z wszystkich uroków tej wyprawy, a córce znanego przemysłowca wielu rzeczy nie wypada robić. — Christa patrzyła na Marię, która najwyraźniej zaskoczona propozycją zastanawiała się, czyją przyjąć. Także pani Berger zrobiła wielkie oczy.

— Ależ, Christo! Co za niedorzeczny pomysł? Przecież tak nie można! Musiałybyście zamienić się z panną Holm dokumentami, a to byłoby oszustwo łatwe do wykrycia.

— Jeżeli miałyby to być jedyna przeszkoda i jedyny kłopot, to mamy go z głowy — zawołała Christa. — Oto mój paszport — sięgnęła po dokument leżący w szufladzie biurka, otworzyła go i urzędowym tonem przeczytała: „wzrost

— średni”. — Panno Holm, jakiego pani jest wzrostu?

— Średniego! — odpowiedział Roy, podczas gdy Maria zdążyła tylko wzruszyć ramionami.

— Dobrze! Idziemy dalej: „włosy blond”. A u pani, panno Holm?

— Blond! — odezwał się znowu Roy.

— „Oczy brązowe”

— U panny Holm także!

— „Znaki szczególne — brak”

— I u panny Holm brak!

— Pozostaje data urodzenia. Ale pani nie wygląda na swoje trzydzieści cztery lata, za to ja mogę uchodzić za dwudziestopięciolatkę. Resztę da się zatuszować makijażem. Od tej chwili proszę zwracać się do mnie „panno Holm” — oświadczyła Christa i sztywno wyprostowana przeszła po pokoju.

— Dziewczyno, czy ty w czasie tak poważnej rozmowy nie możesz usiąść spokojnie? — rozpaczła panna Berger, która dopiero teraz zrozumiała, że Christa snuje jakieś podejrzane plany.

— Bergerciu, pani wszędzie wietrzy niebezpieczeństwo. Panno Holm, niechże pani mnie poprze i przekona pannę Berger, że to dobry pomysł.

Maria uśmiechnęła się, spojrzała najpierw na Christę, potem na Roya stojącego z kwaśną miną.

— Cóż, byłby to sposób na urozmaicenie długiej i nudnej podróży. Pozostaje mi tylko powiedzieć „tak”.

Christa rzuciła jej się na szyję.

— Hola, hola! Z fetowaniem poczekajcie na moje warunki! — zawołał Roy.

— No masz! Złe wieści przychodzą w najmniej oczekiwanej chwili — burknęła Christa i zmierzwiła blond czuprynę Roya.

— Ze względu na spokój sumienia nas trojga będę nalegał, żeby wtajemniczyć w wasz spisek kapitana „Oceany”. Zgadzaście się? Ponadto zdradzą was fotografie na paszportach.

— Być może — zgodziła się Christa lekko rozczarowana. — Ale nie sądzę, żeby kapitan robił nam jakieś trudności, jeżeli powiemy mu otwarcie o wszystkim.

— Na pewno nie, zwłaszcza, że ja mogę wam pomóc. Ha! Teraz pewnie zastanawiacie się, co też ten sprytny Roy znowu wymyślił? A sprawa jest prosta, mianowicie: kapitan „Oceany” jest moim szwagrem! Poza tym to sumienny i uczciwy człowiek, chociaż od czasu do czasu robi skok w bok. Gdyby więc miał jakieś obiekcje wobec waszego planu, wspomnę mimochodem, że właśnie piszę list do siostry i przy okazji chyba będę musiał jej donieść o tym, jak Kurcio, mój

kochany szwagier, podczas rejsu do Hamburga ostro zalecał się do pewnej miłej Holenderki. Myślę, że prędzej zgodzi się na wasz pomysł niż mój donos.

— Roy, jestem pełna podziwu dla pana troski o siostrę, zwłaszcza że i nam dostaną się okruchy tej dobroci — rzekła Christa i zwróciła się do Marii. — Bardzo pani dziękuję, panno Holm. Podróż zapowiada się ciekawiej niż myślałam. Zdaży pani przygotować się do wyjazdu w ciągu dziesięciu dni?

— Na pewno. Nie jestem wymagająca i nie mam też zamiaru targać ze sobą kopy walizek — zaśmiała się Maria.

— O, na ten temat to musimy spokojnie porozmawiać w damskim gronie. Panie przewodniku, pańska obecność jest zbędna. Mógłby nas pan zaszczyścić swoją nieobecnością?

— No dobrze, już znikam. Czy mam rozumieć, że nazwisko panny Holm mogę już wpisać na listę pasażerów?

— Tak, tak, Roy! Byle szybko, zanim panna Holm nie zmieni zdania — zawołała Christa.

— Na to się nie zanosi. Popłynę z prawdziwą przyjemnością.

— Ja również. Jestem pewien, że będzie to najpiękniejsza podróż w moim życiu. — Roy pożegnał się i wyszedł. Zostały same. Christa żartując zaproponowała, że zajmie się garderobą Marii, która na czas podróży udaje córkę bogatego przedsiębiorcy, więc musi się odpowiednio prezentować.

— Dla uatrakcyjnienia naszej zabawy powinnyśmy obie ubierać się jednakowo. Ależ ludziska będą sobie łamać głowy! Mamy takie same figury, więc z zamianą garderoby nie będzie problemu.

— Pani ma niezwykle ujmujący sposób robienia prezentów. Nie przyjmując propozycji, czułabym się wręcz nieswojo. Pozostaje mi więc kolejny raz wyrazić zgodę — odpowiedziała Maria obejmując Christę przez ramię.

— Lepszej przyjaciółki nie mogłam sobie wymarzyć, Mario!

— Dziękuję z całego serca. Postaram się nie sprawić pani zawodu.

II

— Nic na to nie poradzę, Max, ale cały czas mam uczucie, że osacza mnie jakaś niewidzialna siła — westchnął Robert podczas rozmowy z przyjacielem.

— Masz konkretne podejrzenia? Przecież sobie tego nie wymyśliłeś.

— Gdybym miał, od razu poczułbym się lepiej, bo przynajmniej wiedziałbym skąd i kiedy mogę spodziewać się niebezpieczeństwa. Dręczy mnie tymczasem tylko to dziwne przeczucie. Cokolwiek robię, mam wrażenie, że ktoś patrzy mi na ręce. Ostatecznie zdecydowałem się na pewien plan — Robert przyjrzał się podejrzliwie dookoła, jakby nie wierzył, że w pomieszczeniu za podwójnie obitymi skórą drzwiami rzeczywiście nie ma nikogo.

Wstał ostrożnie, podszedł do kominka i dołożył szczapę, która w zetknięciu z żarem zaczęła głośno trzeszczeć.

— Człowieku, tu już można się ugotować, a ty jeszcze dokładasz?

— Przezorność, mój drogi. Woleę, żeby nas nie podsłuchiowano — rzekł Robert i podkreślił gałkę radiodbiornika prawie na cały regulator.

— Chyba nie myślisz, że w domu ktoś szpieguje? To nonsens!

— Być może, ale lepiej się zabezpieczyć. Posłuchaj uważnie: za sześć dni wypływa z portu „Oceana”...

— Już to słyszałem. Żeby mi o tym przypomnieć, wcale nie musiałeś zaczynać swojej tajemniczej przedmowy — przerwał mu Max emanujący spokojem w przeciwieństwie do zdenerwowanego Bre-dowa.

— No dobrze, zatem powiem bez żadnego wstępu: chcę, żebyś w czasie podróży występował pod moim nazwiskiem. W ten sposób być może pozbędę się tego dziwnego niepokoju — rzekł Robert, kręcąc się nerwowo po pokoju, nie zwracając uwagi na reakcję przyjaciela.

— Powiedz mi szczerze, Robercie: podejrzewasz Chińczyka?

— Tak i nie! Nie mam pewności, w przeciwnym razie już dawno posłałbym go, gdzie pieprz rośnie. Zgadzasz się na moją propozycję? Poza tym perspektywa podróży w roli króla stali też mi się nie uśmiecha. Ty potrafisz utrzymać właściwy dystans, a ja będę miał przynajmniej spokój i trochę luzu.

— Hm, ty zawsze wiesz jak uszczęśliwić bliźniego. A jak masz zamiar przebrnąć przez kontrolę paszportową? Co z fotografiami? Trzeba by wtajemniczyć kapitana, bo w przeciwnym razie może wyjść z tego wszystkiego niezły bigos.

— Tak myślisz? Nasze rysopisy są niemal identyczne, a na zdjęciach sprzed kilku lat, które mamy w paszportach, różnimy się w porównaniu z dzisiejszym wyglądem. Aż tak dokładnie to nikt się nie przygląda podczas kontroli, ale zgadzam się: z kapitanem trzeba porozmawiać. Myślę, że gdy mu wyjaśnię powód naszej zamiany, na pewno wyrazi zgodę.

— Pojadę jutro do Hamburga i porozmawiam z kapitanem „Oceany”. Na pewno go przekonam, zaś mnie jest zupełnie obojętne, pod jakim nazwiskiem będę podróżować, byleby tylko spełnić twoją zachciankę.

— Miły jesteś, stary. Teraz może być ci to obojętne, ale co zrobisz, jeśli zakochasz się podczas rejsu i zechcesz się oświadczyć?

— Ja oświadczyć? Uchowaj Boże! Już wolałbym zostać na stałe u żółtków niż stracić wolność — zdenerwował się Max zupełnie poważnie.

— Oto typowy przypadek alergii na małżeństwo. Czeka cię długa kuracja, mój drogi.

— Nawet mi nie przypominaj. Jestem z natury nieśmiały wobec kobiet i staram się unikać kłopotliwych sytuacji jak ognia. A na statku, jak słyszałem, polowanie na mężów to jeden z obowiązkowych i wyjątkowo okrutnych zwyczajów. Przyznaję, że zmiana tożsamości jest mi na rękę. Jeżeli jakaś dama przyczepi się do mnie, to przynajmniej

będę miał pewność, że chodzi jej o bogatego Roberta Bredowa, a nie o moją skromną osobę.

— Ciekawe podejście do sprawy — zaśmiał się Robert. — Najważniejsze, że przyjąłeś moją propozycję i wkrótce wyniosę się z domu, w którym nie czuję się najlepiej.

— Nie zaczynaj, mój drogi. Prześladowuje cię wyobraźnia, a na tę dolegliwość jedynym lekarstwem będzie daleka podróż. Odzyskasz spokój, gdy tylko wyjedziemy. Zrób jednak porządek z tym żółtkiem.

— Oczywiście, ale dopiero po powrocie. Teraz nie chcę niepotrzebnie denerwować macochy, gdyż — jej zdaniem — bez Chińczyka cały dom się zawali. Prawdę mówiąc, on rzeczywiście panuje nad tym bałaganem.

— Powiem ci otwarcie: zbyt przejmujesz się macochą. W końcu to ty jesteś panem domu.

— Racja, tylko że w obecności tej kobiety wcale tego nie czuję. Rozmawia ze mną w taki sposób, że często odnoszę wrażenie, iż planując to czy owo, muszę uzyskać jej zgodę. Odetchnę dopiero, gdy znajdziemy się już na pokładzie. Ta podróż naprawdę dobrze nam zrobi. Tylko proszę cię: nikomu ani słowa o naszym planie i pamiętaj, że Maxem Rexem zostaniesz ponownie dopiero po powrocie do domu. Jasne?

— Jak słońce, mój drogi! Sprawy służbowe w Chinach i tak będziemy załatwiać razem, więc demaskować się nie musimy. Zamierzasz przed wyjazdem wydać przyjęcie pożegnalne dla rodziny?

— Broń Boże! Aż tak uczuciowy to ja nie jestem.

— Powiedziałeś im przynajmniej gdzie wyjeżdżasz?

— Ja nie, ale najdziwniejsze: macocha wie o wszystkim, nawet o rejsie „Oceana”. Spytałem ją, skąd ma te wiadomości, a ona przekonywała mnie, że sam jej to powiedziałem. A ja nie wspominałem o wyjeździe ani razu i tego jestem zupełnie pewien.

— Może sobie po prostu nie przypominasz. Czasami w rozmowie wymknie się coś mimochodem, a potem się wcale tego nie pamięta.

Robert cały czas kręcił przecząco głową.

— Nie, nie. Na tyle to ja jestem przezorny. Ode mnie niczego się nie dowiedziała, od ciebie też nie, a poza nami o podróży wiedział tylko Seiler, ale na nim można polegać, zwłaszcza że prosiłem go o dyskrecję.

— Wprost nie chce mi się wierzyć, żeby jakiś obcy wywiad zainstalował się w naszej fabryce — Max popatrzył uważnie na przyjaciela. — Podróże szefa raczej nie są aż tak ważne.

Spojrzeli na siebie, a Robert bez słowa sięgnął po ołówek i napisał na kartce z notesu: „Kin Lung szpieguje na zlecenie mojej macochy”. Max przeczytał i wrzucił papier do rozpalonego kominka.

— Tak, a teraz już ani słowa na ten temat. Chciałbym już być na pokładzie parowca. Zajmij się osobiście biletami, tak aby nikt postronny nie znał żadnych szczegółów.

— Możesz na mnie polegać. Wejdę w skórę Roberta Bredowa, gdy tylko znajdziemy się na pokładzie, a wyjdę z niej na twoje wyraźne polecenie.

— A niech to! Brr! Znów trzeba wstawać! — Roy przeciągnął się w swoim wygodnym łóżku, położył na brzuchu i skrzyżował ręce z tyłu głowy, zasłaniając sobie uszy. Do drzwi ktoś zapukał raz, potem drugi, dopiero trzecie mocne walenie i tubalny głos dotarł do Roya. Skrzyniowe, wyciszone drzwi w każdej chwili groziły wypadnięciem z zawiasów, więc nie pozostało nic innego, jak wstać i je otworzyć.

— Spokojnie! Już idę. Co tam się dzieje, że trzeba tak walić o tej porze?

— Uspokój się, szwagierku, to tylko ja — huknął olbrzym wciskający się nachalnie przez uchylone drzwi. — Twierdzisz, że jest jeszcze nieodpowiednia pora?

— Widzieliście go! Kurciowi zachciało się nachodzić spokojnych ludzi! Poza tym chyba czujesz się dobrze? — spytał Roy i z ulgą wśliznął się pod kołdrę. — Brr! Co za zimnica! Mów, chłopie, co cię sprowadza?

— Zasłużyłem chyba na cieplejsze przyjęcie, a już na pewno na kielicha, który od wewnątrz wyrówna chłód, z jakim witasz szwagra.

— Sięgnij do biurka. Albo poczekaj... mówiłeś o jednym kieliszku, a jak cię znam, spustoszysz mi cały barek — rzekł z wyrzutem Roy widząc, jak korpulentny szwagier ustawia obok siebie cztery kieliszki.

— Raz, ale porządnie — tak chyba mówi stare przysłowie?

— Mówi, tylko że ty przymierzasz się do czterech porządnym razów.

— Sknera! Zaczyna mi liczyć.

— Nie tobie, ale mojej siostrze. Chcę zaoszczędzić jej widoku zataczającego się męża już z samego rana. Powiesz mi wreszcie, czego właściwie chcesz?

— Właściwie nie chcę tego, czego ty chcesz.

— Nic nie rozumiem. Mógłbyś mi to przełożyć na angielski, szwagierku?

— Innymi słowy: nie zamierzam tańczyć, jak ty mi zagrasz. Może inni chętnie spełniają twoje kaprysy, ale nie ja.

— Zechciałbyś powtórzyć to jeszcze raz? — grzecznym tonem poprosił Roy.

— Chętnie. Na mojej łajbie żadnych szwindli nie będzie. Poszukaj sobie głupszego kapitana.

— Po pierwsze: chyba trudno byłoby znaleźć, po drugie: po co szukać, a po trzecie: musiałeś sobie już golnąć i coś ci się pokręciło — Roy patrzył z politowaniem na szwagra. — Zupełnie nie wiem, o czym mówisz!

— Udajesz głupiego albo ze mnie drwisz?

— Gdzież bym śmiał!

— To wbij sobie dobrze do głowy: jeżeli twoje znajome chcą płynąć pod fałszywą banderą, muszą sobie poszukać innej krypy. Na „Oceanie” taki numer nie przejdzie.

— I o taki drobiazg tyle krzyku? To po to wszechmocny pan kapitan fatygował się osobiście skoro świt? Śmiechu warte! Zgodzisz się, żeby te panie podróżowały pod zmienionymi nazwiskami, i nie ma o czym gadać.

— Tak? To ty mnie słabo znasz!

— Kurciu! Nie upieraj się i powiedz „tak”, póki nie jest za późno.

— Nie!

— Tak!

— Nie, do cholery!

— Tfu! Klniesz i nie pójdziesz do nieba.

— Guzik mnie obchodzi, gdzie pójdę, byleby tylko nie spotkać tam ciebie.

— To się da jakoś załatwić — pocieszył go Roy — ale na plan panny Hartung musisz się zgodzić. Wiem, że po to tu przyszedłeś. Na tyle znam twoje miękkie serce.

- Sam nie wiem, czy lepiej ci od razu skrócić kark, czy też zadowolić się wylaniem kubła zimnej wody na twój łeb.
- Wolałbym uniknąć jednego i drugiego.
- Powiedz mi, człowieku, skąd u ciebie to bezczelne przekonanie, że ja tak bez powodu wyrażam zgodę.
- Skreśl z twojego oświadczenia to „bez powodu”, a zostaw tylko „wyrażam zgodę”. Zrób to dla własnego dobra, drogi Kurteczku, bo jeżeli będziesz upierać się przy swoim „nie”, to ja będę musiał...
- Musiał co? No proszę — powiedz, co mi zrobisz?
- Jako kochający braciszek będę musiał uprzedzić Daisy, że dałeś się omotać pięknej pannie van Andel, a co gorsza
- wręcz jej się narzucałeś. No, a teraz mów ty! — Roy wyciągnął się wygodnie w łóżku, zapalił papierosa i czekał na reakcję szwagra.
- Olbrzym wyprostował się i powoli schylił się nad łóżkiem.
- Mogłem skrócić ci kark od razu. Teraz nie mam już siły i czuję, jak wzbiera we mnie żal, że zniszczyłem tak młode życie.
- A niech wzbiera, Kurciu! Ja mam czas.
- Szlag mnie trafia, bo widzę, że rzeczywiście nie mam już innego wyjścia i muszę zgodzić się na twój plan. Nie wątpię, ty naprawdę byłbyś zdolny opłotkować mnie przed Daisy i z drobnego flirtu z panną Leną zrobić prawdziwy romans.
- Miała na imię Lena? Mówisz, że był to drobny flirt, a nie potrafiłeś odmówić pannie Lenie? Taki z ciebie mięczak, Kurciu? Mnie zaś próbujesz twardo się opierać. Po co tak dręczyć twoje miękkie serce, stary? Dajże mu odetchnąć!
- Poddaję się, ale pamiętaj, jeszcze odpłacę ci taką samą monetą. Ułóż sobie zawczasu jakąś modlitwę do wszystkich świętych, bo żaden konkretny nie będzie ci w stanie pomóc. A teraz wytłumacz mi jasno, o co tym damom chodzi, bo z twojego listu nic a nic nie kapuję.
- Sprawa jest prosta, drogi kapitanie. Panna Hartung chce podróżować swobodnie, a jako córka bogatego Hartunga ciągle byłaby pod ostrzałem wścibskich plotkarek. Panna Holm zgodziła się płynąć pod jej flagą, pod warunkiem jednak, że o zamianie zostaniesz ty poinformowany.
- Bomba! Ta dziewczyna mi imponuje. Ona przynajmniej wie, po co na statku jest kapitan. Powiem ci w zaufaniu, że popłynie z nami sam

wielki Bredow, król nadreńskich stalowni. „Oceana” zapełni się rekinami finansowymi. Zanosi się na interesujący rejs, tym bardziej że Daisy przysłała depezę i na własny koszt chce płynąć z nami, najbardziej cieszy się zresztą na spotkanie z tobą.

— Ale nowina! Świetna dziewczyna z tej Daisy, a dla mnie to zaszczyt, że stęskniła się za mną.

— Kwestia gustu — mruknął olbrzym.

— A skoro już padło to słowo, przyznam się, że Lena van Andel wcale nie była w moim guście.

— Chłopie, zapomnij o tym nazwisku! Jeżeli wymienisz je w obecności Daisy, to gwarantuję ci pewną śmierć w szcękach rekinów, tych najprawdziwszych za burtą.

— Słowo honoru, dla takiej błahostki nie mam zamiaru narażać mojej siostry na zmartwienia. Teraz jednak bądź łaskaw włożyć swój wątpliwej urody cywilny kapelusz i opuścić to pomieszczenie.

— Czego się czepiasz mojego kapelusza?

— Dziewięć mil pod wiatr cuchniesz marynarzem, a myślisz pewnie, że wyglądasz na bywalca salonów. Nie oszukuj samego siebie, Kurciu.

Kapitan Sørensen zmieszany przyglądał się swojemu nowemu, sztywnemu kapeluszowi, który wydawał mu się szczytem elegancji.

— Daisy też śmieje się do rozpuku, gdy widzi mnie w cywilnym ubraniu.

— Co świadczy o dobrym guście mojej siostry. Wynoś się już, bo muszę się przebrać. O dziesiątej przyjeżdża po mnie dwumiejscowym kabrioletem panna Hartung.

— Ho, ho!

— Co znaczy to ho, ho? Jeżeli masz kosmate myśli, to każ je ogolić!

— Myślenie póki co nie jest zabronione.

— Kurciu, na tę czynność akurat szkoda twojej pustej jak beczka po śledziach głowy. Zmiataj, bo zawołam boya i każe cię wyrzucić.

— Już trzęsę portkami. Wolę wyjść dobrowolnie. Ale zanim wyszedł, chwycił karafkę z wodą i wylał jej zawartość na głowę tulącego się do poduszki szwagra.

— No, choć trochę mi ulżyło!

*

„Oceana” sunęła majestatycznie, powoli oddalając się od nabrzeża portowego, na którym zostali bliżsi lub dalsi krewni odpływających i mniej lub bardziej serdecznie machali im na pożegnanie. Imponująco wyróżniał się wśród nich zastęp ciotek, które odprowadzały Christę Hartung. Dziękowała w duchu niebiosom, że obsługa powstrzymała je wszystkie przed wejściem na pokład. Wysłuchanie kolejnej serii narzekań pod adresem jakoby zbyt młodej damy do towarzystwa przekroczyłoby już z pewnością granice jej wytrzymałości. Czując się bezpieczna na pokładzie parowca, mogła im szczerze życzyć wszystkiego najlepszego.

Robert miał mniej szczęścia i nie ominęło go pożegnalne przyjęcie w rodzinnym gronie. Macocha była wylewnie miła i serdeczna, czym jeszcze pogłębiła niechęć Roberta do siebie. Nie domyślił się jednak, że celem tych zabiegów było uśpienie jego czujności i uknuć zbrodniczego planu, w efekcie którego jej syn odziedziczy majątek Roberta. O jej potajemnych rozmowach z Chińczykiem nie wiedział ani on, ani Max. Tymczasem Kin Lung cały czas śledził dokładnie każdy krok Roberta, a do głowy mu nie przyszło, że powinien zająć się także sekretarzem. Max pilnował, by nikt nie znał choćby szczegółu dotyczącego podróży, a mimo to, gdy czekali na nabrzeżu, przez moment Robert miał wrażenie, że w tłumie mignął mu Kin Lang. Mogło mu się tylko zdawać, więc wołał nie mówić o tym Maxowi. W jaki sposób Chińczyk, który wczoraj wieczorem pełnił służbę podczas przyjęcia w Duisburgu, mógł nagle zjawić się w porcie w Bremie? Właściwie po co? Robert szybko uznał, że było to przywidzenie i zajął się obserwowaniem współpasażerów.

Nie byłby tak spokojny, gdyby zauważył to co Max, stojący już na relingu. Otóż zobaczył on Kin Lunga żywo dyskutującego z jakimś Chińczykiem. Obaj wyraźnie ukrywali się za transporterem, którym ładowano na pokład bagaże. Ale i on zachował swoje spostrzeżenie dla siebie, nie chcąc zbyt mocno martwić Roberta. Postanowił podczas całej podróży nie spuszczać oka z niefzajomego Chińczyka. Na razie i tak nie mógł zrobić nic więcej, poza tym że musiał na siłę walczyć z popsutym nastrojem.

Przypadkowo pomogło mu w tym wesołe towarzystwo zebrane opodal, głośno wybuchające co pewien czas gromkim, chóralnym

śmiechem, wyraźnie kontrastującym z pogrzebową atmosferą reszty odpływających.

Mimo woli przysłuchiwał się ich głośnej rozmowie, a po chwili zauważył, że Robert także nastawia ucha.

— Chyba będziemy mieć wesołe towarzystwo na pokładzie.

— Tym lepiej, bo jedna z dam bardzo mi się podoba — odpowiedział Robert, nie odrywając oczu od Christy rozmawiającej z Royem, Marią i kapitanową Sørensen.

— Mianowicie...

— Ta, do której młody człowiek cały czas mówi „panno Risto”. Dziwne imię, nie uważasz? Musi to być jakieś zdrobnienie, ale nie mam pojęcia od czego.

— Do tej wyższej zwracają się „Rio”. Łatwo pomylić tak podobne imiona. Ten młodzieniec ma niesamowite poczucie humoru: każdemu z wchodzących zdążył już przypiąć łatkę. Na mój gust to chyba Amerykanin.

— Odwróć no się delikatnie. Mam wrażenie, że właśnie nas wzięli na języki. Pójdę do głównego stewarda i dowiem się, co to za jedni. Poczekasz tu na mnie?

— Tak, chętnie. Lubię patrzeć na rozgardiasz panujący w trakcie wychodzenia z portu — rzekł Max ciągle szukający wzrokiem Kin Lunga wśród odprowadzających.

— A więc spotkamy się tu za chwilę — odparł Robert, rzucając na odchodnym spojrzenie na Christę. Nie pomylił się, bo rzeczywiście rozmowa w wesołym towarzystwie toczyła się na jego temat. Roy zdążył już nawet wymyślić przezwiska dla niego i Maxa.

— Aha! Niech pani spojrzy na tych dwóch, Risto — zawołał Roy, gdy Robert i Max wchodzili na pokład. — Ten pierwszy musi być jakimś dostojnikiem. Gdyby był bardziej opalony, mógłby uchodzić za indyjskiego księcia. Ma w sobie coś — jakby to nazwać? — co świadczy o władzy nad rzeszą dusz. Rasowy władca. A ten drugi to chyba jego minister. Na pierwszy rzut oka niby podobny, ale widać różnicę.

— Roy, na widok tego maharadży obudził się w panu marzyciel! — roześmiała się Christa.

— Weil, nazwijmy go maharadzą. Pani ma rację, Christo... och, przepraszam — panno Risto. Na widok dostojnych, urodziwych

ludzi staje się romantyczny i marzycielski. Tak było także w pani przypadku.

— Roy, znowu pleciesz bez sensu — wtrąciła jego siostra, kapitano-wa Sørensen. — Niech pani nigdy nie bierze poważnie jego słów, panno Risto.

— Daisy, skarbie, ty w ogóle nie słuchaj, co mówi twój brat. Jeżeli uznasz, że plotę głupstwa, to przypomnij sobie o dziedzicznych wadach Harrisonów. Chciałaś to skomentować?

— Bracia to najnieznośniejsze istoty pod słońcem — skwitowała Daisy — znowu oberwałam niezasłużenie. Pani nic nie powie, panno Rio? — zwróciła się do Marii przysłuchującej się rozmowie.

— Och, wolę zaczekać, aż zjawi się ktoś, kto dorówna panu Royowi. My wszyscy razem nie dalibyśmy mu rady. Wierzę, że doczekam chwili, kiedy pan Roy zapomni języka w ustach.

— Jest pani aniołem, Rio, solą mojego życia. Wiem teraz przynajmniej, że żyję na świecie ktoś, kto docenia, choć w sposób trochę uszczypliwy — Roy uklonił się i nonszalanckim gestem pocałował Marię w rękę.

Roy nie zostawił na nikim suchej nitki. Rozglądał się dookoła i ze smutkiem musiał stwierdzić, że wszyscy już otrzymali jego kąśliwe przydomki. Ale nie oznaczało to bynajmniej końca zabawy.

— Uwaga Risto! — szepnął. — Nasz maharadża stoi tuż obok nas i Bóg mi świadkiem, że wziął panią na celownik.

— Co też pan plecie, Roy! — rzekła Christa po cichu i zaczerwieniła się po uszy, bo choć popatrzyła tylko przez chwilę w stronę Roberta, zauważyła jego rozmarzone spojrzenie.

— Widzę, że wzruszająca czułość pani przyjaciółki jest przypadłością zaraźliwą. Ponadto mam dowód na to, że wzrok maharadży jednak zrobił na pani wrażenie — ciągnął Roy, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Christa odruchowym gestem zmierzwiła blond czuprynę Roy a.

— Ależ z pana łobuz! Jak damy sobie radę z tym nicponiem, pani kapitanowo? — zwróciła się do pani Sørensen, która spokojnie, nie podnosząc wzroku, rzekła:

— Na niego najlepiej wcale nie zwracać uwagi, wtedy jakoś da się wytrzymać.

— Brawo, siostrzyczko! O tyle wyrozumiałości naprawdę cię nie posądzałem — roześmiał się hałaśliwie.

— Gdzież on się podział ten ratownik? — udając zaniepokojenie zawołała Maria.

— Potrzebna pomoc? Kogo pani wzywa, Rio?

— Kogoś, kto by pana uspokoił, wiercipięto!

— Uff! Dostało mi się. Wolę czmychnąć, nim trafi mi się coś gorszego.

Zanim którakolwiek z dam zdążyła coś powiedzieć, zniknął wśród pasażerów i pobiegł do głównego stewarda dowiedzieć się, kim są naprawdę „maharadza” i jego „minister”. I spotkał go zawód, bo ten, który wyglądał na dostojnika okazał się tylko sekretarzem króla stalowni! Mógł być przynajmniej samym Bredowem... Nazwanie zwykłego urzędnika maharadzą zachwiało wiarę Roya w swoje zdolności oceniania ludzi. Skruszony i podłamany wrócił na pokład i opowiedział damom o swoim odkryciu.

— Dla nas może on zostać maharadzą. To bardzo poetycki przydomek i szkoda byłoby go zmieniać — zaproponowała Christa, a wszyscy zgodnie jej przytaknęli.

— Niechcący sprawiłem dobry uczynek nobilitując waszego bohatera od maszyny do pisania, a siebie przy okazji usunąłem w cień.

— Roy, chyba nie obawia się pan konkurencji z tamtej strony? — wtrąciła się Maria.

— Sam nie wiem, ale gdy pani powie mi coś miłego, od razu czuję się nieswojo. Najwyraźniej nie mam do pani zaufania.

III

Wieczorem kapitan „Oceany” wydał przyjęcie na cześć pasażerów. W ogromnej sali rozstawiono malutkie stoliki pięknie ozdobione kwiatami. Goście zjawili się w strojach wieczorowych. Wśród przepysznych drogich toalet czarne suknie Marii i Christy wyróżniały się prostotą i ujmującą elegancją. Zgodnie z umową za wyjątkiem kilku drobnych detali, obie panie ubrane były jednakowo.

Wrażenie było tym większe, że Christę i jej towarzystwo poproszono do stołu kapitańskiego. Wśród pasażerów gorączkowo zbierano informacje i plotki o wyróżnionych i wyróżniających się osobach. Każdy upierał się, że ma najwiarygodniejszą źródło, choć niektóre wiadomości były sprzeczne i wzajemnie wykluczające się.

Dla Roberta najistotniejsza była informacja stewarda, że dziewczyna, która wpadła mu w oko okazała się tylko towarzyszką podróży bogatej Christy Hartung. Nie lubił zarozumiałych i pewnych siebie panienek z bogatych domów, a nie miał pojęcia, że właśnie na jedną z nich trafił.

Między Maxem i Marią odgrywającymi role prominentów też nawiązała się tajemna nić porozumienia, choć jeszcze niezupełnie zdawali sobie z tego sprawę. Jedyne Roy z niczym niezmaconym spokojem delectował się kapitańskimi smakołykami. Jego siostra trawiona zazdrością o męża siliła się na uśmiech, ale raz po raz rzucała podejrzliwe spojrzenia na Kurcia, który wcale nie czuł się panem i władcą swojej „Oceany”.

Miał wyraźnego pecha, bo jak rzadko kiedy tym razem płynęło wiele pięknych samotnych dam. Wśród nich urocza włoska markiza. Kurt nie mógł oderwać od niej oczu i co jakiś czas tylko burczał pod nosem: — Akurat teraz musiała Daisy wpaść na swój idiotyczny pomysł!

Po uroczystej kolacji rozpoczął się bal i towarzystwo szybko przełamało pierwsze lody.

Muzyka podziałała na Roberta uspokajająco. Podszedł do Roya, który pozostał jedynym mężczyzną w gronie trzech pań — kapitan musiał wrócić na służbę — i poprosił o przedstawienie damom.

Roy poczuł się jak tatuś prowadzący córkę na pierwszy bal.

— Hello, Ladies! Ten dżentelmen życzy sobie paść do waszych stóp. Chyba nie macie nic przeciwko temu?

Dokonał prezentacji i odezwał się znowu:

— A teraz, proszę państwa, nie psujmy sobie nastroju i nie wdawajmy się w uciążliwe konwenanse. Jesteśmy normalnymi ludźmi i z nami należy rozmawiać ludzkim językiem.

— Propozycja wydaje mi się interesująca; nie wiem, tylko, czy panie są tego samego zdania — rzekł Robert, kłaniając się uprzejmie w stronę Christy, którą — mimo że wiedział od stewarda kim jest — traktował jako najważniejszą osobę w tym gronie.

— Są, są! Ria jest czarująca, Rista to równy kumpel, a Daisy się nie liczy... Ona kocha Kurcia i dla mnie już tym bardziej się nie liczy. Oj, ale podpadłem! — ugryzł się w język.

— Nie omieszkać poskarżyć się Kurtowi, niech podkreśli ci trochę śrubę. Zobaczymy, komu będzie do śmiechu.

— Akurat nim możesz mnie nie straszyć. Jest dobrym i wyrozumiałym szwagrem. Ponadto lubi mnie i to raczej ty mu podpadniesz.

— Słyszę, że o mnie mowa — rozległ się tubalny głos kapitana Sørensen a właśnie powracającego do towarzystwa.

— Ale same dobre rzeczy. Wyobraź sobie, Kurciu, ci niedobrzy ludzie nie chcą uwierzyć, że mnie lubisz i nie pozwolisz nikomu mnie skrzywdzić. Powiedz mi, jak wysoko cenisz swojego szwagra.

— Nie raz ci już mówiłem, co gotów jestem dla ciebie zrobić, serdeńko — Sørensen z całej siły poklepał Roya po plecach.

— To powiedz to przy wszystkich, szwagierku.

— Skreć ci kark, skarbie!

— Tego się nie spodziewałem!

— Wygląda na to, że pan się załamał, panie Harrison — włączył się do rozmowy Max. — Nie ma tu nikogo, kto ująłby się za panem?

Przez chwilę Roya zamurowało, ale zaraz potem uklonił się grzecznie przed Marią.

— Wiem, że w razie czego panna Ria pospieszy mi na ratunek, ale nie cieszcie się państwo, bo nie prędko znajdę się w krytycznym położeniu. Póki co, miałbym wielką ochotę zatańczyć walca z panną Ristą. Już grają, a mnie nogi aż ponoszą.

Złapał Christę za rękę i przemknął przed nosem nieco zaskoczonego Roberta.

Daisy popatrzyła za nim i westchnęła.

— On zawsze musi mieć ostatnie słowo i jako zwycięzca postawić na swoim. Taki już był od dziecka.

— I rodzice nie znaleźli na to sposobu? — zaśmiał się Robert, który darzył młodego Amerykanina wyraźną sympatią.

— Rodzice! Roy nie miał jeszcze dziesięciu lat, gdy załamali rękę i stracili nad nim kontrolę. Kilka lat temu filia naszej firmy w Pekinie popadła w kłopoty i ojciec bez chwili wahania posłał tam Roya. I co? Poradził sobie znakomicie! — zakończyła Daisy z dumą.

— W każdym razie jego elokwencja i poczucie humoru są godne podziwu — zauważył Max, który zawsze cierpiał z powodu nieśmiałości i braku polotu.

Wreszcie nadarzyła się okazja i Robert mógł poprosić Christę do tańca. Był wniebowzięty trzymając ją w ramionach, wdychając cudowny zapach perfum, jaki wokół siebie roztaczała.

Potem przeszli oboje do palmiarni. Tam ośmielony już nieco Robert odważył się na rozpoczęcie rozmowy.

— Płynie pani też do Szanghaju, czy może jeszcze dalej?

— Na razie do Szanghaju, gdzie czeka ojciec... to znaczy ojciec mojej przyjaciółki — poprawiła się szybko — który tam mieszka. W każdym razie nie jestem w podróży służbowej, jak zapewne w pańskim przypadku.

— Owszem, ale nie wykluczone, że po załatwieniu interesów w Szanghaju zwiedzimy trochę Chiny. Zna pani ten kraj?

— Jedyne z fotografii, które przysłał ojciec... mojej przyjaciółce.

— To tak jak ja. Mój ojciec również przebywał często i długo w Chinach. Ciekawe, czy wszyscy są tak niesympatyczni jak Chińczyk, którego znam — rzekł Robert przypomniawszy sobie Kin Lunga.

— No nie wiem. Dotychczas na własne oczy widziałam tylko jednego Chińczyka, tu na statku. Płynie drugą klasą. Christa nagle zmieniła temat.

— Pan jest sekretarzem pana Bredowa?

— N... tak — zawahał się Robert. — Tak można by to ująć, choć mój pracodawca i przyjaciel nie przywiązuje wagi do formalności.

— Widzę, że moja pozycja i zakres obowiązków są zupełnie podobne do pańskich.

— A ja widzę, że robimy ten sam błąd co wszyscy Niemcy: zamiast wyłożyć od razu karty na stół, skradamy się opłotkami. Drugi raz nie dam się złapać i wyznam wprost, że spodobała mi się pani od pierwszego wejrzenia.

— Gdyby pan spytał, czy może mi powiedzieć komplement, z całą pewnością bym się sprzeciwiła — uśmiechnęła się kokieteryjnie Christa.

— I byłby to dla mnie zły początek, panno Risto. Nie prosząc

O pozwolenie, powiem jeszcze raz, że pani mi się podoba.

— Też pudło! Taki komplement powtarza się zazwyczaj kobiecie, u której nie dostrzega się żadnych wartości intelektualnych.

— Dziś rzeczywiście mam zły dzień — uśmiechnął się Robert

I skłonił nisko głowę całując Christę w rękę. — Nie wiem, w jaki sposób uwolnić się od pecha?

— Niech pan spróbuje rozmawiać ze mną, jakbyśmy się znali od dawna i byli ze sobą zaprzyjaźnieni. To powinno pomóc — zaproponowała Christa, a Robertowi nie pozostało nic więcej, jak przyklasnąć jej pomysłowi. Po kilku minutach do palmiarni wszedł Roy i natknął się na przyjaciół zajętych ożywioną rozmową.

— Hello, Rista! Co z naszym maharadżą? Czy po bliższym poznaniu jest równie interesujący, jak nam się zdawało, czy też raczej cię rozczarował — nie pytając o pozwolenie, przerwał rozmowę, usiadł obok Christy i wziął jej torebkę.

Christa poczerwieniała jak burak, choć była pewna, że Robert nie wie, o kim mowa. Zmieszana wyrwała Royowi torebkę z rąk.

— Mało, że zadaje pan niemądre pytania, to jeszcze bawi się moimi rzeczami!
— Rozumiem, że z maharadzą kłapa! W przeciwnym razie byłaby pani w lepszym humorze.
— Przepraszam za wścibstwo, ale o jakiego maharadzę chodzi?
— spytał nieśmiało Robert dręczony ciekawością.
— Chętnie bym panu powiedział, panie Rex, ale nie wiem, czy panna Rista pozwoli.
— Roy, jeżeli piśnie pan choć słówko, koniec z naszą przyjaźnią
— zdenerwowała się Christa i wstała. — Z tym nieznośnym chłopca-czyskiem nie da się już wytrzymać! — odwróciwszy się ostentacyjnie w drugą stronę, wyszła z Robertem z palmiarni. Roy patrzył za nimi obojętnym wzrokiem, zmiął w palcach papierosa i szerokim łukiem wyrzucił go za burtę.
— Hm — mruknął. — Coś mi się zdaje, że maharadza ma jednak szansę, a papa Härtung powinien już uczyć się błogosławieństwa dla narzeczonych. Czy będzie równie zadowolony jak córeczka, czas pokaże.
Rejsowi „Oceany” towarzyszyła jak na razie wyśmienita pogoda, nic więc dziwnego, że na pokładzie panowała radosna atmosfera, a zabawom i flirtom nic nie przeszkadzało.

Christa czuła się doskonale, gdyż mogła robić, co chciała. Maria zawsze była w pobliżu. Unikała tylko sali gimnastycznej, gdzie Christa z pasją ćwiczyła szermierkę i gimnastykę na przyrządach. Ale tam towarzyszył jej Roy, wyznaczony — jak sam stwierdził — do „wszystkich wstydlivych zajęć”. W tym czasie Maria mogła poczytać, bo ze względu na bogaty program rozrywek przygotowany przez Roya, w ogóle nie miała możliwości sięgnięcia po książkę.

Prawdopodobnie Robert musiał podkupić stewardesse, żeby zdradzała mu plan zajęć obu dam z Hamburga, bo tylko w ten sposób Max porafił sobie wytłumaczyć zdumiewającą wprost częstotliwość przypadkowych spotkań Roberta z Ristą. Zaskakująca była też pomyslowość w stwarzaniu okazji do pozostawiania z Ristą sam na sam.

Max dziwił się też samemu sobie. Choć tak bardzo różnił się charakterem od Roya, szybko się z nim zaprzyjaźnił. Najwyraźniej było

to uczucie odwzajemnione, bo wkrótce grono zasiadających przy kapitańskim stoliku powiększyło się o obu panów z Duisburga.

„Oceana” rzuciła pierwszy raz kotwicę na Malcie. Większość pasażerów zeszła na ląd, w tym także Christa, Maria i Roy. Robert dołączył do nich, Max zaś został na statku. Znał Maltę z poprzednich podróży, a co ważniejsze — musiał wysłać kilka ważnych pism. Kazał stewardowi przynieść do kabiny maszynę do pisania i ochoczo zabrał się do pracy. Występował co prawda w roli właściciela stalowni, ale nikt przecież nie zwolnił go z obowiązków sekretarza, zwłaszcza że w wielu szczegółach lepiej orientował się niż Robert, który po wejściu na pokład nagle stracił zupełnie zainteresowanie pracą. Dla niego ważniejsze od zwyczajki lub spadku akcji firmy było teraz, gdzie i kiedy można spotkać pannę Ristę.

Ledwie Max zaczął pisać, gdy steward zawiadomił, że niejaki pan Tse Hai prosi o rozmowę. Zawahał się przez chwilę, potem spytał:

— Z kim ten pan chce rozmawiać?

— Z panem Bredowem z Duisburga.

— Pan Tse Hai płynie drugą klasą?

— Tak jest.

— Jestem wprawdzie bardzo zajęty, ale jeżeli ma jakąś krótką sprawę, niech wejdzie.

Po chwili do kabiny wszedł starszy Chińczyk i uprzejmie powitał Maxa nienaganną angielszczyzną:

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny, że zechciał mnie przyjąć.

— Proszę darować sobie uprzejmości i od razu przejść do rzeczy, bo jak pan widzi, pracuję, a korzystając z postoju w porcie, chcę wysłać pilną korespondencję. — Max wskazał Chińczykowi krzesło obok biurka.

Nie ulegało wątpliwości, że był to ten sam człowiek, z którym w Bremie rozmawiał Kin Lung. Max uznał, że lepiej nie zdradzać się ze swoim spostrzeżeniem i poczekać, aż Azjata sam wyłuszczy powód wizyty.

— Sprawa, z którą przychodzę, również związana jest z możliwością kontaktu listownego, dlatego pozwoliłem sobie na zabranie pań-

skiego cennego czasu. — Chińczyk mówił półgłosem siląc się na uprzejmość.

— Rozumiem, że przyszedł pan w interesach.

— Oczywiście. Prywatnie nigdy bym się nie ośmielił mącić zasłużonego odpoczynku ciężko zapracowanemu właścicielowi stalowni

— bronił się kwieciście Azjata. — Doszła mnie wieść, że płynie pan do Szanghaju, żeby podpisać z producentami jedwabiu kontrakt na dostawę maszyn włókienniczych...

— Chyba o tym nie mówi się na pokładzie — przerwał mu zniecierpliwiony Max. — Ani ja, ani mój sekretarz nie wspomnieliśmy

O tym nikomu. W ogóle w czasie podróży nie rozmawiamy o interesach

— ciągnął bez cienia wyrzutu, żeby przypadkiem nie spłoszyć Chińczyka. Patrzył jednak uważnie na jego reakcję. Zmieszał się w pierwszej chwili, ale zaraz uklonił się nisko i uśmiechnął:

— Nie wiem, co mnie podkusiło, że chciałem przechytryć tak mądrego i błyskotliwego człowieka jak pan Bredow? Przyznaję szczerze, że o pańskiej misji poinformował mnie jeden z moich współników.

— W Hamburgu?

— O nie! Jeszcze w Berlinie — wyjaśnił natychmiast Tse Hai.

— Naprawdę? Że też w stolicy zawsze wszystko wiedzą pierwsi! Ciekawi mnie, jak się panu udało wejść do przedziału pierwszej klasy?

— Poprosiłem oczywiście o pozwolenie, a ponieważ płynę już „Oceaną” trzeci raz, mam tu dobrą opinię i mogę liczyć na drobne przysługi.

— Rozumiem. Czego zatem oczekuje pan ode mnie?

— Byłbym zobowiązany, gdyby powierzył mi pan pośrednictwo w rozmowach z właścicielami tkalni jedwabiu.

Prawie wszyscy zaopatrują się poprzez moją firmę i nie chciałbym stracić stałych klientów. Gdyby pan się zgodził, mógłbym ich uprzedzić telegraficznie o pańskim przyjeździe. Co pan na to?

Tse Hai wlepił swoje skośne, przenikliwie patrzące oczy w Maxa

I z trudem ukrywał czającą się w nich złość, wręcz nienawiść. Należało zareagować chłodno, ale ze spokojem — po handlowemu, choć Max nie miał najmniejszych wątpliwości, że wizyta ta nie miała nic wspólnego z interesami — był to tylko pretekst — a Chińczyk przyszedł wyłącznie na polecenie Kin Lunga.

— Moja firma nie ma zwyczaju sprzedawać swoich wyrobów przez pośredników, panie Tse Hai. Przykro mi, ale z pana usług także nie skorzystam. Uprzedzam od razu, żeby nie próbował pan przekonywać do tej transakcji mojego sekretarza, bo on nie ma żadnego wpływu na tego typu decyzje. Nie radzę też wchodzić mi w drogę podczas rozmów w Chinach. Skończyłem. Do widzenia panu!

Ponieważ Max wstał, Chińczykowi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. Zdobył się jednak na uprzejme pożegnanie.

— Jeszcze raz przepraszam za najście. Wprawdzie niepotrzebnie zabrałem panu czas, ale poczytuję sobie za zaszczyt poznanie tak szanowanej osoby jak król nadreńskiej stali.

Max doskonale wiedział, że Chińczyk najchętniej utopiłby go teraz w łyżce wody, ale zachowując zimną krew, pożegnał go najuprzejmiej. Gdy został sam, podszedł do okna i zapatrzył się w skąpaną w słońcu maltańską stolicę.

— Co się kryje za tą wizytą? Rzekome pośrednictwo było tylko pretekstem i to szytym grubymi nićmi. Tse Hai przyszedł na polecenie Kin Lunga, ten zaś ślepo służył matce Roberta. O co tu chodzi? Tak czy inaczej dobrze się stało, że facet przyszedł pod nieobecność Bredowa. Biedak niepotrzebnie znów by się zdenerwował i stracił dobry humor.

Przez chwilę Max zastanawiał się, co robić, potem poszedł do telegrafisty i prosił o nadanie depezy:

„Do rąk dyrektora Sailera — Fabryka Bredowa w Duisburgu. Natychmiast śledzić Chińczyka Kin Lunga. Ustalić, czy koresponduje z Chinami. Czekam na odpowiedź na nazwisko Rexa w Konsulacie Niemiec w Szanghaju. Bredow”.

Już chciał wrócić do kabiny, gdy z daleka usłyszał powracających z miasta wycieczkowiczów. Z nabrzeża zauważył go Roy i krzyczał na całe gardło:

— Halo, Bredow! Ma pan czego żałować: bawiliśmy się wyśmienicie!

Weszli wszyscy na pokład, a Max od razu zauważył, że w wyśmienitym humorze właściwie był tylko Roy. Daisy miała skwaszoną minę, kapitan wyglądał, jakby niechący połknął żabę. Ria robiła wrażenie osoby, w obecności której doszło do wyjątkowo gorszącej sceny, zaś Christa i Robert byli niezwykle bladzi. Tylko Roy tryskał

promiennymi uśmiechami. Bez słowa wyjaśnień wszyscy szybko rozeszli się do swoich kabin. Pozostał Roy.

— Co im się stało? Wrócili jak z pogrzebu. Zdarzyło się coś?

— Ach, właściwie to nic — Roy najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę. Podeszedł do barierki i zapatrzył się w fale.

— Trudno uwierzyć, Roy. Niechże mi pan powie.

— Mówiłem już, że błahostka. To Daisy. Szła z Rią i Ristą przez park i nagle w gąszczu liści palmowych dostrzegła Kurta, który akurat namiętnie całował rączkę ślicznej markizy. No i zaczęło się.

— Ależ to bardzo niezręczna sytuacja!

— Niewątpliwie dla Kurta. Miał biedak pecha, bo ten niewinny pocałunek niczego przecież nie oznaczał, a po piekielnej awanturze musi wybić sobie z głowy apetyt na piękną markizę, zaś poza służbą będzie miał Daisy cały czas na karku.

— Czy doszło do scysji między markizą a pańską siostrą?

— Na szczęście nie! Ria zorientowała się w porę i wciągnęła markizę do rozmowy na temat Włoch. Arystokratka była zachwycona, że wreszcie znalazł się ktoś, z kim mogła porozmawiać po włosku, i na nikogo już nie zwracała uwagi, włącznie z Kurtem.

— Ria jest niesamowita. Jak na dziewczynę z bogatego domu jest wyjątkowo bezpośrednia i uczynna — Max patrzył rozmarzonym wzrokiem w morze.

Roy spojrział ukradkiem i pomyślał: — Wzięło następnego! — Tym pierwszym w jego mniemaniu był oczywiście Robert.

— Jak w takim razie wytłumaczyć zmieszanie Risty i mojego przyjaciela — spytał Max, z trudem odpędziwszy myśli od Marii.

— To także błahostka!

— Pan z tą swoją błahostką. Im co się przydarzyło?

— Zwykła sprzeczka, której ja nieszczęsny musiałem być świadkiem.

— Człowieku, niechże nie trzyma mnie pan w napięciu. Nie pytam z ciekawości. Po prostu zależy mi na przyjacielu.

— Otóż w tym samym gaju palmowym, tylko kilka krzaków dalej, pan Rex i Rista siedzieli na ławeczce i nic się nie działo, dopóki on całował ją w rękę...

— A pan gdzie wtedy był? — przerwał mu Max.

— W pobliżu. Spacerowałem sobie. Ale jeżeli będzie mi pan przerywał z byle powodu, to nigdy nie skończę.

— No dobrze. Zamieniam się w słuch.

— Hm, pan Rex całował tę rękę równie namiętnie jak Kurt markizę pod sąsiednią palmą, a potem nagle zaczął się dopytywać, kto to jest maharadża, o którym ja często wspominam. Oczywiście Rista nie chciała mu powiedzieć i pytała, dlaczego jemu tak bardzo zależy na poznaniu prawdy. Pan Rex ni stąd ni zowąd oświadczył, że kocha Ristę i chce wiedzieć, kto stoi mu na drodze. Zerwała się, wyszarpnęła swoją rękę i krzyknęła, że nie może nic powiedzieć. Pan Rex wstał i w milczeniu szedł za Ristą. Akurat trafili na scenę z włoską markizą.

Max poczuł się nieswojo. Zrobiło mu się żal przyjaciela i potrafił sobie wyobrazić, co on teraz czuje.

— Dlaczego panna Rista nie może mi powiedzieć, kim jest maharadża? Mnie też to interesuje, więc jeżeli ma pan do mnie zaufanie...

— Chłopie, czy wy obaj tak ciężko myślicie, czy tylko udajecie? Po zachowaniu Risty każde dziecko by się domyśliło, że maharadżą może być tylko Rex! A przezwisko to daliśmy mu gdy niczym hinduski dostojnik wkraczał na pokład „Oceany”.

— Ach tak! — odetchnął z ulgą Max i dodał z uśmiechem: — W tej sytuacji Rista rzeczywiście nie mogła zdradzić, kto jest maharadżą.

— Zwłaszcza, że w obecności Rexa spytałem ją, czy wyobraża sobie maharadżę w roli ojca zmieniającego pieluszki.

— Pan to ma pomysły! Mam wrażenie, że dokuczanie innym sprawia panu przyjemność.

— Cóż, żeby się pośmiać, każda okazja jest dobra. Wie pan, co myślałem podczas tych mniej lub bardziej tragicznych wydarzeń dzisiejszego popołudnia?

— Ze zdziwieniem słyszę, że pan potrafi myśleć! Aż jestem ciekaw rezultatu tego niezwykle wysiłku, na który pan się zdobył — zaśmiał się Max i poklepał Roya po plecach.

— Mocno powiedziane! A ja, przed którym drży cały świat, muszę tego słuchać z ust jakiegoś tam króla stali! Aleja taki już jestem i robię wszystko, o co mnie ludzie poproszą. Otóż dziś po południu cały czas chodził mi po głowie cytat, właściwie ostrzeżenie, które gdzieś przeczy-

tałem: „Włóczenie się po gaju palmowym będzie surowo karane”. I co nie sprawdziła się groźba?
Max wybuchnął gromkim śmiechem i w doskonałym humorze poszedł do kabiny Roberta.
— Cześć, stary! Co nowego? — usiadł w fotelu i poczęstował się papierosem.
— A co ma być? Dobrze zrobiłeś, że nie poszedłeś. Żadnego nastroju, cholerny upał, a do tego chmary dokuczliwych komarów — burknął Robert nie przerywając toalety.
— Widzę, że nie wróciłeś w najlepszym nastroju.
— Zdenerwowałem się i tyle.
— Na Roya?
— Tym razem wyjątkowo nie na niego. A co ty robiłeś w tym czasie?
— Odwaliłem zaległą korespondencję i wreszcie w spokoju trochę poczytałem.
— Same przyjemności. Równie dobrze mogłeś nudzić się z nami.
— I dołączyć do grona niezadowolonych. Co to, to nie!
— A kto jeszcze ma zły humor?
— Spytaj lepiej, kto nie ma! Roy opowiedział mi o wpadce kapitana.
— Głupia sprawa. Trudno winić markizę. Wyszła z kapitanem, więc była zupełnie pewna, że żadnych plotek nie będzie, a Daisy akurat musiała trafić na zupełnie niewinny pocałunek w rękę.
— Na pewno Kurcio ma w tym swój udział. Mniejsza z tym. — Max zrobił krótką przerwę. — Słyszałeś przypadkiem, że na pokładzie nadano ci przezwisko?
— Wszystko mi jedno. Zdażyłem się już przyzwyczaić — Robert golił lewy policzek i nie odrywał wzroku od namydlonej twarzy w lusterku.
— Tym razem jest to miły przydomek i pewnie ci się spodoba.
— No powiedz wreszcie^Po twoim przydługim wstępie widzę, że masz na to wielką ochotę.
— „Maharadża”!
— Do licha, któż to taki?
— Ty!
— Ja? — Robert odwrócił się z serwetką w jednym ręku, a brzytwą

w drugim i wlepił wzrok w oczy Maxa. — Mnie tu nazywają maharadżą? Jesteś tego absolutnie pewny?
— Tak twierdzi Roy. Nie rozumiem jednak, dlaczego z powodu tego przezwiska jesteś taki szczęśliwy? — spytał Max, wycierając ręcznikiem pianę kapiącą z twarzy Roberta. — Musisz namydlić się od nowa.
— Zrobię, co każesz, Max. Wykorzystaj chwilę i proś, o co chcesz — zawołał rozpromieniony Robert i wymachiwał tubką kremu przed nosem przyjaciela.
— Człowieku, ile naprawdę wart jest świat!
— Od ręki nie powiem ci dokładnie, ale jeżeli nosisz się z poważnym zamiarem kupna, chętnie zbiorę informacje.
— Rób, co chcesz, tylko zmykaj stąd szybko. Chcę choć przez chwilę zostać ze swoim szczęściem sam.
— Ty chyba tracisz zmysły. Zastaję cię w wisielczym humorze, a teraz błyszczysz jak wypolerowana patelnia.
— Człowieku, ty nie masz pojęcia, co się dzieje!
Max miał i w głębi duszy cieszył się, że pomógł przyjacielowi, gdy ten łamał sobie głowę rzekomym konkurentem.
— Widzę, że nieprędko dojdiesz do siebie. Zmykam. Nie zapomnij tylko wcisnąć się w smoking.
— Idź już i nie psuj mi dobrego nastroju.
— Gdyby ci się odmieniło, powiedz zawczasu o co chodzi. Może uda mi się znaleźć lekarstwo.
— Nie sądzę, żebyś w najbliższym czasie miał co robić.
— Poczekam. Mam w tym wielką wprawę.
— Zatem, do zobaczenia!

IV

Przed obiadem Max wyszedł na górny pokład, gdzie zastał Marię i Roya.

— Nie przeszkadzam? Wolno mi przyłączyć się do was? Roy skinął uprzejmie głową i zaraz rzekł:

— Znowu oberwę od panny Hartung, że nie spytałem jej o zdanie. Maria uśmiechnęła się uroczo i odezwała swoim aksamitnym

głosem:

— Roy chciał tylko powiedzieć, że kto za dużo pyta, często traci.

— Rozumiem, że zostałem zaakceptowany. Amerykanin zrobił płaczącą minę:

— Tych dwoje szybko doszło do porozumienia i nikt nie chce się ze mną bawić. Pójdę sobie tam, gdzie mnie lubią.

Do widzenia państwu! — pobiegł do salonu, w którym siedziały same kobiety. Z miną psotnika rozglądał się za swoją siostrą.

Maria i Max zostali sami. Chwilę trwali w milczeniu zapatrzeni w morskie fale. Max pierwszy zdecydował się podjąć rozmowę.

— Jest pani zadowolona z wycieczki do miasta?

— Musiałabym skłamać mówiąc, że owszem, ale bez wyraźnej potrzeby nie lubię zatajać pjawdy. Jakies złe fatum zawisło wczoraj nad nami, przynajmniej nad naszą piątką.

— Roy opowiedział mi już o niemiłym starciu między kapitanem a jego żoną, ale incydent nie dotyczył przecież pani, panno Hartung.

— Oczywiście. Jednak zły nastrój udzielił się także mojej przyjaciółce, a potem również mnie.

— Dokładnie jak w naszym przypadku! Mnie na szczęście udało się już udobruchać mojego przyjaciela.

— A nie mógłby mi pan zdradzić, w jaki sposób?

— Bardzo prosty! — rozgadał się Max, cały czas jednak patrząc na czubki swoich butów. — Powiedziałem mu o przydomku, które mu nadaliście.

— Co? On wie, że nazywamy go...

— Maharadzą! Musiało mu się bardzo spodobać, bo natychmiast rozpromienił się i wpadł w szampański nastrój.

— Panie Bredow! — Maria nagle spoważniała. — Czy mówi mi pan o tym w jakimś konkretnym celu?

Max zawahał się, ale wytrzymał jej spojrzenie.

— Tak jest, panno Hartung.

— Chętnie go poznam.

— Lubię mojego przyjaciela i wiem, co przeżywa w związku...

— W związku z czym?

— Pani przyjaciółką. Trudno, niech pani zgani mnie za niedyskrecję.

— Nie widzę powodu. Zrobiłabym to samo, gdyby chodziło o moją przyjaciółkę. Przyznaję, że także zaobserwowałam wyjątkową sympatię łączącą Ristę i pana Rexa. Uważam, że nie powinniśmy im przeszkadzać, zaś dzisiejszą rozmowę musimy zachować dla siebie. Przy okazji powiem tylko pannie Riście, żeby przytarła trochę różki temu czortowi Royowi.

Max chwycił szybko jej rękę i złożył nabożny pocałunek.

— Cieszę się, że znaleźliśmy wspólny język, panno Hartung. To o czym teraz rozmawiamy, pozostanie oczywiście między nami.

Zaczerwieniwszy się lekko, Maria powoli uwalniała swoją dłoń z uścisku Maxa i uśmiechnęła się niewyraźnie:

— W końcu to także nasz interes, nieprawda?

— I nasza słodka tajemnica! — dodał Max i zdobył się na odwagę, by jeszcze raz pocałować Marię w rękę. Wprost nie mógł uwierzyć, że tak łatwo rozmawia mu się z tą niezwykle sympatyczną kobietą.

Ona tymczasem spojrzała na niego wyraźnie zdumiona, odwróciła się i zrobiła ruch, jakby zamierzała odejść. Max szybko stanął obok niej.

— Jest pani na mnie zła?

— Zła? Skądże! Tylko trochę zdziwiona.

— Skoro tak, to cieszę się. Reszta zaś wyjaśni się z czasem — Maxa zdumiała własna odwaga, której w obecności kobiet zazwyczaj mu brakowało. Maria nic nie odpowiedziała, tylko jej oczy przybrały jakby marzycielski wyraz. Tymczasem Roy, usiłując udobruchać Daisy, wił się jak w ukropie. Czuł, że najwyraźniej mu się to nie uda.

— Daisy, o co ci właściwie chodzi? Dlaczego dramatyzujesz? Co 4 w tym złego, jeżeli od czasu do czasu Kurt pocałuje w rękę którąś z pasażerek?

— Ty oczywiście nie widzisz w tym nic złego? A przecież to prowadzi do rozpadu naszego małżeństwa, wprost do rozwodu!

— Wielki Boże! Co ta kobieta sobie ubzdurzyła! — Roy z trudem zachowywał powagę.

— Dla ciebie to bzdura, ale dla mnie sytuacja jest poważna.

— O czym ty mówisz? — spytał Roy, który przez chwilę myślami był gdzie indziej.

— O zdradzie Kurta.

— Kurt cię zdradza? A z kim?

— Roy, przestań mnie denerwować, dobrze? W każdym razie tak łatwo jej się nie uda zabrać mi męża. Jest mój i nie pozwolę, żeby pierwsza lepsza latawica przyczepiała się do niego.

— Daisy, to raczej ugryź się w język, dopóki nie masz żadnych dowodów w rękę.

— Niby na co? -

— Na to, że męża ma się tylko dla siebie. Znam wiele przypadków, gdzie jest akurat na odwrót, ale ciebie to nie dotyczy — dodał przezornie, żeby nie prowokować siostry jeszcze bardziej. Rozmowa zaczynała go nudzić. Bał się jednak, że może dojść do awantury z piękną markizą, więc postanowił doprowadzić sprawę do końca.

— Boję się, Daisy, że palniesz jakieś głupstwo, dlatego muszę zdradzić ci pewną tajemnicę.

— Coś wiesz o Kurcie? — rzuciła się jak zgłodniały na kromkę chleba.

41

— Zostaw biednego Kurta w spokoju, siostrzyczko. Muszę zdradzić ci coś, co dotyczy tylko mnie. Powiedziałem „muszę”, bo — wierz mi — nie jestem skory do intymnych zwierzeń.

Daisy, jak każda kobieta na wieść, że ktoś chce przed nią odkryć tajemnicę, od razu zapomniała o całym bożym świecie i nie zauważyła chochlików czających się w oczach Roya.

— Mów szybko, bo ktoś przyjdzie i nam przeszkodzi.

— Tylko obiecaj mi, siostrzyczko, że nikomu nie piśniesz ani słowa.

— Roy, przecież mnie znasz!

— No, dobrze. Wiesz, Daisy, dlaczego zrobiłem wszystko, żeby płynąć do Chin akurat „Oceaną”?

— Myślałam, że ze względu na Kurta.

— Gdzież tam! — Roy zniżył głos: — Ze względu na nią!

— O kim mówisz, Roy? — kręciła się zniecierpliwiona.

— O markizie przecież!

— Też się w niej kochasz? — wrzasnęła na całą salę.

— Ciszej, na Boga! Kto niby kocha ją jeszcze?

— No Kurt! — zachnęła się.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytał Roy, udając obrażonego.

— Widziałam, że całował ją po rękach.

— Na moją prośbę, głuptasku! Wiesz, nie miałem śmiałości podejść do markizy i prosiłem Kurta, który tu na statku jest jakby moim ojcem, żeby szepnął za mną słówko tej uroczej kobiecie. Akurat w tym momencie ty musiałaś mu przeszkodzić! — oburzył się.

Daisy patrzyła na brata z niedowierzaniem, zaraz jednak rzuciła mu się na szyję tak rozrzewniona, że Roy miał wątpliwości, czy aby nie przesadził z udawaniem nieszczęśliwie zakochanego.

— Wybacz mi, braciszku, moją krótkowzroczność — niemal płakała.

— Byłam pewna zdrady Kurta i cieszę się ogromnie, że to pomyłka. Powiedz: jak mogłabym naprawić mój błąd?

— Najlepiej zapomnij o zdarzeniu i nie mów nic nikomu. Ja też nie pisnąłbym słówka, gdyby nie chodziło o twój spokój — rzekł Roy łamiącym się z udawanego wzruszenia głosem.

— Bardzo ją kochasz, Roy?

— Ogromnie!

— A ona ciebie?

— To tylko kwestia czasu — sprytnie wycofał się Roy. — Nie wracajmy na razie do tego tematu. Musi pozostać naszą tajemnicą. Obiecuj, Daisy, że ją zachowasz, proszę cię. Trochę mi ulżyło, ale chciałbym teraz przemyśleć sobie wszystko jeszcze raz na osobności.

— Doskonale cię rozumiem, mój chłopcze. Idź, idź! — dodała rozrzewniona i pokiwała z wyrozumieniem głową, patrząc za szybko znikającym bratem.

— Uff! — jęknął Roy — ale się naharowałem! Mam nadzieję, że udało mi się rozpędzić wiszącą w powietrzu burzę. Pocziwa Daisy, zdaje się, dała się nabrać; uspokoi się i nie zepsuje nam humorów. No, a teraz kolej na Kurta, sprawcę całego zamieszania!

Steward warujący u drzwi kapitańskiej kabiny chciał zameldować przybycie Roya, ale ten odsunął go.

— Nie trzeba. Szwagier mnie oczekuje. Nie wie pan, czy będzie jadł kolację z nami?

— Na pewno. Właśnie kazał sobie przynieść wieczorowy garnitur.

— Doskonale!

Chłopiec, zakasowawszy sowity napiwek, cofnął się z zadowoloną miną od drzwi, ale zdążył uprzedzić:

— Pan kapitan wrócił z lądu w pieskim humorze.

— Wcale mu się nie dziwię — zaśmiał się Roy i nacisnął na klamkę. Kurt siedział przy stole, podparłszy ręką brodę patrzył przez okno,

nie zwracając uwagi na wchodzącego.

— Szczęść Boże, Kurciu!

Kapitan zerwał się, jak raptownie zbudzony ze snu.

— Tylko ciebie brakowało! Zwijaj się, bo nie wyjdiesz stąd cało!

— Nie wiedziałem, że jesteś w złym humorze. Co cię tak zezłościło? — nie czekając na odpowiedź, Roy rozsiadł się wygodnie w fotelu i udając niewiniątko, patrzył na rozsierzonego szwagra.

— Jeszcze śmiesz pytać? Co za lichy przygnało was akurat w tym momencie, gdy pocałowałem markizę w rękę! Oszaleć można!

— Lepiej tego nie rób szwagierku. Jeżeli był to tylko niewinny cmok, nie ma powodu, żebyś od razu szalał.

— Ty nie znasz Daisy. Ona nigdy nie uwierzy, że był to tylko nic nie znaczący gest!

- Prawdę mówiąc, ja na jej miejscu także bym nie uwierzył, stary podrywacz!
- Jeżeli przyszedłeś mnie pognębić jeszcze bardziej, to zmykaj stąd, byle szybko! Żebym przynajmniej wiedział, co robić, żeby Daisy nie rozpętała mi tu piekielnej awantury!
- Gdybyś był dla mnie trochę miły, mógłbym ci pomóc.
- Ty?!
- A któż by?
- Dziwne! Po tym, jak w Bremie zapewniłeś mnie o charakterze twoich uczuć rodzinnych, straciłem do ciebie zaufanie.
- Musisz więc je odnaleźć, Kurciu! Wtedy chciałem wymusić na tobie zgodę, dziś zamiary mam czyste jak łąza. Jesteś uratowany, szwagierku, a przy najbliższym spotkaniu Daisy rzuci ci się na szyję święcie przekonana, że jesteś najwierniejszym mężem na ziemi.
- A kto niby dokonał tak cudownej przemiany?
- Ja, twój szwagier.
- Człowieku, jakżeś to zrobił? Niechże cię uścisknę, mój skarbie!
- Daj spokój z owacjami, stary. Przyjmij jednak do wiadomości, że markizę musisz wybić sobie z głowy, bo ja ją kocham. — Co? Ty kochasz markizę? Jestem zaskoczony.
- Ja również, więc się uspokój.
- Jest mi naprawdę głupio. Powiedz wreszcie, co załatwiłeś z Daisy? Przy twoim sposobie opowiadania człowiek ma wrażenie, że najgorsza wiadomość spadnie na niego na samym końcu — Kurt był najwraźniej zdenerwowany i niecierpliwie czekał na wyjaśnienie.
- Żeby ostatecznie uwolnić cię od zadręczenia ukochanej małżonki, po prostu skłamałem przed nią, że kocham markizę, a ciebie prosiłem, abyś wstawił się za mną. Daisy dała się nabrać. Jest mocno wzruszona moim wyznaniem i znowu wierzy, że ma swojego Kurcia tylko dla siebie. Przynajmniej tak to okazuje.
- Ty jesteś nieoceniony, Roy! Jak ja ci się odwdzięczę?
- Wystarczy, że podczas tej podróży będziesz trochę ostrożniejszy
- rzekł Roy, uchylając się od zamasztych poklepywań szwagra.
- Więcej twoich grzechów nie zdołam już wziąć na swoje barki. Przy okazji zrozumiałem wreszcie, dlaczego Ria nie lubi, gdy ją ktoś ciągle klepie po plecach — dodał Roy, pocierając obolałe ramię od energicznie

rozdawanych dowodów wdzięczności krzepkiego szwagra. — Masz ten cios. Tylko pozazdrościć!

Kapitan Sørensen był zbyt pochłonięty odmienioną sytuacją i nie zwracał uwagi na pochwały Roya.

— Bogu dzięki! Brr, już sobie wyobrażałem, jak oberwałoby mi się od Daisy! Kamień z serca! Już chciałem wymigać się od kolacji, ale to tylko odsunęłoby w czasie rozmowę.

Kurt wstał i prężnym krokiem przemierzał kabinę.

— Wiesz, Roy, to nawet dobrze, że Daisy jest z nami na pokładzie ale mogłaby ją złapać choćby na parę dni choroba morska. W obecności żony jakoś me czuję się prawdziwym panem „Oceany”.

— W porównaniu z tobą lew wydaje się potulnym kotkiem, stary! Przebierz się i chodźmy na kolację. Już z głodu burczy mi w brzuchu.

Przy stole zapanowała miła, wesoła atmosfera. Roy był w swoim żywiole. Od chwili, gdy przybył do Niemiec, czuł dziwną potrzebę zabawy, rozrywki i dobrego jedzenia.

V

„Oceana” miała już za sobą kilka sztormowych dni, w czasie których pasażerów pokazujących się na pokładzie można było policzyć na palcach jednej ręki. Zgodnie z wcześniejszym życzeniem kapitana Sørensen’a choroba morska zaatakowała też jego żonę i to wyjątkowo złośliwie. Biedny kapitan gorzko żałował wypowiedzianych bezmyślnie słów. Nie odstępował Daisy na krok, gdy tylko pozwalały mu spiętrzone w czasie sztormu obowiązki. Opiekował się nią troskliwie i dla odmiany błagał niebiosy, by chociaż przez jeden dzień nie nękały parowca kołysaniem.

Ale tropikalne słońce wkrótce przypomniało wszystkim, kto jest władcą tych rejonów świata i niektórzy pasażerowie zaczęli powoli tęsknić za chłodnymi, nawet sztormowymi dniami.

Roy nie zważając ani na upał, ani na chłody, kręcił się jednakowo i polował na kolejną ofiarę swojego ciętego języka. Christa i Maria, a także Robert i Max okazali się wyjątkowo odporni na zmienne warunki morskiej podróży. Całą czwórką trzymali się przeważnie razem, od czasu do czasu dołączał do nich Roy, gdy nie znalazł akurat ciekawszego towarzystwa.

W Colombo na Ceylonie przewidziany był dłuższy postój, część pasażerów, wśród nich czwórka młodych Niemców i Roy, postanowili wybrać się w głąb wyspy. Panowie wypożyczyli broń w nadziei ustrzelenia w dżungli jakiegoś egzotycznego zwierza. Dla żartów Christa zabrała swój damski rewolwer.

Właściwie to mieli tylko dziesięć godzin i musieli bardzo się spieszyć, chcąc zobaczyć jak najwięcej.

— Jeżeli będziecie polować na słonie i tygrysy, zostanie wam niewiele czasu na zwiedzanie miasta i bazaru — przekonywał Roy, przejmując samowolnie rolę przewodnika.

— Nie jesteśmy znowu aż tak zachłanni, Roy! Mnie tam wystarczy jeden słon i jeden tygrys — zaśmiał się Max, pomagając Marii przy schodzeniu z szalupy, którą przywieziono ich na ląd. — A o czym wy marzycie, szanowne damy?

— Ja chcę zobaczyć świątynię i bazar — pierwsza zgłosiła się Christa.

— Dziwna mieszanina gustu! W każdym razie tutaj świątynie niewiele się różnią od bazarów, zwłaszcza pod względem czystości, a właściwie jej brakiem. Proponuję, żeby najpierw spełnić życzenie pań, a dopiero potem wybierzemy się do dżungli.

— Skoro jest pan tak dobrze zorientowany, chętnie wynajmiemy pana za przewodnika.

— Załatwione. Całe szczęście, że nie ma z nami Daisy — ona okropnie brzydzi się brudem.

Jechali wynajętym samochodem szeroką aleją wysadzaną palmami, wiodącą z portu do centrum ceylońskiej stolicy.

— Ale ja wcale nie widzę tu brudu! — sprzeciwiła się Christa, patrząc na błyszczące marmurowe płyty, którymi wyłożona była aleja.

— Wszystko w swoim czasie. Będziecie go mieć po dziurki w nosie. Co do mnie, ilekroć jestem na Szmaragdowej Wyspie i patrzę na te wspaniałe palmy i kwiaty, ogarnia mnie dziwne wrażenie.

— Nic dziwnego: jest ich tu ogromna ilość. Tak dorodnych palm nie widziałam jeszcze nigdy — zachwycała się Maria.

— Dobrze, że są między nimi także inne drzewa, bo znów należałoby się spodziewać najgorszego — rzucił Roy mrugając porozumiewawczo do Maxa.

— Coś ty znowu wykombinował?

— „Włóczenie się po gaju palmowym, będzie surowo karane” — wyrecytował Roy.

— „Nie maluj diabła na ścianie”! — Zna pan to przysłowie? — rzekł do niego po cichu Max, gdy wysiedli i piechotą szli w kierunku centrum.

Robert i Christa pochłonięci rozmową szli nieco z przodu.

— Proszę państwa, teraz w prawo! Jeżeli chcecie iść na bazar, trzeba przedrzeć się przez tłum. Bez ciżby nie ma targowania!

Gwar pokrzykiwania, przepychanki, szwędające się dzieci, bezpańskie psy, objuczone tobołami osły, krowy, nawet gołębie, kolorowy tłum mężczyzn i kobiet — to typowa atmosfera orientального bazaru i prowadzących do niego uliczek. Wokół sklepików z towarami przeznaczonymi dla Europejczyków tłum wyraźnie gęstniał. Jedni przystawali, by posłuchać targu kupca z turystą, inni — głównie żebracy — czekali, że przy okazji transakcji im także coś skapnie. Zdarzało się to niezmiernie rzadko. Europejczyk oszołomiony gwarem i bogactwem Orientu przestawał szybko zwracać uwagę na wyciągnięte ręce żebraków.

Christa jednak nie potrafiła się otrząsnąć z przygnębienia, choć przecież z nędzą spotykała się już w innych miastach. Tutaj wszystko wydawało jej się stokrotnie gorsze. Chwyliła mocno ramię Roberta. Uścisnęła jej szczupłą dłoń i nie mógł się powstrzymać, by nie złożyć na niej pocałunku.

— Boi się pani, panno Holm?

— Nie. Nie odczuwam strachu, raczej współczucie.

— Radzę nie patrzeć na nędzę, a poszukać czegoś pięknego.

— Nie widzę nic takiego. Musiałby mi pan pokazać.

— Tak? To proszę spojrzeć nieco w górę. O, czy ta świątynia nie jest warta obejrzenia? Widziała pani coś piękniejszego?

— Dla mnie jest tylko pomnikiem piękna i sztuki, który w żaden sposób nie przesłania cierpień tych ludzi.

— Cóż, naprawdę dostrzega pani tylko brzydotę i nędzę? Mam! Są tu także piękni ludzie. Proszę zerknąć na tę dziewczynę — Robert pokazał młodą Hinduskę, bawiącą się z małym chłopcem obok fontanny. Dziewczyna smukła, zgrabna, z odsłoniętymi ramionami, wielkimi, pięknymi oczami, przypominała klasyczny posąg z brązu. Christa westchnęła.

— Tak, ta dziewczyna jest rzeczywiście piękna. Patrzy w naszą stronę. Czy wypada dać jej jałmużnę?

— Możemy spróbować. Jeżeli jest brahmanką, nie przyjmie od

niewiernych ani grosza — wyjaśnił Robert i dał znak Hindusce, żeby podeszła.

Chwyciła malca za rękę i bez wahania zbliżyła się do cudzoziemców. Patrząc z podziwem na Christę, rzekła:

— Zeeb al rissah, gu Sandaria.

— Niech pan zawoła szybko Roya. On zdaje się rozumie miejscowy język — podnieciła się Christa nagle odzyskując dobry nastrój.

Roy zjawił się jak na zawołanie i spytał piękną Hinduskę, co przed chwilą powiedziała.

— O, zrobiła pani na tej małej ogromne wrażenie, Christo. Jej słowa można przetłumaczyć mniej więcej tak: „Jesteś niezwykle piękna, pani, ozdobo swojego plemienia”.

Christa zaczerwieniła się i sięgnęła do torebki, skąd wyciągnęła angielski banknot i podała go Hindusce. Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, potem rzekła:

— Mereko kya faida, mem Sahib?

— Nie wie, po co są pieniądze. Pyta, co ma zrobić z tym banknotem. Być może nie widziała nigdy angielskich funtów.

Ulicą szedł policjant — Hindus. Zachowywał się, jakby to on był panem całego bazaru. Popychał tubylców, krzyczał, poszturchiwał ich. Dziewczyna na jego widok uśmiechnęła się niepewnie, wzięła malca na rękę i pospiesznie coś szepnęła.

— Ourria! Ourria! Baboo bahut kuffa!¹ — i znikając w tłumie, pomachała Chrście.

— Dzięki tej małej choć na chwilę poczułam się lepiej — rzekła Christa, patrząc za znikającą dziewczyną.

Szli powoli naprzód. Max, Maria i Roy zostali nieco w tyle. Przystanęli obok świątyni Sziwy przy sadzawce wypełnionej wodą. Tłum ludzi zgromadził się wokół fakira, który tu pokazywał swoje sztuczki.

— Co tam się dzieje? Możemy zatrzymać się na chwilę? — spytała Christa i nie czekając na decyzję Roberta, wmieszała się w szeregi tubylców zapatrzonych w „cudotwórcę”.

50

¹ Szybko, szybko! Pan władza jest wściekły.

Hindus ze stojącego obok kosza wyjął olbrzymiego zielonkawego węża. Zwinął go w kilka kręgów i położył na dywaniku przed sobą. Wziął mosiężny talerz, na którym paliły się wonne zioła i szczyptą popiołu posypał węża. Zwierzę poruszyło się leniwie, a po chwili zdarzyło się coś, co wyglądało jak sen: z zielonego tułowia zaczęły wyskakiwać jaskrawo ubarwione młode i ułożyły się wokół starego gada. Było ich mnóstwo, a wymiary węża wcale nie uległy zmianie. Nagle wszystkie młode zniknęły w mgnieniu oka. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, co z nimi się stało.

Robert przecierał oczy, jakby nie wierzył, że coś takiego zobaczył na jawie. Spojrzał na Christę, by sprawdzić, czy widziała to samo co on. Za nic w świecie nie odważyłby się przerwać nabożnej ciszy, jaka zaległa wśród zgromadzonych.

O dziwo, Christa wcale nie interesowała się popisem fakira. Patrzyła w zupełnie inną stronę.

Na uboczu, poza kręgiem widzów, stał drugi kosz fakira, a przy nim bawił się braciszek pięknej Hinduski, z którą Christa rozmawiała przed chwilą. Dziewczyna zauroczona pokazem nie zwracała uwagi na malca, za to Christa, czując wstręt do węży, wołała patrzeć na chłopca niż na fakira.

— I nie żałowała. Z kosza stojącego obok małego Hindusa, nagle wysunęła się głowa wielkiego węża, który poruszając groźnie rozwidlonym językiem, wyraźnie zbliżał się do piersi zajętego zabawą dziecka.

Co robić? Przez chwilę Christę sparaliżowała zupełna bezradność. Powinna ostrzec małego, ale on i tak nie zrozumie obcej mowy. Pozostali są zajęci widowiskiem, zaś wąż może zaatakować w każdej chwili. Trzeba działać szybko, ale jak? Gdy gadzi język niemal już dotykał chłopca, Christa straciła panowanie nad sobą. Drżącą z emocji ręką sięgnęła do torebki, wyjęła swój mały rewolwer, wycelowała i pociągnęła za spust. Huk, łeb gada zawisł bezwładnie na krawędzi kosza, rewolwer upadł na ziemię, a Christa zamknęła oczy. Otworzyła je, gdy usłyszała krzyk Roberta.

— Christo, czy pani oszalała?!

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, w tłumie Hindusów podniósł się ogromny krzyk. Wszyscy wrzeszczeli, wymachiwali rękoma,

łapali się za głowy. Fakir zerwał się i gestykułując, biegł w stronę Christy, która schroniła się za plecami Roberta.
— Pishashaki poh, mem Farinki².

W tym momencie tłum ruszył wygrażając Chrście pięściami. Wśród tumultu Robert ledwo dosłyszał głos Roya.

— Szybko. Rex, uciekajcie co sił w nogach do portu, bo zostaniecie zlinczowani.

Nie zastanawiając się ani chwili, Robert chwycił osłupiałą Christę w pól i rzucił się w wąską poprzeczną uliczkę.

Fakir i pomstujący tubylcy na moment stracili ich z oczu, ale wnet ruszyli w pościg, zabierając po drodze tych, którzy nie byli świadkami zdarzenia.

— Musi pani wyciągnąć nogi. Cenna jest każda sekunda przewagi — rzekł Robert, ciągnąc Christę za sobą. Biegli jak w transie, a nacierający tłum gęstniał za ich plecami i deptał im niemal po piętach. W pierwszym szeregu biegła śliczna Hinduska, odmieniona nie do poznania. Z wykrzywioną z nienawiści twarzą krzyczała:

— Butgerum, mem Sahib, ay ki kushi Bhawani!³

Robert ciągnął za sobą opadającą z sił dziewczynę i czuł, że przed rozhisteryzowanym tłumem nie zdążą już uciec. Pozostało mu tylko użycie pożyczonego na statku browninga. Odwrócił się błyskawicznie, wycelował w nogi biegnącego z przodu fakira i nacisnął na spust.

Hindus wrzasnął przeraźliwie, zatoczył się i upadł.

Robert liczył, że odgłos wystrzału powstrzyma tłum, a tymczasem podziałał wręcz odwrotnie. Wrzawa nasiliła się, na ucieczkę było właściwie za późno.

Z poprzecznej uliczki wyszedł nagle oddział brytyjskich żołnierzy i zupełnie nieoczekiwanie Robert i Christa znaleźli się w samym jego środku. Z gotowymi do strzału karabinami oddział stanął naprzeciw rozjuszonych Hindusów. Gwar ucichł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Podniesiono z ziemi rannego fakira i w oka mgnieniu pościg zamienił się w zwyczajny tłum ludzi kręcących się koło bazaru.

Christa z trudem dochodziła do siebie. Wyrwała się z objęć Roberta i wyczerpana oparła o ścianę budynku. Angielski oficer spytał Roberta

52

²Niech cię diabli porwą, przeklęta Europejko

³Poczekaj biała kobieto, zemsta Obrońcy Biednych i tak cię dosięgnie.

o przyczynę zajścia. Ten widział tylko, że Christa strzeliła do węża, ale czy to był powód wybuchu wściekłości tłumu, młody Niemiec nie potrafił powiedzieć.

— To oczywiście. Lady zabiła węża, którego fakir wyniósł ze świątyni, a ponieważ są to święte zwierzęta, tłum chciał pomścić śmierć jednego z nich, zwłaszcza że gad zginął z ręki kobiety niewiernej.

— Dlaczego pani to zrobiła, miss?

— Nikt nie widział, że wąż zaatakował dziecko, i gdybym nie strzeliła, chłopiec już by nie żył — wyjaśniła Christa, patrząc z niepokojem na reakcję Anglika, który ukłoniwszy się grzecznie, rzekł:

— Proszę pani, dziecku nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Święte węże są oswojone, a poza tym pozbawione zębów jadowych. Niepotrzebnie się pani naraziła tubylcom, którzy zupełnie nie zrozumieli, dlaczego zabiła pani ich święte zwierzę. Gdyby nie nasza przypadkowa obecność w tym miejscu, nieporozumienie mogłoby was oboje drogo kosztować. Zanim dotarlibyście do ulicy, gdzie można złapać taksówkę, byłoby już po was.

— Panna Holm nie zna tutejszych obyczajów, ja zresztą również — tłumaczył się Robert, patrząc z troską na wciąż przerażoną Christę.

— Rozumiem. Nie po raz pierwszy spotykam się z karygodną lekkomyślnością Europejczyków, którzy nie znając Indii, zapuszczają się samotnie w rejony zamieszkałe wyłącznie przez tubylców. Dzięki Bogu, tym razem eskapada skończyła się szczęśliwie. Pozwolicie, państwo, że odprowadzę was do portu?

— O chętnie! — zgodziła się Christa, ale w tej samej chwili popatrzyła z trwogą na Roberta. — A nasi znajomi? Co z nimi? Mój Boże, czy aby nic im się nie stało?

— Na pewno nie, bo to Roy zauważył co się święci i krzyknął, żebyśmy uciekali.

— Roy? Przepraszam, czy przypadkiem nie chodzi o pana Harri-sona? — spytał Anglik.

— O nim mówię — potwierdził zdziwiony Robert. Anglik roześmiał się zadowolony.

— Coś podobnego! Roy znowu w Indiach... Jeżeli wasi przyjaciele zostali z nim, możecie państwo być spokojni o ich los. Pod opieką Roya

włos z głowy nikomu nie spadnie. On wywinie się z każdego kłopotów, choć nie zawsze elegancko.

— Sława Roya Harrisona dotarła aż do Indii?

— Poznałem go w zeszłym roku w Bombaju, gdzie wówczas służyłem.

— Roy płynął wtedy do Niemiec — wtrąciła Christa zadowolona, że wreszcie rozmowa zeszła na inny temat.

— Zaczekajcie państwo chwilę. Odprawię moich żołnierzy do koszar.

Wydał rozkazy w nienagannym języku hindi, a gdy żołnierze odmaszerowali, stwierdził z ulgą — no, jestem po służbie. Teraz możemy ruszyć na poszukiwanie Harrisona.

Wzięli Christę pomiędzy siebie. W towarzystwie sympatycznego Brytyjczyka szybko zapomniała o przykrych przeżyciach sprzed kilku minut.

— Porozmawiamy w jakimś przyjemniejszym otoczeniu. Poza godzinami służby dzielnica targowa wcale mnie nie interesuje — rzekł Archy Babberton, który dopiero teraz miał okazję, aby się przedstawić.

— A co z Royem i pozostałymi?

— Cierpliwości panno Holm. Znam dobrze Roya i wiem, że po ciężkich przejściach musi ochłonać w jakimś zacisznym miejscu. W tej ruchliwej dzielnicy o tej porze spokój panuje tylko w świątyni boga słońca, w pozostałych odbywają się południowe modły. Surya przyjmuje swoich wierzycieli... co ja mówię: wierzących —jedynie o świcie. Ciągłe wierzący mylą mi się z wierzycielami, ale — jak to mówią: co w sercu, to i na języku — zaśmiał się młody oficer.

— Wierzyciele? — zdziwił się Robert. — Zawsze myślałem, że w garnizonie na terenie Indii można zbić majątek.

— Nonsens! Polo, tenis, jazda konna, polowania, utrzymanie domu i służby — wszystko kosztuje, a obejść się bez tego w tych pieskich warunkach? Można zwariować!

— Zatem służba w angielskim mundurze w Indiach to żadne kokosy?

— Wręcz przeciwnie, miss Holm, ale jakie wyjście ma ktoś, kto urodził się jako trzeci syn w rodzinie? No, to jesteśmy w rezydencji Jego Wysokości Suryi.

— A po Royu ani śladu!

— Jest, jest! — odezwał się nagle stłumiony głos dochodzący z nieokreślonego kierunku.

— Roy! Ria! Gdzie jesteście? — ucieszyła się Christa.

— Tam, gdzie wpędziła nas pani głupota! — odparował głos. Rozglądali się po pogrążonej w półmroku świątyni i nie widzieli

nikogo, choć głos Roya słyszeli bardzo wyraźnie.

— Siedzimy tu sobie wygodnie wszyscy troje, a wyjdziemy dopiero wtedy, gdy rozjuszony fakir uspokoi się trochę.

— Roy, dość tych wygłupów. Jest z nami pan Babberton, który uratował nam życie — powiedziała Christa, kręcąc się dookoła.

— Kto taki?

— Ja, Archy Babberton.

— Wielkie nieba! Archy w Colombo! To trzeba jakoś uczcić!

Po chwili w pobliżu ołtarza rozległy się czyjeś kroki. Christa natychmiast ruszyła w tamtą stronę. Stała jak wryta, gdy nagle usłyszała za swoimi plecami głos Marii:

— Ależ, Risto! Dlaczego odchodzisz, skoro jestem tutaj? Rzuciły się sobie w ramiona. Gdy opadły pierwsze wzruszenia,

okazało się, że Roya wciąż brakuje. Max odwrócił się w tę stronę, z której przyszli z Marią.

— Roy, ta nisza, w której za pańską radą się ukryliśmy, wcale nie jest wygodna. Niechże pan też już wyjdzie.

Głos jednak odpowiedział z zupełnie innego kierunku.

— Wcale też w niej nie siedzę! Poszukajcie mnie. Ale zanim wyjdę, każcie obiecać temu Anglikowi, że nie będzie naciągał mnie na pożyczki!

— Przysięgam, nic od ciebie nie chcę — roześmiał się Babberton.

Między szeroko rozstawionymi nogami dziesięciometrowego posągu Suryi ukazał się Roy. Usiadł wygodnie na wielkim palcu bóstwa i kiwał w powietrzu nogami.

— I kogóż to widzimy!

Wszyscy obejrzeni się zdziwieni. Głos Roya dochodził z przeciwnej strony, odbijał się echem w jednym miejscu, niezależnie od tego, gdzie znajdował się mówiący. Już mieli ochotę pobawić się z echem, gdy Babberton podbiegł do Roya.

— Człowieku, czyś ty oszalał? Chcesz nas wpędzić w jeszcze większe kłopoty niż przed chwilą panna Holm?

— Niby z jakiego powodu — zdziwił się.

— Dotykając posagu bóstwa, zbeszcześciłeś go. Złaż szybko, zanim zjawi się tu któryś z kapłanów.

Wygramolił się ze swojego wygodnego siedziska i stanął skruszony obok Babbertona.

— Idę do domu. W Indiach nie czuję się najlepiej.

— Ależ, Roy! Nie jesteś tu nowicjuszem i o podstawowych prawach powinieneś pamiętać — a zwracając się do Roberta, Anglik dodał: — Ma pan następny przykład, jak łatwo Europejczyk może wpaść tu w śmiertelną pułapkę.

— Uff! Ale mi się dostało! Wyobrażam sobie, co powiedziałyby ojciec, Risto, gdybym mu nie dowiózł pani całej i zdrowej.

— Mnie? Pomylił mnie pan z Rią. Ja nie mam ojca — broniła się Christa z przerażeniem w oczach.

— Jak to? Ach, tak! Znowu coś pokręciłem. Miałem na myśli pani ojca, Rio — popatrzył na Marię, która z trudem tłumiła śmiech na widok głupiej miny Roya.

— Nic się nie stało, Roy. Po prostu musi pan ochłonąć po ciężkich przeżyciach, a nie jest pan pierwszy, który nas pomylił. W końcu imiona mamy bardzo podobne — próbowała ratować sytuację Maria, widząc, że Robert i Max wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

W sukurs Chrście przyszedł niespodziewanie Babberton. Poklepał Roya po ramieniu i spojrzał na Marię.

— A więc to jest ten klejnot, który masz dowieźć do Chin?

— Jest. Ostrzegam, jeżeli w jej obecności spróbujesz swoich sztuczek z Bombaju, to od razu przetrączę ci kark — Roy wyraźnie się zacietrzewił. — Wyjdźmy już stąd. Pełno tu krowiego łajna, a od smrodu kręci mi się w głowie — dodał w pośpiechu, chcąc jak najszybciej zmienić temat rozmowy.

— Proszę, panie Babberton, niech nas pan zaprowadzi najkrótszą drogą do portu — poprosiła Christa. — Ja również mam Indii szczerze dość.

Anglik zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, w której pomieścili się wszyscy.

— Za dwie minuty będziemy w porcie. Teraz przynajmniej rozumiecie, jak czują się angielscy żołnierze, którzy muszą pracować tu latami.

— Ratunku! Babberton przygotowuje atak: będzie pożyczal pieniądze. Ja nie dam ani centa!

— Ależ z ciebie dusigrosz, Roy! Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy pożyczanie mi choćby drobiazgu poczytują sobie za zaszczyt

— zaśmiał się Anglik i znowu mocno klepnął Roya w ramię.

— Po pierwsze: nie uwierzę, że jacyś zdrowi ludzie akurat tobie dadzą się naciągnąć na pożyczkę, a po drugie, to chyba każę sobie podwatować marynarkę, bo przyjął się jakiś dziwny zwyczaj poklepywania mnie po ramieniu. Całe szczęście, że jesteśmy już w porcie. Adieu, Indie! Miło tu nas nie przyjęto.

— Ani cienia wdzięczności, Roy. Czy to nie dzięki Indiom znowu spotkał pan serdecznego przyjaciela?

— Prawda! Dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Jak ja w ogóle tak długo wytrzymałem bez kochanego Archy'ego? Chyba jednak przestanę go kochać: łobuz wciąż żyje na kredyt!

— Choć trochę muszę cię pocieszyć, Roy: od ciebie na pewno niczego nie wezmę, sknero! — odparł Babberton podtrzymując żartobliwy ton rozmowy.

Tymczasem, trzymając się pod rękę, Daisy i markiza spacerowały po nabrzeżu w pobliżu przycumowanej „Oceany”. Roy zobaczywszy je z daleka, struchlał.

— No to wpadłem! — pomyślał. — Siostrzyczka z całą pewnością wysunęła już czułki i bada sytuację z myślą o moim szczęściu.

— W pierwszym momencie miał ochotę rzucić się do ucieczki, ale szybko doszedł do wniosku, że lepiej najpierw wybadać szwagra, jak daleko Daisy posunęła się w próbach włączenia markizy do rodziny.

— Już wróciliście? Tak prędko... Myślałam, że pokażecie się dopiero wieczorem — przywitała przybyłych kapitanowa.

— Stęskniliśmy się za tobą, siostrzyczko, i dlatego jesteśmy.

— Za kim ty tęskniłaś, to ja wiem najlepiej — odpowiedziała Daisy i popatrzyła znacząco na markizę. Ta zaś nie zwracała w ogóle uwagi ani na nią, ani na Roya, gdyż akurat Max przedstawił jej Anglika. Babberton zachwycony urodą pięknej włoszki, wprost zaniemówił.

W tym momencie Roy wpadł na genialny pomysł.

— Szanowni państwo! — zawołał. — Przepraszam bardzo ale muszę was zostawić na pół godziny — i nie czekając na odpowiedź rzucił się biegiem w stronę trapu. Na pokładzie spytał pierwszego napotkanego marynarza:

— Gdzie jest kapitan?

— W maszynowni. Nadzoruje usuwanie drobnej usterki.

— Całe szczęście! To musi się udać, — mruknął zupełnie bez sensu a odsunawszy kręcącego ze zdumienia głową marynarza, pobiegł po' schodach pod pokład. Zatrzymał się dopiero za drzwiami maszynowni a właściwie został zatrzymany przez potężnego pomocnika palacza' który zastąpił mu drogę.

— Hopla, kolego! Pasażerom tu nie wolno.

— Po co pan się chwali swoim berlińskim akcentem?

— Nie podoba się panu? Ja tam się nie wstydzę, że urodziłem się w Panków, ochrzczono mnie wodą ze Szprewy i wykarmiono ziemniakami z mlekiem.

— Aż dziw, że na samych ziemniakach tak pan się wypasł. Zechce teraz pan odsunąć się trochę i przepuścić człowieka, któremu pilno

Roy próbował obejść postawnego berlińczyka, ale ten rozłożył swoje potężne ramiona, broniąc dostępu do schodów prowadzących w dół

Z lekceważącą miną Roy schylił się, prześliznął pod ręką atlety i już jedną nogą stanął na pierwszym schodku, gdy nagle zawisł w powietrzu... Olbrzym trzymał go mocno za tył spodni i uśmiechał się tryumfująco.

— No nie, chłopczyku! Tak bawić się nie będziemy. Jeżeli swoimi głupimi dowcipami chciał mnie pan zagadać, to się nie udało. Nie pozwolę, żeby stary zrugął mnie za byle co, o nie!

— Proszę mnie natychmiast puścić! — wściekł się Roy.

— Chętnie to zrobię; nie mam tylko pewności, czy zmieni pan kurs Roy osłupiał. Szarpał próbując uwolnić się z rąk siłacza gdyż

wiszenie w powietrzu z opiętymi spodniami nie należało do przyjemności.

— Puść, do jasnej cholery! — wrzasnął.

Albo berlińczyk wzmocnił chwyt, albo też Roy szarpał za mocno w każdym razie sfatygowane już w świątyni, cienkie spodnie nie

wytrzymały i spory kawał tkaniny z siedzenia został w ręku krzepkiego marynarza.

Pozbawiony punktu zawieszenia nieszczęśnik sunął po zachlapanych olejem schodach aż do samej maszynowni, nabierając przy tym zawrotnej prędkości.

Jakby tego było mało, na dole doskoczył do niego drugi maszynista i wrzasnął:

— Czego pan tu szuka? „Pasażerom wstęp wzbroniony” — nie umie pan czytać?

— Daj spokój, Jon. Ten pan schodził tak szybko, że pewnie nie zauważył napisów. Pogubił nawet część swoich gaci.

O, patrz! — wołał z góry berlińczyk, rzucając brakującą część garderoby Roya.

Biedak siedział na zatłuszczonej olejem podłodze i dopiero po chwili zrozumiał, że biała szmata spadająca z góry to fragment tylnej części jego spodni. Zerwał się, by zwymyślać obu dowcipnisiów, ale ani ręce, ani nogi nie znalazły solidnego oparcia, a w rezultacie wszechwładne prawo grawitacji znów dało o sobie znać, z tą tylko różnicą, że tym razem Roy sunął po pochyłej powierzchni leżąc na brzuchu. Gdy wreszcie się zatrzymał, przynajmniej wyglądał jednakowo i z przodu, i z tyłu.

Rozpaczliwie wymachiwał rękoma, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Na nieszczęście w pobliżu stało na taborecie wiadro ze użytym olejem. Nieopatrznie trącone, wylało złośliwie całą swoją mazistą zawartość na intruza. Na dodatek, Roy chciał w tym momencie coś powiedzieć, bo otworzył usta, a zanim zdążył je zamknąć, już wypełniły się czarną, cuchnącą cieczą.

Biedny Roy, nic nie zapowiadało końca jego nieszczęść. Stanął nagle nad nim szwagier. Patrzył zdumiony i zadał pytanie zupełnie nie pasujące do pożałowania godnej sytuacji:

— A ty co tu robisz?

Wiadomo, że z haustem oleju maszynowego w ustach raczej nie należy odpowiadać na głupie pytania.

Strojąc miny Roy pokazywał szwagrowi potargane spodnie i rzucał wściekłe spojrzenia na stojącego u góry berlińczyka.

— Co tu się stało? Kto wpuścił mojego szwagra do maszynowni? — grzmiał kapitan.

Maszynista zbiegł po schodach i nie przebierając w słowach, opisał przebieg zdarzenia. Stali wszyscy trzej nad Royem, wciąż siedzącym w kałuży oleju, i śmiali się do rozpuku. Tego było już za wiele. Roy ostrożnie przekreślił się na brzuch, powoli doczołgał się tyłem do ściany, wstał, rzucił na szwagra sztyletujące spojrzenie i skierował się ku schodom prowadzącym na pokład.

— Stój do cholery! Chcesz mi cały statek zapaprać olejem? John, proszę przynieść z mesy jakiś koc. Zawieście tę ofiarę i zanieście z Krugerem na basen. Dopilnujcie, żeby wykapał się najpierw w gorącej wodzie, bo w przeciwnym razie jutro pasażerowie musieliby pływać w oleju.

Roya o zdanie nikt nie pytał. Potraktowano go jak brudny przedmiot, który należało przenieść i wmyć. Pięć minut później stał już pod gorącym prysznicem, a pierwsze co zrobił, to dokładnie wypłukał usta, by wreszcie przemówić. Jego słów lepiej w tym miejscu nie przytaczać, choć prawdę mówiąc, przyniosły mu zdecydowaną ulgę.

Godzinę później czyściutki i odświeżony siedział już w kabinie szwagra.

— Pamiętaj, Kurteczku: jedno słowo o tym, co przydarzyło się w maszynowni, a ...

— Każ się wypchać! Sam wiem, co wolno mi mówić, a co nie.

— To się cieszę. A teraz powiem ci wreszcie, co sprowadziło mnie do maszynowni.

— Raczej „rzuciło”, chciałeś powiedzieć.

— Nie przerywaj mi. Jesteś zadowolony z zachowania Daisy?

— Cisza i spokój, jak za najlepszych czasów.

— A komu to zawdzięczasz?

— Tobie, tylko i wyłącznie.

— I nie pomyślałeś, że czas mi się odwdzieczyć?

— Nie miałem jeszcze sposobności.

— No to ją masz! Możesz to zrobić za darmo i bez większych kłopotów.

— Mów wreszcie, co wymyśliłeś.

— Ta awaria w maszynowni to coś poważnego?

— Drobiazg, ale co ma ona wspólnego z wdzięcznością?

— Czy mam rozumieć, że zgodnie z planem odpłyniemy dziś wieczorem?

— To oczywiste!

— Nie dla mnie, mój drogi.

— Coś ty znowu wymyślił?

— „Oceana” musi zostać w porcie przynajmniej cały jutrzejszy dzień.

— Nigdy!

— Nie wrzeszcz, nie jestem głuchy. Jeżeli nie dosłyszałeś, to powtórzę: „Oceana” musi pozostać w porcie jutro, a może nawet pojutrze. Awaria maszyny to wystarczający pretekst, zaś naprawa będzie trwała, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

— Jaka znowu sprawa?

— Zaręczyny Babbertona z markizą!

Kapitan Sørensen cofnął się o krok, popatrzył z troską na szwagra, potem podszedł, i po ojcowsku poklepał go po ramieniu.

— Chłopcze, musisz szybko coś ze sobą zrobić. Jesteś nerwowo wyczerpany.

— Tak źle jeszcze ze mną nie jest, ale może do tego dojść, jeżeli natychmiast mi nie pomożesz. Daisy skumała się już z markizą i nie popuści, dopóki mnie z nią nie ożeni. Wpadłem przez ciebie w tę pułapkę, gdyż chciałem zatuszować twój miłosny wyczyn.

— Wypraszam sobie! Tak daleko to się nie posunąłem.

— Tak mi się odwdzięczasz?

— Do cholery! Czy ja nigdy nie wyplątam się z tej przeklętej afery?

— Właśnie masz szansę, tylko spokojnie posłuchaj, o co mi chodzi: Spotkałem mojego przyjaciela z Bombaju. Gdy przedstawiłem go markizie, zauważyłem, że oboje od razu wpadli sobie w oko. Powinni się pobrać, a my — ty i ja — raz na zawsze pozbędziemy się markizy! Daisy przestanie mnie uszczęśliwiać na siłę, a Babbertonowi trafi się bogata żona, która wreszcie napelni jego sakiewkę bez dna. Markiza wygląda na wściekle bogatą damę, no nie?

— Rozumiesz jak mały Jasio! Chcesz manipulować ludźmi?! To nie kukielki w teatrze!

— Pięknie powiedziane! Kurteczku, ty jesteś poetą? Nie chodzi

O żadną manipulację; tym ludziom trzeba dać kilka dni, żeby się odnaleźli. Markiza musi także spakować walizki.

— Zaczynam poważnie podejrzewać, że jednak ci odbiło.

— Szkoda twojego wysiłku na myślenie. Zrób tylko to, o co cię proszę, a resztę zostaw mnie.

— A ty roztrwonisz dobrą sławę moją i tej łajby.

— Przeciwnie, mój drogi: wszyscy będą cię chwalić za rozwagę

i przezorność. Pasażerom zaś możesz wynagrodzić niewygodę związane z nieprzewidzianym postojem, zapraszając ich po prostu na bal kapitański.

— Roy, naprawdę spełniłbym twoje zachcianki, ale nie mogę.

— Jakie moje? Czy nie rozumiesz, że tu chodzi o ciebie? Jeżeli Daisy rozwinie swoje plany i zechce ożenić mnie z markizą, to w końcu będę musiał powiedzieć jej prawdę. Dla twojego świętego spokoju nie mam wcale zamiaru wiązać się z markizą. Na dodatek, nie jest ona w moim guście.

— Głupstwa pleciesz! Nawet nie wiesz, jaka to miła i słodka kobieta.

— Patrzcie, on się zakochał! Już choćby dlatego markiza musi zniknąć z pokładu. Idę porozmawiać z Babbertonem i urobić go wstępnie, a tobie podeślę głównego stewarda, abyś mógł z nim uzgodnić menu na dzisiejszy bal. A, byłbym zapomniiał: zaproszę w twoim imieniu także Babbertona.

Kapitan musiał z goryczą przyznać, że kolejny raz dał się zaszachować swojemu szwagrowi. W duchu cieszył się, bo w trakcie przymusowego postoju każe dokładnie przejrzeć wszystkie maszyny, więc nie opierając się już dłużej, przystał na propozycję Roya.

— No dobrze! Ale pojutrze z rana wypływamy, obojętnie, czy twoje swaty powiodą się czy nie.

— O to już się nie martw. Wreszcie my dwaj będziemy mieć spokój i wykorzystamy przyjemność podróży, ile się da.

— Jednego jestem pewien już teraz, Roy: nigdy więcej nie wezmę żony na pokład. Jak chce podróżować, niech wybiera inny statek, każdy chce zarobić. Dotyczy to również twojej osoby: następnym razem radzę ci płynąć innym statkiem.

- Nic z tego: przyzwyczałem się do „Oceany”.
- W takim razie ja poproszę o przeniesienie. Chcę wreszcie mieć spokój, do jasnej cholery.
- Oho! Kurcio ma dosyć. Żegnam, stary, i uśmiechnij się. Wyglądasz wtedy przystojniej.

VI

Plan Roya musiał chyba spodobać się niebiosom, amorowi i samemu diabłu. Niebiosa sprawiły, że w czasie balu kapitańskiego pogoda była przecudna. Przyjemny chłodek, księżyc w pełni Samotnie podróżujące damy chcąc nie chcąc wpadały w romantyczny nastrój.

Amor szalał. W czasie przerw w tańcach pary nie mogły się rozstać. Nikt nie przeszkadzał Babbertonowi, który wzruszająco opowiadał siostrze markizie o ciężkim życiu samotnego angielskiego oficera na służbie w dalekich Indiach.

A diabeł? Ten chyba podsunął markizie ciekawą powieść o szczęśliwej miłości, bo dziewczyna przeczytawszy ją po południu, poczuła się ogromnie samotna i cały wieczór myślała tylko o tym, żeby także znaleźć swojego wybranka. A Babberton, zachęcony przez Roya, który roztoczył przed nim baśniowe wizje o bogactwie markizy, wprost dwoił się i troił, by zrobić na niej jak najgorsze wrażenie.

I stało się. Wystarczyło ciche nieśmiałe pytanie, a markiza natychmiast przyjęła oświadczenie romantycznego oficera.

Ku ogromnemu zaskoczeniu rozbawionych pasażerów "Oceany" uroczystie ogłoszono zaręczyny.

Roy udał zrozpaczonego. -Przytulił się do siostry, która w mgnieniu oka straciła do wiarołomnej markizy całą sympatię. Dla niebios i diabła właściwie nie było już nic do roboty, natomiast Amor harował dalej, choć sami zainteresowani efekt jego działań dostrzegali jako ostatni.

Tak było z Robertem i Christą, a także Maxem i Marią.

Ci pierwsi wciąż byli pod wrażeniem popołudniowych przeżyć na bazarze i mimo rozpraszającego działania światła księżyca, kolejne przechadzki nie odbyły się w najlepszym nastroju. Robert w końcu postanowił coś zmienić.

— Wciąż pani jeszcze się boi, Risto? — spytał, używając zdrobnienia, jakim posługiwał się Roy. Gdy byli sami, jakoś niezręcznie mu było zwracać się do Christy „panno Holm”. Dziwnie jakoś nie pasowało do niej to nazwisko.

— Szczerze mówiąc, panie Rex, trzęsę się jeszcze ze strachu, gdy pomyślę, do jakiego nieszczęścia mogłam doprowadzić swoim bezmyślnym wyczynem. Bać się nie boję. Roy może zaświadczyć, że nie należę do osób strachliwych.

— W podobnej sytuacji każdy by się bał. Sam czułem, jak serce podchodzi mi do gardła na widok rozhisteryzowanego tłumu.

Mnie najbardziej było przykro z powodu tej miłej Hinduski, która atakowała nas z największą chyba zawziętością.

— Ma pani najlepszy przykład, jak wielkie znaczenie ma w Indiach religia.

— Całe szczęście, że niebawem stąd odpłyniemy.

— Ale jedziemy do Chin, a to przecież równie tajemniczy kraj i nieobliczalni ludzie.

— Och, wcale się nie boję — zawołała Christa. — Tam jest tato i wszystko będzie inaczej.

— Kto jest? Chyba czegoś nie zrozumiałem.

Christa odruchowo zakryła ręką usta i zaczerwieniła się.

— Co? Hm, znowu się przejęzyczyłam — wyjąkała. — Oczywiście jest tam tato Rii.

— O, to pani zna ojca panny Härtung?

— Od dawna! — uśmiechnęła się — właściwie od dziecka. Jest bardzo uroczym ojcem, jakich mało.

Teraz Robert był już niemal pewien swoich wcześniejszych podejrzeń. Kilkakrotne pomyłki Roya, sprzeczne informacje na temat obu hamburskich pań naprowadziły go na myśl, że nie są one w istocie tymi, za które się podają. Chyba również zamieniły się rolami, tylko dlaczego? Jeżeli odgrywają komedię, to pewnie mają jakiś ważny powód.

Musi go poznać. Być może nie zdąży tego zrobić na statku, ale w Chinach na pewno będzie miał dość czasu. Udał, że puścił pomyłkę Christy mimo uszu, jednak prowadził rozmowę tak, aby dotknąć interesującego go tematu.

— O ile dobrze zrozumiałem, mieszka pani od dawna w domu swojej przyjaciółki?

— Tak, tak! — odpowiedziała Christa bez wahania.

— Nie sądzi pani, że panna Hartung często czuje się skrepowana faktem, że jest córką powszechnie znanego bogatego człowieka?

— Co pan przez to rozumie? — popatrzyła na Roberta zaniepokojona.

— Są przecież takie sytuacje. Weźmy na przykład wybór męża, natarczywość żebraków, i to, że właściwie na każdym kroku jest obserwowana.

— O, tak! Ma pan rację — westchnęła. — I te wszystkie ciotki, krewni, których Ria ma bez liku... — roześmiała się i spojrzała na Roberta z takim wdziękiem, że miał ochotę porwać ją w ramiona i pocałować.

— Nie był jednak pewien, jak zareaguje, więc wołał zrezygnować, ale nie mógł powstrzymać się przed zadaniem następnego pytania.

— Czy pani zdaniem, gromada ciotek utrudnia jakoś życie pani przyjaciółce?

— I to jak! Nie chciały mnie, to znaczy Rii, puścić samej w tę podróż. Uparły się, żeby zabrać jakąś starą damę.

— A po cóż to?

— Do towarzystwa! Nie rozumie pan?

— Aha! I wybór padł na panią! — odparował, ale musiał ugryźć się w język, żeby nie wybuchnąć śmiechem, widząc, że zapędził Christę w kozi róg. — Coś mi pani nie wygląda na leciwą damę. Czy panna Hartung nie przesadziła, obarczając panią tak poważnymi obowiązkami?

Christa próbowała ukryć zakłopotanie, zasłoniwszy pół twarzy batystowym szalem. Najwyraźniej zabrnęła za daleko, więc jedynym ratunkiem było obrócenie wszystkiego w żart.

— Nie wie pan, jak to mówią: przyjdzie czas, przyjdzie rada. Sądzę, że jak na razie jakoś sobie radzę. Proponuję teraz zmianę tematu i porozmawiać o panu.

— Uważa pani, że to bardziej interesujące?
— Oczekuje pan komplementu czy prawdy?
— Prawdy, oczywiście!
— Powiedziałam już panu kiedyś, że trudno mi sobie wyobrazić pana jako czyjegoś podwładnego. Przeczy temu sposób zachowania. Ta pewność siebie, zdecydowanie, zupełnie mi przypominają ojca... mojej przyjaciółki, który jest panem samego siebie.
Robert w duchu musiał przyznać, że Christa ma dar obserwacji, ale podobnie jak ona przed chwilą, zaczął gorączkowo poszukiwać innego tematu rozmowy.
— Mówiliśmy już o pani, o mnie, czy nie pora porozmawiać też trochę o nas?
— Teraz chyba ja czegoś nie zrozumiałam.
— Chciałem powiedzieć, że kiedy my... no, nie, tędy nie przebrnę... Co by pani powiedziała, gdybym oświadczył, że panią kocham? — rzekł podnosząc jej rękę, by złożyć na niej czuły pocałunek. Nie opierała się.
— Risto, czy pani słyszała moje pytanie? Proszę się nie gniewać za śmiałość. Odpowie mi pani?
Christa powoli cofnęła rękę i popatrzyła wyraźnie zaskoczona.
— Niech pan nie nalega, proszę, bo nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie. Przynajmniej nie teraz — odpowiedziała spoglądając mu w oczy z wyraźnym smutkiem.
— Kiedy więc mogę liczyć na odpowiedź.
— Po przyjeździe do Chin, wcześniej na pewno nie — uśmiechnęła się.
— A jaka będzie? To chyba może mi pani zdradzić.
Christa wstała z leżaka, który Robert przyniósł jej zaraz po wyjściu na reling. — Gdybym teraz panu powiedziała, to jaki sens miałyby czekanie?
— No tak. Po co więc czekać? — Robert chwycił obie jej ręce i podniósł do ust. — Proszę mi odpowiedzieć.
— Nie zmieniłam zdania.
— Ani trochę litości?
— Tylko przezorność!
— Brr! Jak ja nienawidzę tego słowa! Dla drugiej strony oznacza ono przeważnie rozczarowanie. A więc, nie da się pani ubłagać.

— Niestety! Czy mógłby pan teraz uwolnić moje dłonie? — uśmiechnęła się, patrząc na wciąż pochylonego przed nią Roberta.

— Wolałbym je jeszcze potrzymać.

— Będzie kłopot, bo właśnie chcę wrócić do kabiny.

— Już? Tego się nie spodziewałem!

— Zapomniał pan spojrzeć na zegarek. Właśnie mija północ. Robert opuścił bezradnie ręce, uwalniając przy tym Christę z uścisku.

— I z tego powodu chce mnie pani zostawić samego z moimi rozterkami?

— Szybciej o nich pan zapomni, gdy — podobnie jak ja — uda się do łóżka. Dobry pomysł?

— Sam bym na to nie wpadł.

— Bo zamiast myśleć, znów mnie pan trzyma.

— O, nawet tego nie zauważyłem! — rzekł udając niewiniątko, a zanim uwolnił dłonie Christy, zdążył je jeszcze raz pocałować. — Jeżeli mam być szczery, to zwalniam panią z wielką niechęcią.

— Niewiele to już zmieni. Dobranoc, panie Rex. Niech pan dobrze się wyśpi po dzisiejszym burzliwym dniu.

— Dobranoc, Risto. Życzę miłych snów. A jutro?

— Przecież pan dokładnie zna mój rozkład dnia — Christa odwróciła się, stojąc już w drzwiach swojej kabiny — więc chyba nie musimy się umawiać?

— A zatem na porannym koncercie?

— O, to muszę szybko spać, bo nie wstanę tak wcześnie. Dobranoc. Robert stał jeszcze przez chwilę, patrząc rozmarzonym wzrokiem na drzwi, za którymi zniknęła Christa. Wiedział, czemu nie dała mu teraz odpowiedzi; chciała najpierw porozmawiać z ojcem w Szanghaju. Nie ulegało wątpliwości, że obie dziewczyny zamieniły się rolami, to Rista była panną Härtung, a w Szanghaju czekał właśnie jej ojciec, a nie Rii. Ekscytował go zwłaszcza fakt, że on również podróżował pod cudzym nazwiskiem. Na początku za-bardzo nie wiedział, po co to właściwie zrobił, lecz teraz czuł, że był'fo dobry pomysł.

Może zmieniłby zdanie, gdyby wiedział, co na drugim końcu promenady czuł jego przyjaciel, który wił się jak piskorz nie mogąc zdradzić kim jest naprawdę.

W trakcie pogawędek z Marią Max coraz bardziej dziwił się, że pierwszy raz w życiu spotkał kobietę, która tak interesująco potrafiła prowadzić rozmowę. Pierwszy raz też, od czasu gdy grał rolę bogatego Bredowa, gorzko żałował, że nie może szczerze powiedzieć, kim naprawdę jest. Dał jednak słowo przyjacielowi i nie może go złamać. Pamiętał cały czas o Kin Lungu i starał się mieć oczy otwarte na wszystko, zwłaszcza że pan Tse Hai niemal codziennie zaglądał do przedziału pierwszej klasy i wcale nie ukrywał swojego zainteresowania osobą Bredowa. W tej sytuacji Max musiał milczeć i dalej udawać, choć chętnie wyznałby całą prawdę kobiecie, którą bardzo wysoko cenił a właściwie już kochał, mimo że jeszcze sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

A Maria? Jak na początku mistyfikacja była jej zupełnie obojętna, tak teraz coraz częściej żałowała powziętej decyzji. Podejrzewała, że Max chętnie przebywa w jej towarzystwie ze względu na majątek Hartungów. Jego zamiary wyraźnie krystalizowały się, więc cierpiała, bo prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw i Max znajdzie się w głupiej sytuacji. Bardzo go lubiła, i już z przykrością myślała o chwili, gdy zacznie ją podejrzewać, że ubierając się w cudze piórka, próbuje dla siebie wyciągnąć korzyści.

Max nie potrafił sobie wytłumaczyć zachowania Marii — traktowała go z wyraźnym chłodem. Martwił się, że swoją nieśmiałością zraził ją do siebie i nie jest w stanie wzbudzić w niej serdeczniej szych uczuć. W każdym razie Amor nie bardzo sobie radził z tą parą. Najwyraźniej zostawił ich w spokoju, a całą energię poświęcił markizie i Babbertonowi, bo plan Roya powiódł się nadspodziewanie szybko.

— Oczywiście! Poczciwy Babberton nie byłby sobą, gdyby nie wyludził pożyczki — złościł się Roy, który po porannym koncercie wpadł na papierosa do kabiny szwagra.

— Ile chciał? — spytał kapitan.

— Archy nie zadawała się drobnymi datkami — odparł Roy wyjątkowo spokojnie.

— Więc dałeś mu jakąś znaczną sumę?

— Dałem, ale tylko połowę.

— Któż był tak hojny i dał mu drugą?

— Ty!

— Ja? Chyba musiałbym o tym wiedzieć.

— Jak widzisz, nie było to konieczne.

— Pleciesz coś trzy po trzy — rozzłościł się kapitan. — Mówże wreszcie, co znowu zrobiłeś.

— Nie mogłem ci powiedzieć od razu, bo byś się zdenerwował, a to mogłoby zaszkodzić ci na serce.

— Odczep się od mojego serca i wytłumacz mi, w jaki sposób mogłem Babbertonowi pożyczyć te cholerne pieniądze.

— W dość prosty: drugą połowę żądanej sumy wziąłem od Daisy, zapewniwszy, że ty zwrócisz jej co do grosza, bo na zbożne cele zawsze dajesz chętnie pieniądze. Pomyliłem się?

— A niech cię diabli porwą, pętaku!

— Ostro, ale prosto z serca! Nie szkoda ci nerwów, stary? — spytał Roy z drażniącym spokojem. — Myślałem, że ucieszy cię udział we wspólnym przedsięwzięciu. W końcu Babberton także ciebie uwolnił od markizy.

— A przy okazji i od pieniędzy!

— Bzdura! Odda ci przy najbliższej wypłacie żołdu, a najważniejsze, że markizę masz z głowy. Tylko nie zapomnij rozliczyć się z Daisy. Mnie byś nie oddał, więc wołałem się zabezpieczyć. Zjesz dziś z nami obiad, Kurciu?

— Już minął mi apetyt. Mam służbę.

— Szkoda. Poznałbyś tę piękną Angielkę, która dosiadła się na statek w Colombo. Niestety — z mężem i — na pierwszy rzut oka

— ogromnie w nim zakochana — dodał Roy i powoli wycofał się w stronę drzwi.

— Niech piekło pochłonie wszystkie piękne kobiety, a ciebie też!

— zanim Roy zorientował się w sytuacji, kapitan złapał go za kołnierz i bezceremonialnie wypchnął na korytarz.

— I tak to człowieka traktują krewni! — mruknął Roy poprawiając ubranie. — Nawet nie ma z kim porozmawiać. Do Daisy nie pójde, bo zaczniesz się roztkliwiać nad moim krwawiącym sercem, więc został mi tylko Bredow. Siedzi pewnie sam, bo ten jego zakochany po uszy maharadza biega krok w krok za Christą. Chciałbym zobaczyć jego minę, gdy dowie się, że wybranka jego serca jest wściekle bogatą panną Hartung!

Roy wyszedł na promenadę szukając bratniej duszy, gdy nagle w kabinie telegrafisty dostrzegł Maxa, skrzętnie wypełniającego formularz telegramu. Był tak zajęty, że nawet nie zauważył, kiedy Roy stanął za jego plecami.

— Hello, Bredow! Co pan tak studiuje?

— Przepraszam, zaczytałem się. Wiadomość do ojczyzny.

— Akcje rosą, spadają?

— Niestety, nie mam aktualnych notowań. Kupił pan jakieś nasze akcje?

— Jeszcze nie, ale z pewnością to zrobię. Jako właściciel wzbudził pan we mnie zaufanie, więc mogę zaryzykować.

— Och, gdyby kurs akcji oceniać po zachowaniu szefa firmy to w przypadku fabryk Bredowa powinien spaść do zera. Powierzchność bywa myląca. Załóżmy, że sugerując się moim wyglądem, kupił pan spory pakiet akcji, a może ja wcale nie jestem Robertem Bredowem? I co? Kłapa! — Max uśmiechał się tajemniczo.

— No jeżeli ktoś pańskiej twarzy by nie rozszyfrował, to jego znajomość ludzi musi być bliska zeru — odpowiedział Roy niezwykle poważnym tonem, co wywołało u Maxa niemal wyrzuty sumienia. — Nie ma pan ochoty pójść na basen? Tam zawsze dzieje się coś ciekawego.

— Chętnie, ale najpierw wyślę ten telegram. To poufna sprawa i nie mogę jej powierzyć nawet mojemu sekretarzowi, wręcz przeciwnie: bardzo pana proszę, żeby w obecności pana Rexa nie wspominać ani słowem o tej depeszy.

Max czuł się nieswojo, prosząc Roya o dyskrecję, gdyż mimowolnie musiał wzbudzić w nim podejrzenia, ale innego wyboru nie miał, skoro nie chciał niepokoić Roberta grożącym mu niebezpieczeństwem.

— Oczywiście, panie Bredow. Nie wiem o żadnym telegramie. Skoro jest pan zajęty, pójdę na basen sam — Roy szykował się do wyjścia.

— Ależ nie! Właśnie chciałem pana prosić o trochę informacji.

— Będzie mi miło podzielić się nimi, o ile tylko jestem w ich posiadaniu. Musimy rozmawiać w tej ciasnej kajucie? Proponuję poszukać wygodniejszego miejsca.

— Racja. Jest przecież salonik, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzać.
Przeszli do części recepcyjnej i usiedli w jednym z pomieszczeń przeznaczonych dla pasażerów chcących porozmawiać spokojnie lub pracować w czasie podróży.
Max cały czas myślał o wysłanym przed chwilą telegramie, stąd też pierwsze pytanie do Roya:
— Pan zdaje się dość długo mieszka w Szanghaju?
— Od trzech lat.
— Wiem, że pracuje pan w innej branży niż my, ale zetknął się pan przypadkiem z niejakim panem Tse Hai?
— Tse Hai? Ma pan na myśli tego pośrednika?
— Właśnie jego.
— Mogę tylko jedno poradzić: ostrożnie z tym łobuzem! Chce pan z nim współpracować? Szczerze odradzam. Facet cieszy się w Chinach jak najgorszą opinią.
— Aż tak?
— Oczywiście! Europejczycy, kupcy i przemysłowcy unikają go jak zarazy. Podobno prowadzi ciemne interesy. Niektórzy podejrzewają nawet, że handluje opium czy czymś w tym rodzaju.
— Ho, ho! Bywa pan w chińskiej dzielnicy? Słyszałem nazwisko Ho Lung. Podobno jest właścicielem słynnej restauracji.
— A jakże! — roześmiał się Roy. — Ta restauracja to raj dla palaczy opium, ale warto tam zajrzeć, by zobaczyć prawdziwy przepych Orientu.
Max słuchał uważnie każdego słowa. Teraz zmarszczył brwi:
— Nie jest to więc spelunka, której unikają Europejczycy?
— Skądże! Trzeba tylko tego drania Lunga trzymać na dystans i nie dać się skusić na jego sławetną fajkę.
— Dlaczego?
— Niejeden już po takim poczęstunku został bez grosza i kosztowności, gdy ocknął się zamroczenia dopiero w swoim mieszkaniu.
— To dlaczego władze nie zamkną mu bandyckiego lokalu?
— Podatki, mój drogi! Płaci dużo i regularnie, więc po co go zamykać?

Zapadło milczenie, a po chwili Max jakby zmienił temat:

— W moim domu w Duisburgu jest służący Chińczyk.

— Jak się sprawuje?

— Dobrze, wręcz bardzo dobrze. Moja... moja macocha szczególnie ceni jego niezwykłą pracowitość.

— Prawda! Te żółtki potrafią harować jak woły.

— Nie uwierzy pan, ale mój żółtek jest bratem tego Lunga, o którym przed chwilą mówiliśmy.

— O cholera! — zagalopował się Roy. — Bracia jednak nie zawsze są podobni do siebie — próbował załagodzić swoją reakcję Roy.

— Niestety, ci dwaj są tacy sami, a ten mój nawet gorszy.

— Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego pan nie wyrzucił go na zbity pysk.

— Nie zrobiłem tego ze względu na macochę, która twierdzi, że bez Kin Lunga nie poradzi sobie z prowadzeniem domu. Po powrocie do Niemiec natychmiast go zwolnię. Pan wie, że ten Tse Hai płynie z nami do Chin?

— Co? Z nami? Trudno uwierzyć, że twarz tego szubrawcy nie rzuciła mi się w oczy — skrzywił się z niesmakiem Roy.

— Płynie drugą klasą. Wiem od prokurenta, że wysyła telegramy do mojego służącego, a ten kontaktuje się z bratem w Szanghaju.

— Co oni knują?

— Pewnie chodzi o interesy, bo miałem już przyjemność gościć szlachetnego pana Tse Hai w mojej kabinie — wyjaśnił oględnie Max, by przypadkiem nie zdradzić się, że nie jest Robertem Bredowem.

— Interesy z Tse Hai? Można spodziewać się najgorszego!

— Toteż odrzuciłem jego ofertę bez chwili wahania. Bardzo proszę, żeby pan nie mówił o tym mojemu przyjacielowi. Nie chodzi tu o brak zaufania do niego, ale są przyczyny, dla których nie chcę go teraz wtajemniczać. Powiem panu, kiedy to stanie się możliwe.

— Nie jestem wścibski, panie Bredow, i wystarczy mi to, co zechciał mi pan powiedzieć. Teraz jednak muszę łyknąć koniaku, bo po poważnej rozmowie zawsze czuję ssanie w żołądku. Napije się pan ze mną?

— Na kieliszek nie trzeba mnie długo namawiać.

Usiedli na chwilę przy barze, wypili po lampce złocistego trunku i zeszli na basen, gdzie Robert i Christa baraszkowali w wodzie, a Maria, jako widz, przyglądała się z galerii.

Roy szybko przebrał się w kabinie, rzucił się pomiędzy pływających i zaczął wyczyniać tak dziwaczne harce, że zaraz wokół niego zrobiło się pusto. Robert, znakomity pływak, dał nurka i pod wodą złapał dowcipnisia za nogi, przytrzymał go tak długo, aż ten zaczął prosić o łaskę.

Christa widząc znakomitą okazję do zemsty na niesfornym chłopcu, zachęcała Roberta:

— Niech go pan przytrzyma jeszcze chwilę! Ja też mu dołożę za swoje.

— Ratunku! Już będę grzeczny — rozpaczliwie zapewniał Roy.

— A któż by panu uwierzył na słowo!

— Obiecuję, że się poprawię.

— Hm, do następnego razu, co?

— Risto! Litości! Patrzy pani na mnie jak kat na skazańca.

— Za późno, mój drogi! Tym razem już nie daruję — śmiała się pływając wokół Roya przytrzymywanego nad powierzchnią wody przez Roberta. — Niech go pan trzyma mocno, panie Rex.

— Nie wymknie mi się! Może pani spokojnie wymierzyć mu karę — zachęcał Robert, sam co chwilę znikając pod wodą za sprawą szamoczącego się Roya.

Christa podpłynęła od tyłu, chwyciła stopę Roya zaczęła łaskotać.

— Raaatunku! Risto, jak pani nie przestanie, to nie ręczę za siebie a odpowiedzialność spadnie na pani głowę.

— Nie szkodzi! Mam czepek. A zemszczę się za wszystkie czasy! Jakimś cudem Roy wywinał się Robertowi, niczym pstrąg pomknął

do brzegu, porwał wąż służący do zmywania basenu i skierował strumień wody na Christę i na Roberta. W podgrzanej wodzie basenu zimny prysznic nie należał do najprzyjemniejszych. Uciekali jak oparzeni, a Robert zobaczywszy Maxa zawołał:

— Stary, złap tego strażaka!

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo Roy kierował swoją lodowatą broń na każdego, kto próbował się zbliżyć.

Pływalnią aż trzęsło od krzyków i śmiechu.

Roy skoncentrował się na obronie przed Maxem i nie zauważył, kiedy Robert wyskoczył z wody, zakradł się od tyłu i błyskawicznie wziął go na barana. Wraz z tryskającym węzem Roy wylądował w basenie. Ale Robert przezornie wyciągnął szybko wąż na brzeg.

— No, mój drogi, teraz zobaczymy, kto będzie śmiał się ostatni — zawołał do wynurzającego się Roya. Proszę powtarzać: już będę grzeczny!

Roy prychnął łapiąc oddech i próbował wygramolić się z basenu. Strumień wody kierowany przez Roberta skutecznie odrzucił go z powrotem.

— Czekam!

— Ani mi się śni!

— Co? Niegrzeczny chłopczyk! Musi dostać klapsa — przekomarzał się Robert, ścigając nieszczęśnika zimną strugą po całym basenie.

— Dosyć! Już będę grzeczny!

— W takim razie koniec lekcji! Można wyjść.

Christa i Robert na wszelki wypadek trzymali się z daleka od ciskającego gniewne spojrzenia skarconego psotnika. Ten jednak najwyraźniej zaniechał walki. Raz, że opadł z sił, a dwa — akurat nie przychodził mu do głowy żaden pomysł szybkiego rewanżu.

Chyłkiem przemknął do przebieralni, mrużąc pod nosem powiedzenie Ludwika XIII, króla Francji: —

„Naśmiewanie się z majestatu jest świętym prawem plebsu”!

— Au! Ale nam się oberwało! — skwitowała Christa i również pobiegła do szatni. Robert za nią. Max i Maria, ubawieni do łez widowiskiem udali się na pokład spacerowy, gdzie właśnie rozpoczynał się popołudniowy koncert. Powoli, dostojnie, ogromny parowiec posuwał się wzdłuż nabrzeża portu w Szanghaju, aż wreszcie przycumował. Po krótkich formalnościach celno-paszportowych pasażerowie mogli opuścić statek, pozwolono też wejść na pokład przyjaciołom i krewnym witających gości.

Poprzedniego wieczoru Christa i Maria długo rozmawiały o tym, w jaki sposób jutro przyznają się do zamiany ról.

— Tak się zastanawiam i dochodzę do wniosku, że naszym najbliższym znajomym mogłyśmy od razu powiedzieć prawdę — podsumowała Christa, patrząc na reakcję Marii, która nie miała żadnych wątpliwości, że przyjaciółce chodzi o pana Rexa. — Będziemy głupio się czuły, gdy nasza tajemnica wyjdzie na jaw dopiero przy powitaniu z ojcem — dodała. — Może lepiej będzie poprosić Roya, żeby już dziś wyjaśnił obu panom, która z nas jest kim?

— Wyjdziemy na tchórze chowające się za plecami Roya.

— Ja w każdym razie sama nie potrafię się przyznać — broniła się Christa.

— Zostawmy więc sprawę biegowi wydarzeń. Zamieniłyśmy się nazwiskami ze względu na panią, możemy powiedzieć, że była to propozycja ojca — uśmiechnęła się Maria, widząc zatroskanie na twarzy Chnsty, która siedząc w fotelu niespokojnie rozczesywała swoje piękne blond włosy.

— Droga Rio, przecież to także byłoby tchórzostwo! Trudno Niech się dzieje co chce. Jutro, gdy tato wejdzie na pokład, wyznam całą prawdę i już. Był to mój głupi pomysł od samego początku, bo pewnie bawiłabym się równie dobrze jako Christa Hartung. Mario, a pani nie będzie przykro, gdy jutro wszystko wróci do normy?

Maria zaczerwieniła się lekko i nie odważyła się spojrzeć Chrście w oczy. Także obawiała się prawdy. Jak zachowa się Bredow, gdy dowie się, że me jest córką bogatego kupca, a jedynie zwykłą, biedną nauczycielką języków obcych? Nic nie można już zmienić Trzeba cieszyć się tym promykiem słońca, który na krótko rozświetlił jej szare życie. Była wdzięczna Chrście, że umożliwiła jej poznanie jaśniejszej strony ludzkiego żywota. Szybko opanowała się i uśmiechnęła.

— Dlaczego miałoby być mi przykro, Christo? Przecież od początku wiedziałam, że pewnego dnia przestanę grać tę rolę. Jest mi tylko głupio, bo pani czuje się zakłopotana z tego powodu.

— Tak jest zawsze, gdy zdecyduję się na jakieś drobne kłamstewko, a powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Ciekawe, czy ktokolwiek z pasażerów domyślił się, że nie jesteśmy tymi, za które się podajemy.

— Z pewnością nie.

— Roy nie pisnął ani słowa, za to ja kilka razy w rozmowie z panem Rexem palnęłam o moim ojcu czekającym w Szanghaju. Czy to nie wydało mu się podejrzanym?

— Przejęzyczyć każdemu się zdarza, a pani jest wyczulona głównie z powodu wyrzutów sumienia — uspakajała ją Maria.

— Jutro o tej porze wszystko już będzie jasne — westchnęła Christa i podeszła do okna.

Księżyc oświetlał spokojne morze, wiał rześki przyjemny wiaterek.

— Nie poszłybyśmy na krótki spacer?

— Dobry pomysł, tylko, że ja chciałam jeszcze spakować nasze walizki.

— Pani jest kochana, Mario! Moją także?

— Oczywiście! Wiem jak bardzo pani nie lubi bagaży.

— To prawda. Proszę jednak wcześniej położyć się do łóżka, bo jutro czeka nas męczący dzień. Musi pani być wypoczęta — dodała całując Marię w policzek. — Ja przejdę się trochę, a za pół godziny będę już w łóżku.

Było po północy, więc nic dziwnego, że pokład spacerowy opustoszał, a pasażerowie spali już w swoich kabinach.

Palilo się tylko światło dyżurne. Wszędzie panował półmrok i w pierwszej chwili Christa zawahała się, czy wyjść na spacer, ale piękna księżycowa noc nęciła i dodawała otuchy.

Christa podeszła do najbliższego, otwartego na oścież okna i wychyliwszy się przez reling, zapatrzyła w połyskujące na falach odbicie księżyca.

Miała na sobie lekkie futro, nie czując więc chłodu, stała tak dość długo i nie zauważyła, że nie jest na pokładzie sama. Robert ukryty w cieniu obserwował z daleka każdy jej krok. Cieszył się widokiem jej miękkich ruchów i nie zamierzał zdradzić swojej obecności, ale widząc ją zapatrzoną romantycznie w morze, nie wytrzymał. Podszedł, a żeby jej nie przestraszyć, z daleka zaczął gwizdać po cichu jakąś melodię. Udał zdziwionego, gdy popatrzyła na niego.

— A to pani, Risto? Przeszkadzam, czy też pozwoli pani przystanąć na chwilę?

Drgnęła na dźwięk jego głosu, gdyż właśnie myślała o Robercie a widząc go w pobliżu, poczuła się jakby przyłapaną na gorącym uczynku. Próbowwała odezwać się obojętnym tonem.

— Bardzo proszę. Wyszłam samotnie na spacer, a prawdę mówiąc teraz obleciał mnie strach. Jest jednak tak cudowna noc, że szkoda mi wracać do kabiny.

— Upał w ciągu dnia dał nam się wszystkim we znaki. Jeżeli tu na morzu jest tak gorąco, to co dopiero będzie na lądzie? Chociaż teraz zrobiło się dość chłodno i dobrze pani zrobiła biorąc futro, które nawet w słabym świetle wygląda na bardzo eleganckie.

Christa od razu zrozumiała aluzję. Na tak kosztowne futro nie było' stac każdego. Mogła powiedzieć teraz całą prawdę, ale znów zabrakło jej odwagi.

— Futro? Ach tak. Pożyczyła mi je panna Hartung, żebym się nie przeziębiła — odparła zdecydowanie i nie dostrzegła w ciemnościach uśmiechu na ustach Roberta.

— Muszę przyznać, że ma pani wspaniałą przyjaciółkę. Ja też nie mogę narzekać, by mój przyjaciel, a zarazem pan i władca zawsze o mnie myśli. Panna Hartung już śpi? Pytam, bo zazwyczaj wieczorem widuje się was razem.

— Ria pakuje... to znaczy, nadzoruje stewardesę, która pakuje walizki — zająknęła się Christa.

— Aż trudno uwierzyć, że nasi chlebobdawcy mają takie same upodobania! Mój też właśnie robi to samo. Czy to nie śmieszne!

— Tak się składa, że ja nie mam absolutnie talentu do pakowania bagaży - brnęła dalej Christa. - Dlatego Ria woli robić to sama.

— Wypisz, wymaluj jak u nas! Ciekawe, jak radzi sobie Roy z pakowaniem swoich ciężkich jak kamienie młyńskie waliz?

— Na pewno robi to za niego steward.

— Tak myślę. W każdym razie my jesteśmy w lepszej sytuacji. Cały czas dręczy mnie jednak inne pytanie, Risto: co będzie z nami w Szanghaju?

— Nie zrozumiałam. Co pan chciał powiedzieć?

— Myślę o naszym spotkaniu. Chyba pani nie zapomniała że oczekuję odpowiedzi na pytanie, które kiedyś pani zadałem

— Nie zapomniałam — rzekła i zaczerwieniła się. — Tylko, czy musi to być natychmiast po przybyciu do portu?

— Tak byłoby najlepiej, ale ostatecznie mogę dać pani kilka dni na odpoczynek po trudach podróży — Robert uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy. Odwróciła się.

Położył rękę na balustradzie, ostrożnie podniósł dłoń Christy do ust i spytał:

— A nie mógłbym usłyszeć tej odpowiedzi już teraz, Risto? Pokręciła tylko głową.

— Muszę więc czekać. Ciężko będzie, ale nie chcę być natarczywy. Proszę jednak obiecać, że będziemy się spotykać tak często, jak będzie to możliwe.

— Zobaczymy, na ile pozwoli mi czas. Musimy przecież liczyć się także z naszymi szefami... Właściwie tak chyba powinnam nazywać pana Bredowa i pannę Hartung?

— Tak, to dobre określenie. Zżyliśmy się w czasie tej podróży, więc przypuszczam, że będziemy tę znajomość podtrzymywać także w Szanghaju.

— Wyobrażam sobie, że tak będzie!

— A co, jeżeli ja albo mój przyjaciel nie przypadniemy do gustu panu Hartungowi? Musimy wziąć to pod uwagę.

— Nie ma obaw! — zawołała Christa. — Starszy pan nigdy nie sprzeciwił się czemuś, co nam przypadło do gustu.

— Dla mnie jest to pocieszające, że tak dobrze zna pani pana Hartunga. Wie pani także, jakie zajmie stanowisko wobec odpowiedzi, na którą czekam w Szanghaju? — spytał i powoli podniósł jej rękę, by znowu ją pocałować.

— Muszę już iść.

— Pozwoli pani, że trzymając tę śliczną dłoń odprowadzę ją wraz z panią do kabiny?

Nie odpowiedziała, tylko spokojnie ruszyła przed siebie. Szli w milczeniu, tylko od czasu do czasu Robert całował z uwielbieniem rękę Christy. Przy drzwiach kabiny odezwała się pierwsza.

— Dobranoc. Dziś ostatni raz śpimy na morzu. Dziękuję za towarzystwo i do zobaczenia jutro rano.

— Do zobaczenia, Risto!

— Wcześniej jednak musi pan uwolnić moją rękę, bo nie mogę odejść bez niej.

— Chętnie zatrzymałbym was obie.

— A co ze snem?

— Szkoda czasu na spanie. Życie jest tak krótkie.

— Nie zgadzam się z panem. Padam ze zmęczenia i muszę się wyspać.

— W takim razie ja muszę oddać pani rękę — westchnął głęboko. Pocałował szybko dłoń jeszcze raz, spojrzał z uśmiechem w oczy,

ukłonił się i szepnął po cichu, ale bardzo wyraźnie:

— Dobranoc, Christo Hartung!

Zaniemówiła. Poczzerwieniała jak burak, ale zanim zdecydowała się na odpowiedź, Robert odwrócił się i szybko odszedł.

Patrzyła za nim przez chwilę. Pokiwała głową i zamknęła za sobą drzwi. Walizki były już w zasadzie spakowane. Zostało zaledwie kilka drobiazgów.

Christa położyła się, ale nawet nie próbowała zasnąć. Cały czas zastanawiała się, w jaki sposób Robert odkrył jej prawdziwe nazwisko. Cieszyła się, że znał już prawdę. Nie musiała bać się jutrzejszego spotkania z ojcem, bo jedyny problem z tym związany miała w zasadzie z głowy. Uśmiechnęła się zadowolona i zasnęła jak kamień.

Znacznie mniej spokojna noc czekała Marię, nadchodzący poranek miał przynieść jej wielkie rozczarowanie. Nie ulegało wątpliwości, że Robert Bredow, za którego uważała Maxa, natychmiast przestanie się nią interesować, gdy tylko dowie się, kto naprawdę jest bogatą Christą Hartung.

Zupełnie tak samo, spędzili ostatnią noc na statku obaj panowie: Robert spał jak suseł, natomiast Max szamotał się z myślami, częściowo o Marii, częściowo o na nowo potwierdzonym niebezpieczeństwie grożącym Robertowi. W niemieckim konsulacie czekały go wiadomości od prokurenta, który obserwował dyskretnie poczynania Chińczyka w Duisburgu.

VII

Od godziny „Oceana” stała już przy nabrzeżu portu w Szanghaju, gdy wpuszczono gości na pokład. Wśród pierwszych wchodzących był elegancko ubrany pan, który — gdyby nie siwizna na skroniach — mógł uchodzić za trzydziestolatka. Elastycznym krokiem wszedł po trapie i niemal biegiem ruszył na pokład pierwszej klasy. Bez wahania skierował się do grupki młodych ludzi, wśród których rozpoznał córkę. Christa z rozłożonymi ramionami rzuciła mu się na szyję.

— Dziecko nareszcie przyjechałaś! Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

— Tatusiu, najdroższy! Ja również. Widzę, że wciąż jesteś moim przystojnym i eleganckim tatusiem, z którego zawsze byłam taka dumna — wołała Christa, całując ojca w policzki, w usta, gdzie popadło.

Pozostali przyglądali się powitaniu z daleka. Jedyne Max zrobił niewyraźną minę i natychmiast popatrzył na Marię, która czerwona jak rak odwracała oczy, unikając jego pytającego spojrzenia. Szkoda, bo nie wiedziała z jaką ulgą odetchnął w tym momencie. Dosłownie kamień spadł mu z serca. Kobieta, którą uwielbiał, nie była więc córką bogacza, a jedynie — podobnie jak on — odgrywała cudzą rolę.

Dopiero po dłuższej chwili Christa wypuściła wreszcie ojca z uścisku i podeszła z nim najpierw do Marii.

— Tatusiu, to jest Maria Holm, moja niezwykle sympatyczna towarzyszka podróży.

— Miło mi panią poznać — odpowiedział starszy pan serdecznym tonem i schylił się, by po rycersku pocałować Marię w rękę. — Jedno-

chętnie pragnę pani podziękować za trud, który sobie pani zadała, by cało przywieźć aż tu mojego dzikusa.

— Ależ, panie Hartung! — sprzeciwiła się Maria przejęta serdecznym tonem podziękowań. — Ta podróż to dla mnie żaden trud, ale prawdziwa przyjemność.

— Tym bardziej się cieszę, że mogę gościć panią u siebie, panno Holm. No, dziecko, przedstaw mi pozostałych twoich przyjaciół

— zwrócił się do Christy.

— Chętnie, tato, zwłaszcza że ci ludzie bardzo się starali, aby mnie i Marii ułatwić i uprzyjemnić długą podróż. Roya, który już użera się ze swoim hinduskim służącym, chyba nie muszę ci przedstawiać.

— No nie! Hello, Harrison! Co słychać?

— Dziękuję, panie Hartung. Jakoś leci, a pan jak się miewa?

— Wyśmienicie, zwłaszcza gdy wreszcie mam przy sobie Christę.

— Hartung uściśnął mocno dłoń Roya. — Panu również dziękuję. Gdybym nie wiedział, że pan też płynie, martwiłbym się o obie młode podróżniczki, a tak byłem o nie zupełnie spokojny.

— Dzięki! Niech pan powie tym niedowiarkom, jak bardzo pan mnie docenia. Cały czas znęcali się nade mną i nie okazywali nawet cienia szacunku — żalił się Roy, podczas gdy pozostali śmiali się do rozpuku.

— Tato, i tak właśnie bawił nas ten nieznośny żółtodziób niemal codziennie. Za to jego siostra jest niezwykle miłą i sympatyczną damą.

— No nie! A ja nie jestem sympatyczny?

— Roy, proszę mi nie przeszkadzać, bo przedstawianie moich przyjaciół przeciągnie się do wieczora. Tato, to właśnie jest pani Sørensen, siostra tego urwisa, a zarazem małżonka naszego...

— Wiem, dziecko. Powiem zupełnie szczerze, że Kurt nie zasługuje na tak uroczą żonę — Werner uklonił się szarmancko. — Jak mu nie żal wyruszać w morze, gdy w domu ma taki skarb?!

— Odpowiedź jest prosta^ panie Hartung: kochający mąż powinien trzymać żonę pod kloszem! Pan jak widzę, także dobrze zna Kurcia.

— Kiedy ty wreszcie, Roy, oduczysz się wtrącania innym do rozmowy? — westchnęła Daisy.

— Christa! Chyba najwyższy czas, żeby przedstawić pani ojcu naszych młodych przyjaciół — Roy puścił mimo uszu uwagę siostry, a pokazał na stojących nieco z boku Roberta i Maxa.

— Tato, przedstawiam ci pana Bredowa i jego sekretarza, pana Rexa. Dzięki nim podróż upłynęła nam w miłej atmosferze i wcale się nie dłużyła — powiedziała Christa, a obaj panowie uklonili się równocześnie.

Werner podał rękę Maxowi, który stał bliżej.

— Domyślam się, że mam przyjemność poznać właściciela słynnych duisburskich stalowni?

Max przytaknął nieśmiało, gdyż kłamstwo nie leżało w jego uczciwej naturze.

— Nie wiedziałem, że aż tak słynnych, panie Hartung. Ten pan to główny sprawca tej sławy — mój przyjaciel, prawa, a nawet także lewa ręka we wszystkich sprawach zawodowych i nie tylko — kluczył Max, by zminimalizować zasięg kłamstwa i nie oddalać się zbyt od prawdy.

— Te słowa najlepiej świadczą o was obu, panowie — uśmiechnął się Werner.

Robert zaś nie spuszczał oka z Christy. Gdy skończyła się prezentacja, podszedł do niej.

— Byłoby zabawne, gdyby się okazało, że my także zamieniliśmy się nazwiskami, jak pani z panną Holm.

— Owszem, ale tak prominentnej osobie jak pan Bredow raczej nie udałoby się zmylić nikogo ze współpasażerów.

— A paniom?

— Tak, ale wcześniej o naszym planie poinformowałyśmy kapitana, a Roy poparł nas u swojego szwagra.

— Dziecko, co ja słyszę? Przyjechałaś tu pod fałszywym nazwiskiem? Coś ty znowu wymyśliła?

— Nic takiego, tatusiu. W Hamburgu wszystkie ciotki, a zwłaszcza Eudoksja, nakładły mi do głowy, czego to nie wolno mi robić w czasie podróży, że zaczęłam się bać tego wyjazdu. Miałam posłuchać rad ciotek i zanudzić się na statku? O nie, tatku! Tego nikt ode mnie nie mógł wymagać!

— Hm, wystarczyło tylko znaleźć kogoś, kto pomógłby ci zrealizować twój plan — roześmiał się Hartung, zerkając na Roya.

— Wcale daleko szukać nie musiałam! Gdy trzeba coś spocić, wystarczy kiwnąć na Roya!

— No tak, lepiej trafić nie mogłaś. Ciekawe, panie Harrison, co powiedziałby kapitan, gdyby szwindel wyszedł na jaw?

— Przecież Kurt wiedział o wszystkim.

— A to ciekawe! I kapitan Sørensen zgodził się tak bez sprzeciwu?

— Opierał się, a jakże! — zaśmiał się Roy, bo przypomniał sobie, w jaki sposób wymusił na szwagrze zgodę. — Ale, czy mógł się oprzeć mojemu urokowi osobistemu?

— Nie do pomyślenia! — zawołali wszyscy chórem.

— Dobrze, dziecko, że o tym nie wiedziałem, bo bym się niepotrzebnie martwił o ciebie. Odnoszę jednak wrażenie, że pan Harrison nie jest najodpowiedniejszą osobą do opieki nad młodą panną.

— O nie, tato! Tu muszę stanąć w obronie Roya. Opiekował się mną bez zarzutu, a drobne figle, które płatał nam codziennie, można mu śmiało wybaczyć.

Roy podszedł energicznym krokiem do Christy, uścisnął jej rękę i dumny jak paw przedefilował przed zgromadzonymi. Nagle zerwał się i rzucił na marynarza krzątającego się przy wejściu dla personelu.

— Stój, człowieku! Sam Budda stworzył mi okazję do zemsty. Teraz się policzymy, dowcipnisiu!

Roy rozpoznał w ubranym wyjściowo marynarzu berlińczyka, który swego czasu oberwał mu tył spodni w maszynowni.

— „Oko za oko, ząb za ząb” — czy nie tak nauczali starzy Hebrajczycy? Teraz, bracie, ty wyjdiesz stąd z dziurą na tyłku!

Zanim jednak Roy zdążył dobrać się do spodni berlińczyka, ten jednym susem skoczył do luku wentylacyjnego i machając swoją wielką jak bochen dłonią, zawołał:

— Nic z tego, dobry człowieku! Ja spełniłem służbowy obowiązek, pan zaś próbuje mnie napaść jako cywil.

Roy zaskoczony trafnością argumentu zaniemówił, a po chwili roześmiał się.

— Za takie występy daruję panu moje spodnie. Dorzucę jeszcze pięć talarów, żeby pan się nie nudził w Szanghaju. Mam nadzieję, że nie wyda ich pan w kwiaciarni.

— A co to ja jestem koza? Jak nawinie mi się po drodze coś zgrabnego, to nie będę osioł i nie zostawię tego komuś innemu

— potężny maszynista wygramolił się z luku, wziął monetę i nieśmiało podziękował Royowi.

Ten mruknął pod nosem:

— Wart sługa pana! Kurt też nie daruje, gdy „coś zgrabnego” pląta mu się po pokładzie.

Dołączył do pozostałych, którzy w ogóle nie zwrócili uwagi na incydent z marynarzem, zajęci żywą rozmową.

— Jak, Harrison? Wszyscy państwo obiecali, że będą moimi gośćmi dziś wieczorem. Mogę liczyć także na pana? — zapytał go Hartung.

— Nie sprawię wam radości i nie odmówię. A Kurcio, najśłodszy, przyjdzie też?

— Przyjęłam w jego imieniu zaproszenie pana Hartunga. Poczytujemy to sobie za wielki zaszczyt — odpowiedziała Daisy.

— Gładko ci poszło, siostrzyczko. Pewnie wyuczyłaś się regułki na pamięć, bo nawet się nie zająknęłaś.

— Drogi panie Bredow, w czasie podróży czasami udawało się panu poskromić tego nicponia. Nie mógłby pan spróbować jeszcze raz?

— spytała rozpaczliwym tonem Daisy patrząc na Maxa.

— Jego nie poskromiłby sam gromowładny Zeus, droga pani Daisy. Nam śmiertelnym pozostaje tylko cierpliwie znosić szykany tego brykającego źrebięcia, aż znajdzie się ktoś, kto weźmie Roya Harrisona w cugle. — Max wzruszył ramionami.

— Moi państwo! — wtrącił Werner Hartung. — Będzie mi miło, jeżeli wieczorem skorzystacie z mojego samochodu. Gdzie pan się zatrzyma, panie Bredow?

— W „Astor House”, obok niemieckiego konsulatu.

— Świetnie. Wiem, gdzie to jest. A pani, pani kapitanowo, zostanie jeszcze na statku?

— Mąż ma sporo zajęć, więc dopiero jutro przeniesiemy się do „Astor House”.

— Rozumiem, że zobaczymy się wszyscy dziś o ósmej u mnie, a teraz chodźmy już. Mogę pani pomóc, panno Holm? — spytał Werner, gdy wchodzili na wąski trap i nie czekając na odpowiedź, wziął Marię

pod rękę. Robert doskoczył do Christy i nie odstępował jej, dopóki nie wsiadła do ogromnej limuzyny ojca stojącej nieopodal nabrzeża.

Ostatni pocałunek w rękę, pożegnalne pomachanie i samochód zniknął za bramą portu. Robert i Max wynajęli taksówkę, gdy zobaczyli rozklekotany i zatłoczony pociąg, którym można było z portu dostać się do centrum miasta. Na Roya czekał jego własny samochód podstawiony przez dyrektora firmy. Ruszył z kopyta i po chwili wyprzedził nie tylko taksówkę Maxa i Roberta, ale także limuzynę Hartunga.

Roy pomachał znajomym, krzycząc niezbyt zrozumiale:

— Ślimacze tempo! W ten sposób nie dogonicie Ameryki!

Werner Hartung wynajmował nowoczesną willę na skraju parku w pobliżu konsulatu duńskiego. Stała zwrócona frontem ku rzece Huang-pu.

Christa i Maria, pełne wrażeń zebranych po drodze z portu zupełnie zaniemówiły, najpierw na widok willi, potem pokoi, które dla nich przygotowano na pierwszym piętrze. Z balkonu rozciągał się przepiękny widok na rzekę, po której pływało mnóstwo łodzi różnych kolorów i kształtów.

Gdy tylko panie znalazły się w swoich pokojach, zjawił się Werner wraz z czterema chińskimi służącymi.

— Tato, nam zupełnie wystarczyłaby jedna pokojówka!

— Nie jesteś w Hamburgu, dziecko. Tu, jeżeli zrobisz cokolwiek sama, naruszysz dobre obyczaje. Przy każdej wizycie w chińskim domu, żona gospodarza od razu cię spyta, ile masz służących. Przy twojej pozycji towarzyskiej musisz mieć co najmniej cztery.

— Dziwne obyczaje! — zaśmiała się Christa i zaraz spoważniała. — Mario, co damy tym woskowym lalkom do roboty przez cały dzień? Przedstaw nam te dziewczyny, tato.

— Nie dziewczyny, bo wszystkie są mężatkami. Panien nie wolno zatrudniać w charakterze służących — wyjaśnił Werner.

— Kolejna gafa! Ja chyba już na początku podpadnę wszystkim Chińczykom — przeraziła się Christa nie na żarty.

— Po to masz mnie, żebym ci pomógł.

— A jak będziesz zajęty?

- Poprosisz Harrisona, a ten jest tu lepiej obeznany ze zwyczajami niż ja.
- Powiedz mi teraz, jak nazywają się te kobiety i jak je rozróżnić. Dla mnie wszystkie cztery wyglądają jednakowo.
- Na początku każdy ma kłopoty z rozróżnianiem wschodnich twarzy, ale wkrótce nauczysz się je poznawać. Ta nazywa się Matsu, ta druga — Hao, niska, gruba to Kuna, a ten urwis wiecznie uśmiechnięty to Lasufu. Mówisz już dość dobrze po chińsku, więc porozumiesz się z nimi bez kłopotu, nie mówiąc już o pannie Holm, dla której chińszczyzna nie ma żadnych tajemnic. W razie potrzeby z Hao i Lasufu można się porozumieć w pidgin-english.
- Nie ma w tym domu żadnego Europejczyka?
- A po co? Po pierwsze Chińczycy są znacznie pracowitsi, a po drugie nie żądają wysokich płac.
- Ilu właściwie ludzi zatrudniasz w całym domu?
- Stawiasz trudne pytania, dziecko. Nigdy nie wiem dokładnie, ilu pomocników wynajął kucharz. Dla mnie ważne jest tylko, że wszystko gra i jest porządek.
- Twój kucharz gotuje także europejskie potrawy, czy też będzie nas karmił wyłącznie smażonymi termitami? — zażartowała Christa.
- Możesz być pewna, że nawet te smażone termyty smakowałyby wyśmienicie. Jeżeli powiesz kucharzowi co i jak ma przyrządzić, to znajdziesz na stole nawet brunszwicki salceson. Sam go nie spróbuje, bo zwyczajem i religią zabraniają kosztowania potraw podczas gotowania.
- Podoba mi się twój kucharz! Przydałby nam się taki w Hamburgu, co nie Mario?
- Zwłaszcza, że pracuje u mnie za darmo! W zamian żąda tylko utrzymania dla siebie i żony. Ta mała grubaska to właśnie ona.
- Żywa reklama jego umiejętności kulinarnych!
- I okaz szczęśliwej małżonki, bo w Chinach okazała tusza jest oznaką dostatku i zamożności. Zdaniem tutejszych ludzi, chuda kobieta nie ma dość pieniędzy, żeby najeść się do syta. Im grubsza dama, tym piękniejsza.
- Powinno się tu wywozić nasze modne panie, które rozpaczają, że są za grube — zaproponowała Maria z uśmiechem.

— Broń Boże! Mam dosyć widoku wynędzniałych, obciągniętych skórą szkieletów. Całe szczęście, że znów wraca moda na zaokrąglone kobiece sylwetki.

Byle bez przesady, bo wybujałe kształty Chinek akurat też mi się nie podobają. No drogie panie, jak na pierwszą lekcję, to dowiedziałyście się już dosyć. Przebierać się i na dół, do jadalni!

Christa i Maria zostały same w pokoju z czterema podobnymi do siebie jak stado gęsi Chinkami. Zabawne pomyłki językowe próbującej swych sił w chińszczyźnie Christy oraz ciągle kłopoty z odgadnięciem imion skośnookich służących wytworzyły luźną i wesołą atmosferę. Wiadomości, które miały o Chinach, wcale się nie potwierdziły.

— Bardziej podoba mi się tu niż w Indiach, a Szanghaj wydaje mi się bardzo sympatycznym miastem.

— Radziłabym poczekać z oceną, Christo. Jak na razie widziałyśmy zaledwie fragment dzielnicy europejskiej, natomiast w Colombo trafiłyśmy w sam środek azjatyckiego miasta. Zobaczymy, jak tutaj to wygląda.

— Rzeczywiście. Najważniejsze, że jesteśmy już na miejscu i że wieczorem spotkamy się z naszymi przyjaciółmi z „Oceany”.

Christa wyszła na balkon i popatrzyła na szeroko rozlaną rzekę Huang-pu, po której pływało mnóstwo dziwacznych dżonek i eleganckich łodzi należących do Europejczyków. Na drugim, odległym brzegu majaczyła sylwetka latarni morskiej Pu-Tung i znikające we mgle doki dżonek. Lekki wietrzyk sprawiał, że mimo upału można było oddychać zupełnie swobodnie. Christa uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie rady ciotki Eudoksji, która kazała zabrać futro, bo w Szanghaju może być piekielnie zimno!

Jak należało oczekiwać, pierwszym gościem, który zjawił się wieczorem w willi Hartungów, był oczywiście Roy. Został powitany niezwykle serdecznie.

— Roy, nie widziałyśmy pana chyba ze sto lat!

— Miło mi to słyszeć, bo rozumiem, że bardzo się za mną stęskniłyście. Ale nie przesadzajmy! W rzeczywistości minęło zaledwie siedem nędznych godzin, gdy zszedłem wam z oczu. Aż nie uwierzę, że zauważyłyście moją nieobecność i tak bardzo mnie polubiłyście!

— Ktoś tu jest trochę zarozumiały, nie sądzi pani, Mario?

— Znam tylko swoją wartość! Z przykrością muszę stwierdzić, że przynajmniej jedna z pań wolałaby zamiast mnie powitać innego gościa. Domyślam się, że nieobecność hrabiego Palatynatu i jego wasala bardzo paniom doskwiera.

— Nie wiem, kogo obdarzył pan tym wymyślnym tytułem, Roy — Christa daremnie próbowała ukryć rumieniec.

— Doprawdy? No przecież naszego maharadzę od maszyny do pisania! Muszę panu zdradzić, panie Hartung, że chłopiec ten ma wyjątkowego pecha i zawsze zjawia się akurat tam, gdzie przypadkowo znajduje się Christa. Oboje byli tym bardzo skrepowani.

— To mnie pan uspokoił, panie Harrison. Wiem przynajmniej, że bardzo troskliwie opiekował się pan moją córką. Nie dziwię się, że młodzi mężczyźni szukają jej towarzystwa, ba, jestem dumny z tego, ale tylko taki żółtodziób jak pan może tego jeszcze nie rozumieć.

— Hurra! Aleś mu przyłożył, tato! — tryumfowała Christa patrząc na zbitego z tropu Roya.

Werner objął córkę i spojrzał na nią z uśmiechem.

— A któż to jest ten maharadża, dziecko?

— To pan nie wie, kto śni się córce w czasie bezsennych nocy? I to nazywa się ojcowska troskliwość!

— Pan jak zawsze wie wszystko, Harrison. Powiecie mi wreszcie, o kogo chodzi?

— O prawdziwego rycerza o smętnym obliczu!

— Starczy, Roy! Muszę pana przywołać do porządku — wtrąciła się Maria. — Co do oblicza, to raczej nie widać w nim smutku, wręcz przeciwnie.

— Tu mogę się z panią zgodzić, a rycerza od maszyny do pisania porównam może do Adonisa. Co panie na to? Nie pasuje to określenie do przystojnego pana Rexa?

— Ach, to o jednego z tych panów chodzi?

— Tak jest, troskliwy panie ojcze. Spadł panu kamień z serca? Werner spojrzał ukradkiem na Christę i zauważył ciemniejący

rumieniec na jej policzkach. Czyżby rzeczywiście jego ukochana córeczka straciła serce dla jednego z tych sympatycznych młodych ludzi?

*

Po chwili chiński majordomus zameldował przybycie panów Bredo-wa i Rexa.

Maria z zadowoleniem musiała *przyznać*, że w zachowaniu Maxa nic się nie zmieniło, wręcz przeciwnie — odniosła wrażenie, że stara się dziś być jeszcze miłszy.

Przyszedł także kapitan Sørensen z Daisy i można było usiąść do stołu. Po drodze do jadalni Robert szepnął do Christy:

— Jesteśmy w Szanghaju, Christo! Muszę pani przypomnieć o odpowiedzi, którą jest mi winna, czy też pamięta pani sama?

Popatrzyła na niego z uśmiechem:

— Myślałam, że dał mi pan kilka dni na odpoczynek.

— Och, przepraszam! Zupełnie zapomniałem. Muszę zatem cierpliwie poczekać, aż nabierze pani sił i zdać się na pani łaskę, bo czy zechce pani wypoczywać cztery czy pięć tygodni, to wcale nie zależy ode mnie. — Popatrzył na Christę z nieudawanym smutkiem.

— Domyślam się, że wolałby pan zawrzeć nowy kontrakt, który dawałby większe gwarancje.

— To byłoby wspaniałe! Jak twierdzi Roy istotą każdego kontraktu jest to, że jedna ze stron zawsze znajdzie się na straconej pozycji. — zażartował Robert.

— Nieźle mnie pan podsumował! — roześmiała się. — Zaraz udowodnię fałszywość tezy Roya i zaproponuję panu układ, w którym nie tylko pan nie straci, ale wręcz przeciwnie — jeszcze zyska. Jak długo zostanie pan w Szanghaju?

— O Boże! Jeżeli mam czekać na odpowiedź do ostatniego dnia mojego pobytu, to chciałbym wyjechać już jutro, choć zamierzałem pozostać co najmniej pół roku.

— Dokładnie tyle samo co ja. Proponuję więc, aby z odpowiedzią, na której panu tak bardzo zależy, poczekać do połowy naszego pobytu w Szanghaju. Co pan na to?;

— Roy jednak miał rację; straciłem znowu ja! Zamiast upierać się przy natychmiastowej odpowiedzi, skazałem się na trzymiesięczną katorgę. Straszne! Niech pani przemyśli wszystko jeszcze raz Christo, może znajdzie się jakieś inne wyjście? — Robert chwycił ukradkiem jej rękę i podniósł ją do ust. Tuż za nimi szedł Roy ze swoją siostrą i Robert

nie chciał stwarzać mu okazji do złośliwego komentarza. Christa po chwili zastanowienia odparła:

— W takim razie zmieńmy termin umowy. Cztery pięć tygodni może być? — zanim jednak Robert zdążył odpowiedzieć, do ich rozmowy włączyła się Daisy, która nie mogła wyjść z zachwytu nad pięknie urządzoną willą Hartunga.

Przy stole rozmawiano głównie o Chinach, o możliwościach współpracy handlowej z tym wielkim krajem. Werner, uważający Maxa za króla nadreńskiej stali, spytał w pewnym momencie, czy nie mógłby mu w czymś pomóc, przynajmniej na początku. Max podziękował lekko zakłopotany.

— Najważniejsze, panie Bredow, żeby nie dał pan się nabrać pośrednikowi, który łaszac się jak kot, będzie pana przekonywał, że bez jego znajomości tutejszego rynku nie da pan sobie rady.

— Ma pan na myśli konkretną osobę? — spytał zaciekawiony Robert.

Roy i Max popatrzyli na siebie, gdyż byli pewni, kogo Werner podejrzewał.

— Owszem, to niejaki pan Tse Hai, drań, jakich mało. Niestety, ani władze chińskie, ani żadne inne nie mogą sobie z nim poradzić, bo jest to wyjątkowo przebiegły gracz. O ile wiem, przebywa w tej chwili w Niemczech.

Roy już miał na końcu języka wiadomość, że informacje gospodarza domu są nieaktualne, ale upomniany ostrym spojrzeniem Maxa, wycofał się w ostatniej chwili. Ciągłe nie mógł zrozumieć, dlaczego właściciel stalowni chce za wszelką cenę ukryć przed swoim sekretarzem wiadomość, że ten znenawidzony przez wszystkich Tse Hai był na pokładzie „Oceany”. W każdym razie Roy darzył młodego Niemca wielkim szacunkiem i za nic w świecie nie zdradziłby jego tajemnicy.

W trakcie rozmowy okazało się, że Daisy zostanie w Szanghaju tylko cztery dni, gdyż tyle będzie trwał postój „Oceany”.

Christa i Maria bardzo polubiły drobną sympatyczną panią kapita-nową i przekonywały ją, aby przedłużyła swój pobyt.

— Nie mogłaby pani zostać i wrócić „Oceaną” dopiero następnym rejssem. Mój dom jest na tyle przestronny, że wygodnie pomieszczą się tu

wszyscy goście moi i Christy — wtrącił Hartung przysłuchujący się rozmowie kobiet.
— Pani Daisy, niech pani się zgodzi! — nalegała Christa zaskoczona wspaniałomyślną propozycją swego ojca. — Musi pani się zgodzić. Roy, niechże pan przekona siostrę!
— Obawiam się, że najpierw trzeba będzie przekonać Kurta — rzekł zatroskany Roy.
— Co, co? — spytał kapitan, gdy zajęty rozmową z Maxem nagle usłyszał, że o nim mowa.
— Zaproponowałem właśnie pańskiej małżonce, żeby popłynęła, następnym rejssem, a zanim pan wróci, była moim gościem. Tymczasem szwagier twierdzi, że pan się na to nie zgodzi.
Tylko Roy zrozumiał znaczenie spojrzenia, jakie mu w tym momencie posłał Kurt. Wyglądało na dowód wdzięczności, ale nijak nie pasowało do skwapliwie wyrażonej zgody kapitana.
— Musiałbym być człowiekiem bez serca, gdybym pozbawił żonę takiej okazji poznania Chin. Jeżeli tylko chcesz, Daisy, skorzystaj z miłego zaproszenia pana Hartunga — odpowiedział Sørensen, uśmiechając się wdzięcznie do żony.
— Myślę, że tylko ja jeden wiem, ile naprawdę kosztowało Kurta podjęcie tej decyzji. Prawda, szwagierku? Nikt nie rozumie cię tak dobrze jak ja.
— Odwdzięczyłbym ci się tym samym, gdybyś choć raz zamknął gębę na kłódkę i nie wtrącał się, gdy starsi rozmawiają — kapitan silił się na uprzejmy ton, ale pod stołem wycelował dokładnie i z całej siły kopnął szwagra w łydkę. Roy wrzasnął z bólu i zerwał się na równe nogi.
— Do pioruna! Komu to mało miejsca pod stołem, że musi kopać po moich nogach? — stał obok Marii i energicznie masował obolałą łydkę, podczas gdy szwagier jakby nigdy nic rozmawiał dalej z Hartungiem.
— Nikt w tym gronie nie ma zamiaru mnie przeprosić?
— Na to wygląda, drogi przyjacielu, ale ja ze swej strony okażę odrobinę współczucia — odparła Maria. — Mocno pan krwawi?
— Masz ci los! Ta kobieta pyta, czy krwawię, z taką obojętnością, jakby chodziło o to, czy wolę upaść na plecy czy na brzuch!
— O to akurat bym nie spytała, bo jest mi obojętne. Czy jednak ból był tak wielki, że trzeba było zepsuć dobry nastrój?

— Bądź tu człowieku dobry! Chciałem dobrze dla Kurta, a ten najpierw mnie zrugął, potem ktoś kopnął mnie pod stołem, a na koniec jeszcze się okazuje, że wszystkim popsulem nastrój! Swoją drogą, ten ktoś musi mieć niezłe kopyto — numer czterdzieści pięć tak na mój gust. Tak, tak, Rio! Z rodziną tak to się wychodzi. Dobrze, że chociaż pani mi współczuje — dodał, wciąż rozcierając bolącą nogę.

— Niech tylko pan sobie za dużo po tym nie obiecuje. W razie potrzeby ja też dołożę! — rzekła, głaszcząc go czule po policzku. O dziwo; poczerwieniał i pocałował Marię w rękę.

— Fajny z pani kumpel, Rio!

Zanim goście rozeszli się do domu, zapadła już ostateczna decyzja, że pani Sørensen przeniesie się do willi Hartungów zaraz po wypłynięciu „Oceany” z Szanghaju. Żegnając kapitanową, Werner zwrócił się do niej po cichu:

— Wyznam szczerze, droga pani Sørensen, że moje zaproszenie nie jest tak całkowicie bezinteresowne. Mam jednak nadzieję, że mimo to przyjmie je pani z zadowoleniem i nie weźmie mi tego za złe.

— Wręcz przeciwnie, panie Hartung, z przyjemnością zrobię dla pana wszystko, co będzie w mojej mocy. Proszę tylko powiedzieć o co chodzi?

— Jako zameżna, stateczna dama mogłaby pani dyskretnie opiekować się Christą i panną Holm podczas wizyt chińskich gości w naszym domu. Boję się, że w ich oczach panna Holm jest stanowczo za młoda na damę do towarzystwa dla Christy. Tutejsze zwyczaje są niezwykle rygorystycznie przestrzegane.

— Chętnie zgadzam się na pańską propozycję. Jest to ponadto dla mnie znakomita okazja poznania chińskich domów, do których jako turystka nie miałabym przecież wstępu.

— To prawda: bez rekomendacji Chińczycy nie otworzą się przed obcymi, a względem europejskich kobiet są wyjątkowo nieufni.

— Tym bardziej jestem panu wdzięczna za zaproszenie, bo w ciągu tych kilku dni pobytu w hotelu, wyjechałabym z Chin, nie mając o tym kraju zielonego pojęcia. — Daisy uśmiechnęła się uroczo do Wenera, na co stojący obok Kurt nawet nie zwrócił uwagi, zajęty już snuciem planów na samotne rejsy „Oceaną” do Bremy i z powrotem do Szanghaju.

VIII

Parowiec dawno już był w drodze, czułe pożegnanie Kurta z Daisy, przy którym padło kilka wzruszających łez, również zostało już zapomniane, a nowi lokatorzy i goście zadomowili się w willi Har-tungów na dobre.

Roy i dwaj młodzi Niemcy przychodzili niemal codziennie i Werner cieszył się, że w jego dotychczas cichym domu wreszcie zapanował ruch i toczyło się normalne życie.

Wczesnym rankiem, zanim upał nie stawał się zbyt dokuczliwy, Christa, Roy i Robert wyruszali na konne przejażdżki poza miasto. Czasami zapuszczali się w wąskie uliczki chińskiej dzielnicy, gdzie mimo wczesnej pory dnia, już panował niesamowity ścisk i gwar, nie mówiąc o zaduchu i okropnym brudzie.

Z pełnym zaufaniem zdali się na zmysł orientacyjny Roya, któremu jakimś cudem zawsze udawało się wyprowadzić ich z labiryntu ulic, polnych drózek za miastem i trafić do europejskiej dzielnicy.

Max, który nigdy nie jeździł konno i dlatego zostawał rano w hotelu, był zadowolony, że Robert nie jest sam, a w razie niebezpieczeństwa kręci się w pobliżu Roy.

A że miał podstawy do "cJbaw, upewniła go depesza z Duisburga, którą odebrał nazajutrz po przyjeździe w Konsulacie Generalnym Niemiec. Zawierała potwierdzenie, że Chińczyk Kin Lung intensywnie wymienia korespondencję z niejakim panem Tse Hai i swoim bratem w Szanghaju. Co pisze, niestety, nie udało się ustalić.

Fakt, że byli

w kontakcie, dla Maxa stanowił jednoznaczny dowód spisku przeciwko jego przyjacielowi. Pewnego ranka jeźdźcy wyjechali daleko za chińską dzielnicę pomiędzy rozległe pola. Christa i Robert zajęci rozmową nie zauważyli, że Roy kręci się niespokojnie i niepewnie rozgląda wokół. Okazało się, że w monotonnym krajobrazie stracił zupełnie orientację i nie wiedział, którędy wrócić do szosy prowadzącej do miasta. Jak na złość w całej okolicy nie było żywego ducha. Ponadto Christa ubrana w męski strój jeździecki, w dżokejce na głowie i z papierosem w ustach w ogóle nie wyglądała na kobietę. Żaden chińczyk o tradycyjnych poglądach z pewnością nie byłby zachwycony jej widokiem. O wyciągnięciu od niego informacji raczej nie byłoby mowy. Najdziwniejsza dla Roya była absolutna pustka tej okolicy; w Chinach rzecz nie do pomyślenia. Toteż, gdy nagle z jamy w urwisku wyszedł ubrany na żółto człowiek, Roy odruchowo sięgnął po rewolwer, przytroczony do pasa.

— Uwaga, Rex, ktoś do nas idzie! — ostrzegł półgłosem Roberta, który odwrócił się niespodziewanie wyrwany z zajmującej rozmowy z Christą.

— Nie wygląda na zachwyconego naszą obecnością. Gdzie my właściwie jesteśmy, Roy?

— Czułbym się raźniej, gdybym to wiedział. Na wszelki wypadek musimy zachować maksymalną ostrożność. Christo, niech pani wjedzie między nas i nie rusza się, dopóki nie zobaczymy, o co temu żółtkowi chodzi. Chińczyk odziany w tradycyjny jaskrawo żółty strój podszedł do jeźdźców, którzy czekali zatrzymawszy konie, uklonił się nisko i wybełkotał coś, co mogło przypominać pidgin english. O dziwo, Roy zrozumiał go, bo odparł w nienagannym narzeczu szanghajskim:

— Możesz mówić po chińsku. Rozumiemy wasz język. Czego od nas chcesz?

— Panie, ja nędzny sługa, ośmielam się prosić unieżenie, abyś ty i twoi towarzysze zechcieli odwiedzić naszą świątynię.

— Gdzie ty tu widzisz jakąś świątynię, dobry człowieku? Dookoła nie ma żadnych zabudowań — stwierdził Roy, nie spuszczać tajemniczego Chińczyka z oczu. — Znam dobrze Szanghaj i okolice

i słyszałem, że jest tu tylko jedna świątynia warta zwiedzenia, ale jak dotychczas nie wpuszczono tam żadnego Europejczyka. Chyba nie chcesz nas oszukać?

— Gdzież bym śmiał, szlachetny panie, oszukiwać kogokolwiek! Chcę wam pokazać Świątynię Żyjącego Buddy — Hu Tuchtu!

— Co? Nie kłam, człowieku! Nie możesz wpuścić nas do tego świętego miejsca.

Młody, jak się okazało, Chińczyk roześmiał się nieoczekiwanie:

— Dzisiejszej nocy czcigodny Hu Tuchtu miał sen, że Świątynię czeka zniszczenie, jeżeli Wielki Budda, prawzór żyjącego dziś jego następcy — tu żółto odziana postać skłoniła się do samej ziemi — nie wyleje swojego gniewu na dusze niewiernych.

— Nie rozumiem dlaczego opowiadasz nam tu sny kapłana uważającego się za żyjącego Buddę?

— Panie, błagam! Hu Tuchtu wezwał dziś rano kapłanów i kazał przyprowadzić przynajmniej kilku Europejczyków i pokazać im Świątynię, aby Wielki Budda miał na kim wyładować swoją złość. Zwyczaj nie dopuszcza, aby oczy niewiernych oglądały blask przybytku jego żyjącego następcy.

— Aha! A jeżeli nie mamy ochoty narażać się na gniew waszego boga i podziękujemy za możliwość zwiedzenia świątyni?

— Będę zmuszony użyć siły, panie, bo nie można dopuścić do zniszczenia naszego przybytku.

— Natomiast wcale się nie martwicie, że gniew Buddy może wyrządzić szkodę niewiernym duszom, czy tak? — zaśmiał się Roy rozbawiony naiwnością młodego mnicha, który machnął z lekceważeniem ręką i rzekł:

— Dla Wielkiego Buddy niewierne dusze są tak niewiele warte, że nawet nie zada sobie trudu, żeby je zniszczyć. A naszą Świątynię od jego gniewu możecie tylko wy uratować.

— Hm, to już coś, jeżeli niewierne psy możemy coś zrobić dla szlachetnych wyznawców Buddy. Co dostaniemy w zamian od twojego żyjącego Buddy?

— To, że bezkarnie możecie obejrzeć Świątynię i nie zostaniecie oślepieni, jak inni niewierni, którzy ją zbezczeszcza.

— Oto łagodne baranki! Muchy nie skrzywdzą, ale niewiernemu oczy wyłupić z byle powodu, to od razu! — burknął Roy pod nosem głośno zaś rzekł: — Sądysz, że nasza wizyta zadowoli Buddę?

— Niczego więcej nie żądał.

— Wielcy panowie potrafią być czasami kapryśni i często zmieniają zdanie. Pytam więc jeszcze raz: co się stanie, jeżeli ja i moi przyjaciele nie zgodzimy się iść do tej twojej świątyni? — Roy na wszelki wypadek nie wspomniał, że wśród tych przyjaciół jeden jest płci żeńskiej.

— Zaprowadzę was tam siłą. Hu Tuchtę kazał, a ja muszę słuchać jego rozkazów.

— Jest nas trzech; jak zamierzasz poradzić sobie z nami?

— Ja też nie jestem sam — rzekł tajemniczym szeptem Chińczyk. — O, klasnę tylko w ręce... i już mam pomocników!

Zdumieni przybysze przecierali oczy, gdy z każdego zagłębienia w urwisku wychodziła na żółto ubrana postać i powolnymi krokami zbliżała się w ich stronę.

Robert i Christa niewiele rozumieli z tego, co się wokół nich działo, zwłaszcza że Roy i mnich porozumiewali się dialektem, którego Christa mówiąca niezłe po chińsku w ogóle nie rozumiała.

Zobaczywszy nagle zbierający się wokół nich tłumek Chińczyków, Robert nie wytrzymał i spytał Roya po angielsku:

— O co mu chodzi? Niech pan nie zapomina, że jest z nami kobieta.

— Po pierwsze, tych żółtków nie musimy o tym informować, a po drugie — wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z kupą wariatów. Niech pan posłucha, co ten tu mi naopowiadał — i Roy pokrótce powtórzył Robertowi treść rozmowy z mnichem. Potem popatrzył na Christę i spytał:

— Najlepiej niech pani zdecyduje, czy powinniśmy spełnić żądanie tych szaleńców i wziąć na swoje głowy gniew samego Buddy. Logicznie biorąc, jedyna w życiu okazja zobaczenia tej świątyni na pewno już się nie powtórzy.

Wielu Europejczyków oddałoby fortunę, byleby tylko móc zerknąć za bramę pilnie strzeżonego pałacu, w którym rezyduje Hu Tuchtę, słynny Żyjący Budda.

— Ja oczywiście jestem za pójściem do tej sławetnej świątyni — bez wahania zgodziła się Christa, Robert zaś nie wyglądał na przekonanego.

- Jak pan sądzi, Roy: narazimy się na wielkie kłopoty, jeżeli odmówimy? — spytał.
- Też pytanie! Nas jest troje, a ich co najmniej piętnastu. Wszyscy gotowi utopić nas w łyżce wody.
- Niech mu pan powie, Roy, że zgadzamy się spełnić jego prośbę, bo jak na razie nie mamy innego wyjścia.
- Dobrze, Christo, ale proszę nie zdradzić się, że jest pani kobietą. Chińczyk jest pewien, że ma do czynienia z mężczyznami.
- Niech sobie dalej tak myśli. Ale się tatko uśmieje, gdy powiem mu, że znowu udawałam kogoś innego!
- Roy pomyślał, że też chętnie by się pośmiał, ale dopiero wtedy, gdy już tych dwojga całych i zdrowych odprowadzi pod skrzydła tatusia Hartunga. Spotkanie z żyjącym Buddą wcale nie budziło jego zachwyty.
- Ma pan przy sobie browninga, Rex?
- Wraz z sześcioma nabojami.
- To dobrze. Niech go pan trzyma cały czas w pogotowiu, a ja podejmuję dalsze negocjacje — Roy zagadnął młodego mnicha w jego szanghajskim dialekcie:
- Jakie gwarancje bezpieczeństwa daje nam Hu Tuchtu, jeżeli przyjmujemy jego zaproszenie.
- Panie, nam kapłanom nie wolno robić czegoś, co nie jest zgodne z naszymi słowami.
- Wiem, przyjacielu, ale ty nie jesteś Hu Tuchtu?
- Zajmę jego miejsce, gdy Hu Tuchtu zostanie wezwany do Wielkiego Buddy — rzekł młody mnich z wyraźną dumą.
- Skąd wiedziałeś, że w tym odludnym miejscu spotkasz Europejczyków?
- Gdy Hu Tuchtu przedstawił nam swój rozkaz, przypomniałem sobie, że często widywałem trzech jeźdźców przemierzających pola opodal dzielnicy chińskiej. Śledziłem was od dawna. Gdybyście przypadkiem nie zblądzili aż tutaj, porwałbym was już wcześniej, chociaż Hu Tuchtu pozwolił nam użyć przemocy tylko w ostateczności.
- Hm, tak czy inaczej znaleźlibyśmy się w pułapce — wyjaśnił Roy pozostałym.
- Nie mamy innego wyjścia, jak zachować daleko idącą ostrożność, a przede wszystkim pilnować Christy i nie dać się rozdzielić

— ciągnął Roy po niemiecku, zaś po chińsku dodał: — Idziemy! W jaki sposób trafimy do świątyni?

— Poproś, panie, wszystkich, żeby zeszli z koni i ruszyli za mną. Ty także.

— A co z naszymi wierzchowcami?

— Zostaną tutaj, a nasi ludzie zaopiekują się nimi. Z wami pójdę tylko ja — odpowiedział a pozostali mnisi na jego znak odprowadzili konie na łąkę opodal urwiska, nie zwracając w ogóle uwagi najeźdźców.

— Roy, czeka nas niesamowita przygoda, a pan ma naburmuszoną minę — zdziwiła się Christa.

— Chętnie zrezygnowałbym z tej przygody, choćby ze względu na pani obecność, a będę dziękować Bogu, gdy wreszcie pożegnamy czcigodnego Hu Tuchtu.

Christa popatrzyła na Roberta i zauważyła, że on także ma niewesołą minę. Zmieszała się trochę, ale ochota na przeżycie czegoś niezwykłego wcale jej nie minęła.

Bez słowa wszyscy troje podążali za Chińczykiem, który prowadził ich krętymi ścieżkami pomiędzy polami i rozpadającymi się drewnianymi zagrodami, aż wreszcie stanęli przed wysokim solidnym murem.

Przy bramie stał mnich niezwyklej, jak na Chińczyka, postury.

Na widok nadchodzących krzyknął z radości i natychmiast otworzył na oścież ciężką furtę. Zgięty niemal do ziemi, czekał, aż wszyscy przejdą.

— Jesteśmy na miejscu? — spytał Roy młodego mnicha.

— Tak, panie. Proszę, żeby teraz nikt nie odzywał się ani słowem, dopóki nie staniemy przed obliczem czcigodnego Hu Tuchtu, gdyż w świątyni trwają modły po złowieszczym śnie Żyjącego Buddy.

Roy przekazał tę informację pozostałym i od tej chwili szli w milczeniu szerokimi korytarzami.

Na ogromnym dziedzińcu stały olbrzymie posagi lwów, wykonane z brązu, a wokół nich w brązowych wazach przepiękne rośliny, jakich nikt z Europejczyków nigdy nie widział, rozsiewając wokół przyjemny, upojny zapach. Wzdłuż krużganków wyłożonych pięknym marmurem stały mniejsze ozdobne wazy, a posadzki były pokryte cennymi kobiercami aż do schodów prowadzących do dolnej, wykutej pod ziemią

świątyni. Jej wnętrze zdobiły ogromnej wielkości malowidła, posągi i misternie rzeźbione w drewnie sztukaterie bogato przetykane złotem i srebrem.

Przybysze przeszli do kolejnych sal, można by rzec kaplic. Drzwi do każdej otwierał im inny, ubrany na żółto mnich. Christa zauważyła, że wszyscy mieli dokładnie ogolone głowy i choć było ich wielu, nie dostrzegła wśród nich ani jednej kobiety.

Zatrzymali się w dużej kaplicy. Jeszcze stojąc przed jej drzwiami, usłyszeli niezwykle gwar, coś jakby chóralny śpiew. Wewnątrz panował półmrok, więc dopiero po chwili dostrzegli leżących na podłodze mnichów, modlących się przed potężnym, pięciometrowym co najmniej, posągiem Buddy. Również byli ubrani na żółto, na głowach mieli wysokie czapy przypominające hełmy.

Jednostajnie brzmiącym modłom towarzyszyły rytmiczne głośne uderzenia w bębny lub gong, w powietrzu zaś unosił się silny, odurzający zapach kadzidła.

Christa, ogromnie przejęta, pochyliła się ku Robertowi, by powiedzieć mu, że atmosfera modłów zupełnie przypomina jej niektóre nabożeństwa katolickie, ale zobaczyła uniesioną, wąską dłoń ich przewodnika, więc szybko zrezygnowała.

Stali co najmniej kwadrans, zanim nie otworzyły się następne drzwi. Roy nudził się piekielnie, gotów był ruszyć dalej nie czekając na zgodę przewodnika, ale wystarczyło jedno spojrzenie tamtego, by zrezygnował ze swojego zamiaru.

Poczuł się nagle jak sparaliżowany, niezdolny do zrobienia samodzielnego kroku. Spojrzał na Christę i Roberta. Na ich twarzach widać było dokładnie takie samo zmęczenie i obojętność, jak w rysach młodego kapłana.

Potężne uderzenie w gong odbiło się nagle stukrotnym echem od kamiennych ścian kaplicy. Christa skuliła się odruchowo i z bijącym jak młot sercem mocno chwyciła Roberta za rękę.

Przy zanikającym dźwięku gongu kapłani powoli podnosili się z ziemi i uroczystym krokiem pojedynczo opuszczali świątynię. Znikali nagle, jakby przenikali przez ściany, bo ani drzwi, ani korytarzy wychodzących z kaplicy nie było widać. Po chwili ogromna sala opustoszała.

Christa rozglądała się zdumiona. Spojrzała na Roberta, potem na Roya, a ponieważ obaj uśmiechali się spokojnie, odetchnęła z ulgą. Cóż im pozostało? Wobec tajemniczej, magicznej siły czuli się bezradni, ale nie mogli jej się poddać, musieli zachować ostrożność i jasność oceny sytuacji.

Gdy ostatni kapłan opuścił kaplicę, młody mnich dał znak, że można iść dalej. Złowieszczo zadudniły ich kroki w absolutnej ciszy. Na Christę jednak pobrzękiwanie ostróg jeździeckich butów podziało ją uspokajająco.

Bez niczyjej pomocy, bez najmniejszego szmeru otworzyły się przed nimi kolejne drzwi i znaleźli się w stosunkowo niedużej sali, pośrodku której stał mebel przypominający tron. Wśród ułożonych na nim poduszek siedział młody człowiek i patrzył spokojnie swoimi skośnymi, wyraźnie zmęczonymi oczyma na przybyłych. Miał na sobie również żółtą szatę, ale z kosztownej tkaniny. Płaszcz zwisający z jego drobnych ramion był ozdobiony szlachetnymi kamieniami, na głowie zaś wyróżniała się błyszcząca od złota wysoka czapa, przypominająca kształtem miecz. Wokół tronu stało dziesięciu, może dwunastu kapłanów, którzy na widok wchodzących skłonili się wszyscy naraz do samej ziemi, jakby przyjmowali długo oczekiwanych gości.

Hu Tuchtu uniósł na powitanie swoją drobną dłoń.

Młody mnich — przewodnik rzekł głośno do Roya:

— Panie, czcigodny Hu Tuchtu was pozdrawia.

— Czy wolno mi odezwać się do niego.

— Owszem, panie

— Jaką mową rozumie czcigodny Hu Tuchtu?

— Każdą, panie.

— Coś podobnego! Chyba znowu czegoś nie zrozumiałem — burknął Roy, któremu rzeczywiście czasami umykały niektóre gwarowe powiedzenia Chińczyka.

W tym momencie jednak Hu Tuchtu uniósł się lekko na swoim tronie-łóżu i spytał wyraźnie młodego mnicha:

— Z jakiego kraju są ci cudzoziemcy, którzy mają zdjąć z nas gniew Wielkiego Buddy?

Zanim jednak mnich zdążył otworzyć usta, Roy wyjaśnił nienaganną chińszczyzną.

— Jesteśmy z Niemiec, panie.

— W jakim języku chcecie ze mną rozmawiać? — spytał młodzieniec ze swoim zmęczonym uśmiechem na ustach.

— Dla mnie jest to w zasadzie obojętne.

— Zatem ten kapłan mówił prawdę — mruknął do siebie po niemiecku Roy. — Naprawdę znasz panie wszystkie języki świata? — spytał głośno również po niemiecku.

— Jest kilka, z którymi jeszcze nie radzę sobie bezbłędnie — odrzekł Hu Tuchtu bez cienia zarozumiałości.

— Pozwolisz, wasza wysokość, że wyrażę nasz podziw.

— Nie wypada podziwiać człowieka za to, że Budda obdarzył go talentem. Moim obowiązkiem zaś jest niezamarnowanie tego daru. Nie ma tu miejsca na moje zasługi. Poza tym, młody człowieku — rzekł zwracając się ni stąd ni zowąd do Christy — mam dużo wolnego czasu, gdyż oprócz udziału w krótkich modłach, nie mam innych obowiązków.

Zabrzmiało to jak skarga.

— Teraz jednak musimy rozmawiać w moim ojczystym języku, gdyż widzę w oczach kapłanów strach, że powiem coś, czego mi nie wolno.

— Widzę, że żyjący Budda nie ma lekkiego życia — zdążył szepnąć Roy do Roberta, zanim odezwał się w narzeczu zrozumiałym dla asysty:

— Proszę mi powiedzieć, wasza wysokość, czy nasza wizyta pomoże w uratowaniu świątyni?

— Tak cudzoziemcze. Z chwilą, gdy He Tutsu wprowadził was na jej teren, oblicze szlachetnego Buddy pojaśniało i jego gniew ustąpił.

— Bardzo nas to cieszy! Rozumiem, że w tej sytuacji nie stanie nam się żadna krzywda.

— Wręcz przeciwnie: od tej chwili jesteście moimi gośćmi.

W tym momencie zjawił się służący i wniósł na tacy filiżanki z niezwykle pięknej porcelany; w których połyskiwała pachnąca herbata kolorem przypominająca białe wino. Drugi sługa przyniósł wazę wypełnioną jakimiś nieznanymi smakołykami.

Prócz Hu Tuchtu nikt z Chińczyków się nie częstował.

W sali nie było krzesel, więc cudzoziemcy prawidłowo odgadli, że w obecności żyjącego Buddy nie wypada usiąść.

Dla Christy trzymanie jednocześnie tacki ze słodyczami, filiżanki z herbatą i pejcza nie stanowiło najmniejszego problemu, za to Roy i Robert rozglądali się bezradnie, gdyż brakowało im co najmniej drugiej pary rąk.

— Radzę ścisnąć pejcz między kolanami, dżokejkę włożyć pod pachę, a talerzyk trzymać między palcami pod filiżanką. Mnie się to udało!

Obaj starali się skorzystać z dobrej rady, ale ich niezdarne, grube paluchy nijak się nie poddawały.

— Powinienem być wziąć parę lekcji u fakira! — burknął Roy po niemiecku do Christy, ale Hu Tuchtu usłyszał i uśmiechnął się:

— Nie mogę wam, niestety, zaoferować krzesel, gdyż zgodnie z obyczajem w mojej obecności siedzieć nikomu nie wolno, ale proponuję odłożyć pejcz i czapki na podłogę, skoro nie jesteście panowie tak sprawni jak ten młodzieniec — rzekł płynnie po niemiecku wskazując na Christę. — Opowiedzcie mi proszę o waszej ojczyźnie, ale mówcie po angielsku, gdyż stojący obok mnie kapłan zna ten język i w razie potrzeby potwierdzi, że rozmawialiśmy o rzeczach dozwolonych.

— Proponuję, wasza wysokość — podchwyciła propozycję Christa — żeby pytał pan o rzeczy dla was interesujące.

— Widzę, młodzieńcze, że z was trojga jesteś najrozsądniejszy.

— Też coś! I to ma być sprawiedliwość? — mruknął Roy pod wąsem, a właściwie pod miejscem, gdzie powinien mu dopiero wyrosnąć, jak powiedziała mu kiedyś pewna Amerykanka. Jej zdaniem charakter mężczyzny poznaje się po tym, co ma na górnej wardze, a ponieważ Roy nie miał nic... No, bez przesady! Roy swoim charakterem po prostu nie chciał się afiszować.

— Powiedz mi zatem, młodzieńcze, czy to prawda, że wy tam w domach macie takie skrzynki, z których słychać głosy i hałasy z miejsc oddalonych od was?

— Tak jest, wasza wysokość. Te skrzynki to radia. Ale żeby działały, to potrzeba wielu innych rzeczy, jak choćby antena na dachu i przede wszystkim nadajnik. Dokładnie nie objaśnię szczegółów, bo do tego potrzebna by była ogromna wiedza fachowa.

Hu Tuchtu słuchał uważnie, dopóki nie wtrącił się Roy.

— Hej, wasza wysokość! Przyszedł mi do głowy niezwykle pomysł — zawołał. — A gdyby tak na dachu waszej świątyni zainstalować antenę? — Roy był tak zachwycony, że już chciał pobiec do żyjącego Buddy i poklepać go po ramieniu, gdyby kilku kapłanów nie powstrzymało go zawczasu. Demokrata Roy był gotów zburzyć wiekowe zasady ceremoniału.

— Nie waż się, niewierna istoto, tknąć świętej osoby żyjącego wcielenia Buddy!

— Spokojnie, panowie, przecież nic mu nie zrobię. Po co tyle nerwów? — Przeraził się Roy nie rozumiejąc, gdzie popełnił błąd.

— Cudzoziemcze, nie zapominaj, przed kim stoisz — odezwał się Hu Tuchtu ze swoim dobrotliwym uśmiechem na ustach. — Tu obowiązują ustalone przed wiekami zwyczaje, których ani tobie, ani mnie zmienić nie wolno.

Roy wyraźnie znudzony oparł się o ścianę. Zapomniał jednak, że ma do butów przypięte ostrogi i stoi na gładkiej marmurowej posadzce. Obrażony musiał zrobić jakiś nieopatrzny ruch, bo sam nie wiedząc kiedy, osunął się wzdłuż ściany i wylądował na tej części ciała, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. Ostrogi nadzwyczaj sprawnie spisały się w roli wrotek, a nieszczęsny ich właściciel wbrew własnej woli usiadł przed żyjącym wcieleniem Wielkiego Buddy. W niezbyt wygodnej pozycji, co prawda, bo wypuszczony z ręki pejcz złośliwie zaplątał się między nogami i upadł grubą rękojeścią akurat w miejscu, gdzie zaraz potem znalazł się jeden z pośladków Roya. Druga ręka też się nie popisała i wypuściła filiżankę, a ta z kolei całą swoją zawartość wylała na twarz nieostrożnego Amerykanina. Dobrze, że przynajmniej herbata już trochę przestygła.

— Żeby przynajmniej wiedział, dlaczego ja ciągle się przewracam? Jak tak dalej pójdzie, chyba każę sobie sprawić żelazne portki — pomyślał Roy w pierwszej chwili i nawet nie próbował się podnieść.

Hu Tuchtu, jego kapłani, jnnich — przewodnik wszyscy stali patrząc bezradnie, bo pierwszy raz w historii ktoś usiadł przed obliczem żyjącego Buddy. Co robić w takim przypadku? Chińczycy zaczęli gorączkowo się naradzać, sprzeczać, gestykulować. Roy dopiero zorientował się, że spór toczy się o niego, gdy jeden z najstarszych kapłanów powtarzał w kółko.

— Musi umrzeć i to natychmiast!

Naprawdę o niego chodziło?! Ale heca! Jak tu teraz wydostać się z pułapki, w którą nieopatrznie wszystkich wpakował? Christa i Robert nie zrozumieli słów gorliwego mnicha i dlatego z pobłażliwym uśmiechem wciąż przyglądali się siedzącemu na ziemi pobratymcowi. A jemu serce podchodziło do gardła, bo kapłani byli już bliscy poparcia decyzji najstarszego z nich.

Zerwał się na równe nogi, podszedł do Hu Tuchtu i rzekł wyraźnie po angielsku:

— Błagam, wasza wysokość, pozwól nam bezpiecznie opuścić świątynię! Nie zapominaj, że to dzięki naszej obecności tutaj została ona ocalona.

Hu Tuchtu spojrział na niego swoim zmęczonym wzrokiem, a potem długo rozmawiał ze swoją asystą w narzeczu, którego Roy nie rozumiał.

Wreszcie odwrócił się i popatrzył na Christę, jakby to ona była najważniejszą osobą wśród gości.

— Hu Tutsu wyprowadzi was szybko ze świątyni, gdyż w każdej chwili grozi wam niebezpieczeństwo. Wyjdziecie z zawiązanymi oczyma, żeby już nigdy w życiu nie przyszła wam do głowy myśl odnalezienia drogi do mojej świątyni. Proszę cię, młodzieńcze, zaufaj mi i nie utrudniajcie mojemu posłańcowi zadania: ma was bezpiecznie zaprowadzić do waszych koni.

— Ufam ci, Hu Tuchtu. Twoje oczy nie potrafią kłamać. Na dowód tego przyznam się, że jestem kobietą — rzekła Christa, uśmiechając się ze współczuciem do młodzieńca, który z trudem dźwigał na sobie ciężar obowiązków i wyrzeczeń związanych z jego świętym urzędem.

Przez chwilę zakrył ręką oczy, później skinął głową i rzekł po cichu:

— Przecież wiedziałem! Jesteś pierwszą białą kobietą, z którą rozmawiałem i jedyną w ogóle od piętnastu lat.

Drugiej już na pewno nie zobaczę nigdy. — Kapłani zaczęli szemrać między sobą, więc Hu Tuchtu wstał i rzekł: Pozwól sobie pierwsza zawiązać oczy. Twój przyjaciele nie ufają mi. Pomóż mi ich przekonać.

Christa spojrziała w oczy nieszczęśliwemu młodzieńcowi, podeszła śmiało i wzięła z jego ręki żółtą przepaskę. Sama założyła ją sobie na oczy, a stając twarzą do Roya i Roberta rzekła:

— Nie utrudniajmy Hu Tuchtu sytuacji. Wierzę, że chce nas bezpiecznie wyprowadzić ze świątyni.

— Oby jak najprędzej. Na niczym bardziej mi nie zależy — mruzczał Roy. — Po co ta przepaska? Traktują człowieka jak bydło prowadzone na rzeź — zrzędził, ale zawiązywał sobie oczy. Tylko Robert zwlekał. Patrzył z coraz większą troską na Christę, wreszcie podszedł do Hu Tuchtu i rzekł zdesperowany:

— Radzę ci pamiętać, że jesteśmy w Chinach pod opieką waszego rządu.

— Nikt przecież nie wie, że trafiliście do mojej świątyni. Żadna władza. Tu tylko ja mogę wam pomóc. Po raz pierwszy w życiu cieszę się z tego.

Robert spuścił ze wstydu wzrok, czując na sobie jasne spojrzenie zmęczonych oczu dostojnika. Podszedł do Christy stojącej bezradnie obok przewodnika, wziął ją za rękę.

— Proszę się nie bać, Christo! Będę przy pani, cokolwiek się stanie — a ona potrząsnęła głową i uśmiechnęła się: — Ja wierzę Hu Tuchtu i niczego się nie boję.

W skośnych oczach przedstawiciela Buddy zakręciły się łzy.

— Kochasz tę dziewczynę? — spytał Roberta wskazując na Christę.

— Tak panie! I żadna moc mi jej nie odbierze! — syknął przez zaciśnięte zęby tak, że tylko Hu Tuchtu zrozumiał.

— Weźcie na drogę moje błogosławieństwo i sympatię. He Tutsu, ty wiesz, gdzie masz zaprowadzić tych cudzoziemców.

Robertowi zawiązano oczy i w tym momencie wszyscy troje zostali otoczeni grupką mnichów i dosłownie uniesieni, czy raczej wypchnięci.

Droga powrotna wydawała im się znacznie krótsza, bo zaledwie po kilku minutach mnich — przewodnik zdjął przepaski z ich oczu.

Stali dokładnie w tym samym miejscu, skąd ich zabrano. Konie przywiązane do drzewa spokojnie przebierały wiązki świeżego siana. Po pilnujących je Chińczykach nie było ani śladu. Został tylko He Tutsu. ^

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — spytał go od razu Roy.

— Niedaleko francuskiego nabrzeża, panie. Stamtąd bez trudu traficie do domu — odpowiedział, a zanim Roy zdążył zadać mu kolejne pytanie, zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

Zaskoczeni wsiedli szybko na konie i bez słowa odjechali we wskazanym kierunku. Pograżeni w myślach nie mieli ochoty na rozmowę.

Roy był poważny jak rzadko kiedy, gdyż zastanawiał się nad sobą. Jak to możliwe, że ostatnio w sytuacjach, gdy szczególnie zależy mu na zachowaniu powagi, nagle, ni stąd ni zowąd, boleśnie łąduje na tylnej części ciała i wtedy nikt już nie traktuje go poważnie, wręcz przeciwnie — wszyscy patrzą na niego z politowaniem, ba! — z lekceważącym uśmieszkiem... Do czego to w końcu doprowadzi? Może przecież przytrafić mu się podobne nieszczęście na przykład w momencie oświadczyn i co wtedy? Zamiast uklęknąć przed swoją wybranką, zwyczajnie klapnie na pupę! To byłaby katastrofa. Tak czy inaczej trzeba się liczyć, że pech go nie opuści tak prędko, i na wszelki wypadek nie spieszyć się z oświadczynami.

Robert czuł ogromną ulgę. Oczyma wyobraźni widział już Christę w ogromnym niebezpieczeństwie, a ani on, ani Roy nie byłiby w stanie kiwnąć choćby palcem, żeby ją ratować. Odruchowo chwycił za cugle konia, na którym tuż obok jechała Christa. Popatrzyła jakby zbudzona z głębokiego snu i uśmiechnęła się z wdzięcznością w oczach. Myślami była wciąż w świątyni Hu Tuchtu. Widziała smutną twarz młodego władcy, jego zapatrzone w dal oczy. Ileż to wyrzeczeń i cierpienia kosztowało tego człowieka piastowanie wysokiej godności? Mimo zaszczytów i władzy, Hu Tuchtu na pewno nie był szczęśliwy.

Jechali już wzdłuż francuskiego nabrzeża. Na widok terenów podmiejskich od razu poprawił im się humor. Dopiero teraz byli naprawdę pewni, że przygoda skończyła się dla nich szczęśliwie.

— Uff! Ale nam się dostało! Gdyby ktoś mi opowiedział podobną historię, nigdy bym nie uwierzyła. Brr! Jeszcze teraz dostaję gęsiej skórki, gdy pomyślę, jak to wszystko mogło się dla nas skończyć!

— Przyznam szczerze, że wolałbym drugi raz nie przeżywać czegoś podobnego. Co za straszne uczucie bezsilności i uzależnienia od czyjejś władzy! W każdym razie tę okolicę będziemy raczej omijać z daleka, zwłaszcza że mnisi byli na końcu niezbyt przychylnie do nas nastawieni. Co oni właściwie od pana chcieli, Roy?

— Zabić mnie! — rzekł Roy z wyraźną dumą w głosie.

- Co? Zabić? Chyba pan się przesłyszał. Dlaczego, skoro przyjęli nas bardzo serdecznie?
- Może nagle nie spodobał im się mój nos, sam nie wiem, w każdym razie grozili mi śmiercią.
- Niech pan nie żartuje, Roy — przerwała mu Christa. — Rzuca pan na mnichów poważne oskarżenie.
- A pani myśli, że oni żartowali?! Chcieli mnie zabić, bo usiadłem w obecności Hu Tuchtu, którego uważają za wcielenie samego Buddy — wyjaśnił Roy bez cienia skruchy.
- Przecież pan nie usiadł, tylko się pośliznął.
- Właściwie odjechałem na ostrogach jak na wrotkach, ale jak przekonać te zakute chińskie łby, że sprawiła to siła grawitacji, a nie moja zła wola? W ciągu pięciu minut życia, jakie mi pozostało, nie zdążyłbym nawet objaśnić, gdzie leży środek Ziemi, a gdyby cokolwiek z tego zrozumieli, pewnie skazaliby mnie za głoszenie herezji.
- Wynikało to z rozmowy kapłanów?
- Niewiele słyszałem, bo nagły intensywny masaż przeciwnie do głowy części ciała zupełnie przyćmił mi zmysł nie tylko wzroku, ale także słuchu. Ocknąłem się dopiero, gdy najstarszy, a przy tym najbardziej wojowniczy z kapłanów stanowczo żądał mojej natychmiastowej egzekucji. Możecie sobie wyobrazić, co wtedy czułem. Na szczęście Hu Tuchtu stanął po mojej stronie. Przekonał kapłanów, że dla buddysty najważniejszą rzeczą jest dotrzymanie danego słowa, a on obiecał nam bezpieczeństwo.
- Hu Tuchtu okazał się niezwykle dobrym i szlachetnym człowiekiem. Jego twarz od razu wzbudziła moje zaufanie
- rzekła Christa.
- Miała pani ułatwione zadanie, Christo, gdyż na pierwszy rzut oka było widać, że Hu Tuchtu nie może oderwać wzroku od pani.
- O, wcale nie, Roy, ja po prostu znam się na ludziach! Pospieszmy się trochę, bo jestem pewna, że w domu już zaczynają się o nas niepokoić.
- Powinniśmy wrócić z'dwie godziny temu, więc na pewno zauważono naszą nieobecność — przyznał Roy. — Za jakieś dziesięć minut będziemy już w willi Hartungów.

IX

Maria spoglądała nerwowo to na zegar, to przez okno niepokojąc się o Chryste, gdy nagle zadzwonił telefon. Max pytał, czy Robert jest jeszcze u nich, bo już od godziny powinien być w hotelu.

Na wiadomość, że wszyscy troje nie wrócili jeszcze z porannej przejażdżki, Max zostawił w recepcji hotelu kartkę dla Roberta

I natychmiast pojechał do willi Wenera Hartunga.

— Proszę wybaczyć, droga panno Holm, że niepokoję o tak wczesnej porze, ale martwię się o mojego przyjaciela. Od kiedy go znam, nigdy się nie spóźnił.

— Ja również martwię się, ale mam nadzieję, że to tylko sprawka Roya, który poprowadził ich dziś jakąś okreśną drogą. Oby nie stało się coś z końmi. „Almanzor” Christy był rano dziwnie niespokojny.

— Panna Hartung doskonale jeździ wierzchem, a ponadto towarzyszą jej dwaj panowie. O nią byłbym spokojny; martwi mnie jednak coś innego, o czym, niestety, nie mogę teraz rozmawiać. Powiem tylko, że mam powody do niepokoju o bezpieczeństwo mojego przyjaciela.

Zanim Maria zdążyła zareagować, otworzyła się brama od strony ogrodu i spóźnialscy podjechali pod dom. Max i Maria jak na komendę wybiegli im naprzeciw.

— Chwała Bogu, że jesteście wreszcie! W dodatku cali i zdrowi — zawołała Maria, rzucając się Chrście na szyję.

— Tak się o nas martwiliście?

— Co za pytanie! Niech pan powie, panie Bredow.

Max chciał coś powiedzieć, ale Roy nie mógł się już doczekać i zawołał:

— Nie uwierzycie, co nas spotkało! To, że widzicie mnie tutaj żywego, jest wyłącznie zasługą Christy! Gdyby Hu Tuchtu nie zakochał się w niej, nigdy nie darowałby mi życia.

— Roy, jeżeli w ten sposób zacznie pan opowiadać o naszej przygodzie, to przestraszy pan pannę Holm jeszcze bardziej, a na dodatek zdradzi zakończenie już na początku. Wątpię, czy ktokolwiek uwierzy, że został pan skazany na śmierć.

— Ludzie, o czym wy mówicie?! — zdenerwował się Max. — Powiedzcie wreszcie, co się naprawdę stało.

— Proszę o chwilę cierpliwości, panie Bredow — odezwała się Christa. — Pobiegnę się przebrać, a potem zjemy razem śniadanie. Mario, czy tato jest jeszcze w domu? Niech także przyjdzie, to opowiemy wszystkim co się zdarzyło. Ostrzegam, Roy, jeżeli piśnie pan chociaż słówko przed moim powrotem, to gorzko pan tego pożałuje!

Przy stole zasiadła nawet pani Daisy, która dowiedziawszy się

O niespodziewanych gościach, zrezygnowała z dłuższego snu i zjawiała się w jadalni.

Słuchali z zapartym tchem opowiadania Christy, choć brzmiało jak któraś z baśni tysiąca i jednej nocy. Robert, nawet Roy, nie przerwali jej ani razu. Gdy skończyła, ojciec wyraźnie zatroskany, przytulił ją

I pocałował w policzek.

— Mam nadzieję, że nie zapamiętał pan drogi do tej świątyni, Harrison — popatrzył poważnie na Roya.

— Z całą pewnością nie! Zwłaszcza, że już w momencie spotkania z mnichem He Tutsu już nie wiedziałem, gdzie się znajdujemy.

— Może, gdyby pan spojrzął na plan miasta? Pewnie trafiliście do świątyni, której mnisi twierdzą, że Budda powrócił na Ziemię. Tak czy inaczej, spotkała was niezwykle przygoda.

Roy z zadowoloną min[^] bawił się rękawiczką Christy, którą podniósł w hallu idąc do jadalni.

— Ej! A co to za karteczki chowa panna Christa w rękawiczkach?

— W rękawiczkach? — zdziwiła się. — Miałam je na sobie w świątyni i nic do nich nie wkładałam. Co pan znowu knuje, Roy?

Bez słowa podał jej rękawiczkę, z której wypadł wąski skrawek pergaminu zapisany drobno chińskimi hieroglifami. Christa próbowała je rozszyfrować, ale w końcu poddała się i popatrzyła na Roya:

— Może panu się uda — podała mu pergamin.

— Wie pani, kto to napisał? — spytał zadowolony z siebie Roy.

— Nie mam pojęcia.

— Hu Tuchtu!

— Co?! Niemożliwe! — zawołali prawie wszyscy równocześnie.

— Żyjący Budda, okazuje się, jest najzwyklejszym młodym człowiekiem z krwi i kości. On po prostu zakochał się w Chrście od pierwszego wejrzenia.

— Co pan za głupstwa plecie, Roy! Co tam jest naprawdę napisane?

— Jakiś adres, a pod spodem:

„W razie potrzeby zgłoś się tam, pokaż tę kartkę i poproś o pomoc w moim imieniu. Hu Tuchtu Lun Tai”.

— Christo, odniosła pani sukces! List polecający od samego Buddy! Wątpię tylko, czy w razie potrzeby na cokolwiek się przyda.

— Ja nie mam żadnych wątpliwości — Christa oglądała pergamin ze wszystkich stron.

— Wolałbym, drogie dziecko, żebyś nie musiała tego sprawdzać

— rzekł Werner i dodał: — Co by nie mówić, mieliście wielkie szczęście i niejeden Europejczyk będzie wam zazdrościć tego, co zobaczyliście. Gdyby nie sen Hu Tuchtu, nigdy byście nie trafili do świątyni.

— A nade mną nie wisiałaby groźba śmierci. Zapomniał pan dodać, panie Hartung — poskarżył się Roy.

— Jeszcze przed godziną nie był pan z tego zbyt zadowolony

— wtrącił Robert.

— Prawdę mówiąc, to nie — spoważniał nagle Roy. — Na własnej skórze doświadczyłem, co czuje bandyta skazany na karę śmierci. Ten przynajmniej ma nieczyste sumienie i wie, za co cierpi, a ja miałem zginąć niewinnie, za to tylko, że pośliznąłem się na gładkiej posadzce.

Śniadanie przeciągnęło się niemal do południa. Podsumowując rozmowę Werner wymógł na wszystkich obietnicę, że ograniczą swoje konne wyprawy do terenów przylegających do dzielnicy europejskiej.

*

Następne tygodnie były na szczęście o wiele spokojniejsze.

Max i Robert na dobre zajęli się sprawami zawodowymi, często jednak w ważnych spotkaniach uczestniczył tylko Max, gdyż Robert codziennie spotykał się z Christą.

Oczywiście Max nie miał mu tego za złe, wręcz przeciwnie, cieszył się, że przyjaciel jest w bezpiecznym miejscu, jakim była willa Hartungów,' a jeżeli wychodzi na miasto, to towarzyszą mu Christa i Roy.

Dzisiejszy wieczór mieli wszyscy spędzić w klubie, do którego zaprosił ich Werner Härtung.

Max wrócił do hotelu nieco wcześniej, żeby zdążyć się przebrać. Zmęczony nudnymi rozmowami z chińskimi kontrahentami, rzucił ze złością teczkę pełną dokumentów gotowych do podpisania. Cały czas prowadził pertraktacje, jakby to on był właścicielem firmy, jednak gdy przychodził decydujący moment złożenia podpisów, musiał szukać pretekstu, żeby odłożyć tę czynność na następny dzień. Czasami, tak jak dziś, kosztowało go to sporo wysiłku i nerwów.

Ledwo zamknął za sobą drzwi swojego pokoju, zapukał boy.

— List do pana, sir.

— Do mnie?

— Tak. Pan Rex wychodząc pół godziny temu, zostawił go w recepcji. Prosił, żeby pan przeczytał i przyjechał pod wskazany adres.

— Dziękuję — odrzekł, a będąc pewny, że chodzi o potwierdzenie spotkania w klubie, dał boyowi napiwek i odłożył list na biurku. Dopiero gdy został sam, przeczytał go i zbladł.

Mój drogi! Przed chwilą odwiedziło mnie dwóch chińskich dżentelmenów, prosząc o wstawiennictwo u króla niemieckich stalowni. Oczywiście odmówiłem. Nie zmartwili się zbytnio, nie nalegali, a jedynie zaproponowali spotkanie z Tobą w słynnej restauracji Lo Lunga w chińskiej dzielnicy, obok holenderskiego konsulatu. Przyjeźdź tam taksówką. Ponieważ akurat nie miałem nic do roboty, pojechałem z panem Tse Hai już teraz. Obiecał pokazać mi Szanghaj, jakiego nie znamy. Pamiętaj: w czasie rozmów podtrzymujemy naszą wersję i nie sprzedajemy niczego przez pośredników. Przyjeźdź jak najprędzej i nie zabieraj ze sobą zbyt dużo pieniędzy. Nigdy nic nie wiadomo.

Robert.

Max patrzył na kartkę jak zahipnotyzowany. A więc zaczęło się! Chińczycy postanowili porwać sekretarza króla stali i w ten sposób zwabić jego samego w ściśle określone miejsce. Odetchnął z ulgą, że wzięli Roberta za kogoś innego, bo gdyby znali prawdę z pewnością nie kazaliby mu zapraszać do restauracji przyjaciela. Skoro tak, jakaś szansa na wydostanie Roberta z ich rąk istnieje.

Max przygotował broń, wziął na wszelki wypadek także rewolwer Roberta leżący w jego biurku i zadzwonił do Roya.

— Hello, Roy!

— Hello! Czym ja, nędzna istota, mogę służyć waszej wysokości?

— Nie jestem w nastroju do żartów, Harrison. Możemy rozmawiać przez telefon, czy też pańska linia jest na podsłuchu?

— Coś mi się zdaje, że lepiej będzie, jak się spotkamy. Za minutkę jestem u pana.

Rzeczywiście, Roy zjawił się szybciej, niż można się było spodziewać.

— Dziękuję, Roy! Przepraszam, że pana fatyguję, ale w zdenerwowaniu nic innego nie przyszło mi do głowy.

— Po co te ceregiele, Bredow! Zamieniam się w słuch.

— Mój przyjaciel znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie, choć sam jeszcze o tym nie wie. Panu też nie mogę teraz powiedzieć, o co chodzi, ale pan Tse Hai, o którym mówiłem na statku, oraz Lo Lung, ten właściciel meliny i handlarz opium, zaprosili mojego przyjaciela na wycieczkę do chińskiej dzielnicy.

— Lepszego towarzystwa już sobie nie mógł znaleźć!

— On nie wybierał, Roy. Byłoby prościej, gdybym panu wyjaśnił całą sytuację i zabrał pana ze sobą do restauracji Lo Lunga, ale nie mogę wzbudzać podejrzeń mojego przyjaciela, że grozi mu niebezpieczeństwo.

— Nie mógłbym go ja jakoś ostrzec?

— Mam dla pana inne zadanie, jeżeli zgodzi się pan mi pomóc.

— Oczywiście, panie Bredow. Po to przyszedłem.

— Właściwie chciałbym tylko, żeby pan czekał tu w hotelu, aż obaj wrócimy.

— A jeżeli nie wrócicie?

— Wtedy natychmiast pójdzie pan do restauracji Lo Lunga i spyta wprost o mnie. Niech drań wie, że pan został o wszystkim poinformowany.

— Rozumiem, Bredow — rzekł Roy poważnym tonem. — Kiedy mam rozpocząć akcję?

— Jeżeli nie wrócimy do dwunastej. I jeszcze jedno, Harrison. Gdyby mój przyjaciel przyszedł beze mnie, proszę o niczym mu nie mówić, tylko od razu rozpocząć poszukiwania mnie najpierw bez powiadamiania policji. Cały czas proszę pamiętać, że mój przyjaciel nie powinien podejrzewać o spisek ani pana Tse Hai, ani Lo Lunga.

— Mogę jednak pana nie odnaleźć, co wtedy?

— Ten list, w którym napisałem szczegółowo o wszystkim, zanieś pan do niemieckiego konsulatu. Nie ukrywam: byłoby to najgorsze z możliwych wyjść, ale wierzę, że znajdzie pan sposób na odnalezienie mnie bez uciekania się do pomocy konsulatu i policji.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, drogi przyjacielu. Nie powiem też Rexowi, że pan od dawna podejrzewa tych dwóch Chińczyków o spisek.

— Doskonale mnie pan zrozumiał. Mam nadzieję, że pańska pomoc nie będzie potrzebna i jeszcze dziś spotkamy się, aby spokojnie zapalić papierosa. Być może przesadzam z tą ostrożnością, ale lepiej być przygotowanym na najgorsze. Teraz już muszę iść. Dziękuję z góry za wszystko.

Max uścisnął serdecznie dłoń Roya, który wyczuwając powagę sytuacji, nie zdobył się na drobny chociażby żart. Max wsiadł do czekającej pod hotelem taksówki i kazał się zawieźć najkrótszą drogą do restauracji Lo Lunga, gdzieś w okolicy holenderskiego konsulatu.

Z zewnątrz lokal wcale nie przypominał obskurnej meliny dla narkomanów.

Przy stolikach siedzieli przeważnie Chińczycy z tak zwanej klasy mieszczańskiej. Przed każdym stała nieodłączna miska z ryżem, a wokół niej talerzyki z dodatkami: mięsem drobiowym, żeberkami z ubitego na miejscu prosięcia, pieczonymi kasztanami i przeróżną zieleniną. Z nie-

wiarygodną prędkością goście manewrując zręcznie pałeczkami opróżniali zawartość to miski z ryżem, to talerzyków.

Szczęk sztućców i naczyń był tak głośny, że niemal zagłuszał gwar prowadzonych rozmów.

Max spytał pierwszego z brzegu kelnera o pana Rexa. Ten uklonił się nisko i zaprowadził go przez amfiladę mniejszych sal do pomieszczenia, skąd dochodziły przytłumione dźwięki chińskiej muzyki.

Pierwszym gościem, którego Max zobaczył po otwarciu drzwi był pan Tse Hai. Składając niskie pokłony, z lizusowskim uśmiechem podbiegł natychmiast.

— Szuka pan Rexa? Ten uprzejmy dżentelmen przyjął nasze zaproszenie. Zechce pan pójść za mną?

— Chwileczkę, panie Tse Hai — rzekł Max szorstkim tonem, zupełnie nie pasującym do wylewnego powitania Chińczyka.

— Czym mogę panu służyć?

— Pan chyba zapomniał, że na pokładzie stanowczo zabroniłem panu nagabywania mojego sekretarza.

— Przykro mi, panie Bredow, ale w interesach konwenanse się nie liczą. Bardzo mi zależy na współpracy z nadreńskimi stalowniami i nie zrezygnuję, dopóki nie spróbuję każdej możliwości — oświadczył Chińczyk z taką pewnością siebie, że Max postanowił zmienić ton.

— Powiedział pan mojemu sekretarzowi, że już rozmawialiśmy na pokładzie „Oceany”.

— Aż tak nierozważny to ja nie jestem, szanowny panie Bredow. Muszę przyznać, że pański człowiek nadspodziewanie uparcie odrzucał każdą moją propozycję.

Dla Maxa taka postawa wcale nie była zaskoczeniem.

— Powtarzam więc jeszcze raz, że w sprawie, którą ja odrzuciłem, nie ma najmniejszego sensu nagabywać mojego sekretarza. Jasne?

— Już więcej tego nie zrobię, panie Bredow — obiecał Tse Hai, a Max miał wrażenie, że w skośnych oczach jego rozmówcy pojawił się drwiący błysk.

— Teraz może mnie pan zaprowadzić do mojego sekretarza. Tse Hai klasnął w dłonie, a w tym momencie zjawił się mały, gruby

Chińczyk ubrany w narodowy strój. Tak odpychającej twarzy Max jeszcze nie widział.

— Lo Lung, to jest pan Bredow. Chce spotkać się ze swoim sekretarzem — rzekł po angielsku Tse Hai.

— Będzie pan uprzejmy pójść ze mną, panie Bredow — uklonił się Lo Lung. — Pański pracownik bawi się w sali tanecznej.

Grubas odsunął kotarę i przepuścił Maxa, który odruchowo sięgnął do kieszeni płaszcza, w której miał rewolwer. Weszli do wąskiego, ciemnego korytarza.

W mgnieniu oka kilku Chińczyków rzuciło się na Maxa z pięściami, zakneblowali usta i błyskawicznie unieśli w głąb korytarza.

Max zrozumiał, że stało się to, czego się cały czas spodziewał. Nie szarpał się, bo i tak nic by nie pomogło, nie denerwował się, bo uprzedził Roya. Mógł więc ze spokojem czekać na dalsze posunięcia napastników.

Najważniejsze, że nie musiał obawiać się o bezpieczeństwo Roberta. Na pewno nie zrobią mu nic złego, skoro już mają w ręku właściciela stalowni, a przynajmniej są o tym przekonani.

Rzucono go niezbyt delikatnie na podłogę, a zaraz potem zaskrzeczał nad nim pidgin-english Lo Lunga:

— Zapalcie światło, żebyśmy mogli zobaczyć naszą zdobycz i potargować się trochę.

Goła żarówka rozświetliła ciasny pokój i nabrzmiała twarz pana Tse Hai.

— No, władco stali, chyba doceni pan wysiłek chińskiego partnera. Mam nadzieję, że nie przestraszyłem pana za bardzo. — Chińczyk zdjął knebel z ust Maxa. — Proszę bardzo, słucham pana.

— Drogi panie Tse Hai — odezwał się Max obojętnym tonem, który zupełnie zaskoczył obu napastników — wcale mnie pan nie przestraszył. Od dawna spodziewałem się, że pan to zrobi.

— Niby co zrobić? — wyjąkał Tse Hai.

— Napadnie mnie. Już w Bremie zauważyłem, że zbyt się pan interesuje moją skromną osobą.

— Ciekawe, skąd to panu przyszło do głowy?

— Mam bystre oczy, mójdrogi. Widziałem pana rozmawiającego z Kin Lungiem, służącym mojej matki, a zarazem bratem obecnego tu czcigodnego pana Lo Lunga. Wiem też, że Kin Lung zlecił wam obu zorganizowanie mojego zniknięcia. Rzekomo w Chinach zginęło już bez śladu wielu Europejczyków, dlaczego miałbym nie dołączyć do tego

grona i ja? Niestety, ze mną jednak łatwo wam nie pójdzie! Tak się składa, że nie jestem w Szanghaju sam, zawarłem wiele nowych znajomości i na pewno za chwilę ktoś zacznie mnie szukać.

— Na sekretarza może pan nie liczyć; leży odurzony w sali tanecznej — rzekł pewny siebie Lo Lung.

Max wiedział, że znajdzie się na straconej pozycji, jeżeli choć na chwilę się zawaha. Dlatego odparł spokojnie:

— W końcu przecież wytrzeźwieje. Poza tym wcale na niego nie liczę. On nie wie o mojej tu obecności.

Upowiedział natomiast dyrektora hotelu, że wybieram się do słynnej mordowni Lo Lunga. Jednego możecie być pewni, panowie, jeżeli nie wrócę o określonej godzinie, człowiek ten natychmiast zawiadomi niemiecki konsulat.

— Cholera, pośpiech jest zawsze złym doradcą — warknął Lo Lung, a zwracając się do swojego współnika dodał: Trzeba tamtego natychmiast odesłać do hotelu i przekonać go, że jego szef nie przyszedł. Wtedy podejrzenie nie padnie na nas.

Max odetchnął z ulgą: Robert znów był krok dalej od grożącego mu niebezpieczeństwa. Walcząc ze zdenerwowaniem, spytał jak mógł najspokojniej:

— Co właściwie zleciła wam moja szanowna macocha?

— O tym też pan wie?

Nic nie wiedział, ale zaryzykował pytanie, a zdumienie Chińczyków potwierdziło, że trafił w sedno. Podejrzenia, którymi Robert podzielił się z nim w Duisburgu, wcale nie były urojone.

— Przecież mówiłem już, że wiem o wszystkim. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób mnie sprzątniecie. I o to pytam.

— Na razie mieliśmy pana potajemnie porwać i zawiadomić Kin Lunga.

— Aha! A co dalej?

— Czekamy na odpowiedź. Wyniknął spór o udział w zyskach. Pan rozumie, niczego nie robi się za darmo. — Chińczycy dostroili się do tonu Maxa, jakby nie traktowali go już jako ofiarę.

— Racja, panowie, za darmo dziś można tylko umrzeć. Tak będzie też w przypadku mojej śmierci: zostaną wam kłopoty, a zysk żaden! Nie zdarzyło mi się nigdy zrobić tak marnego interesu — roześmiał się Max.

— Co to ma znaczyć? Pan sobie z nas drwi? — zezłościł się Tse Hai, częstując Maxa solidnym kuksańcem w żebro.

— Nie odważyłbym się drwić z tak doświadczonych kupców, panowie, ale coś mi się zdaje, że porwaliście mnie za wcześnie. Nie lepiej było od razu ustalić wysokość zapłaty? Moglibyście już teraz sprzątnąć mnie szybko i bezboleśnie, a tak niepotrzebnie tracicie czas i musicie czekać na niepewne pieniądze.

— Zamknij się, parszywy psie! Jeszcze będziesz skamlał o łaskę. Tym razem Max już nie wytrzymał:

— Ja was nie obrażałem, ale skoro wolicie rozmawiać innym tonem, to proszę bardzo. Dlaczego czepiacie się mojego sekretarza? On nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

— Nie było innego sposobu. Chodźcie wszędzie razem, więc jak mieliśmy porwać pana bez świadków? Max dziękował Bogu, że nie pozwalał Robertowi wychodzić samotnie. Musiał też jak najdłużej utrzymywać Chińczyków w przekonaniu, że pojмали właściwego człowieka. Dopiero w ostateczności powie im, kim jest naprawdę. Na razie nie było takiej potrzeby, ale ani przez chwilę Max nie wątpił, że znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

— Kiedy spodziewacie się panowie odpowiedzi od Kin Lunga? — spytał po chwili zastanowienia.

— Przywiezie ją następny parowiec.

Max wiedział, że następny statek z Niemiec przybędzie za pięć dni. Uśmiechnął się.

— Co? W tak pilnej sprawie nie korzystacie panowie z telegrafu? Myślałem, że przestępcy pierwsi rzucają się na zdobycze współczesnej techniki. Tak przynajmniej twierdzą spece ze Scotland Yardu.

Po tłustej twarzy Lo Lunga spływał pot, grubas chodził tam i z powrotem rozwścieczony bezczelnością ofiary. Już przymierzał się, by z całej siły kopnąć leżącego, gdy Tse Hai przytrzymał go.

— Daj spokój. Może nam się nie uda, a wtedy będziemy mieć tylko kłopoty.

— Brawo, Tse Hai! Widzę, że nie traci pan poczucia rzeczywistości. Gratuluję. Nie omieszkać pana pochwalić, gdy tylko wydam się z tej niezręcznej sytuacji.

— Każ go wynieść do pokoju, Lo. Już najwyższy czas — rzekł Tse Hai, nie patrząc w stronę Maxa. Lo Lung zawołał dwóch osiłków, którzy podnieśli Maxa z podłogi i położyli na kanapie w sąsiednim pokoju. Rozwiązali mu ręce i nogi, mógł wreszcie wstać. Rozejrzał się dookoła. W niewielkim, niezbyt czystym pomieszczeniu, zagraconym zdezelowanymi europejskimi meblami, nie było okien. Chińczycy wyszli przez jedyne w tym pokoju drzwi.

Myśli, które kołatały w głowie Maxa, trudno byłoby zaliczyć do najweselszych. Martwił się o Roberta i oczywiście o siebie. Udawał obojętność, ale w głębi duszy czuł ogromny niepokój. Nie miał przecież żadnej pewności, że Roy zdoła go uwolnić, ani też, że Robertowi nie przydarzy się w tym czasie jakieś nieszczęście.

Rozmyślając w samotności czuł narastającą nienawiść do podstępnych bandytów, bo tylko tak potrafił nazwać trójkę Chińczyków i ich zleceniodawcę Lianę Bredow. Czy tej kobiecie aż tak bardzo zależało na zdobyciu majątku Roberta, że posunęła się do morderstwa? Przecież niczego jej ani synowi nie brakowało. Czego chciała więcej? Władzy? Pewnie tak, bo w przypadku śmierci Roberta, jedynym spadkobiercą zostałby jej syn. Nie doszłoby do tego, gdyby Robert się ożenił, a więc stąd ten pośpiech! Aż trudno sobie wyobrazić, że starsza w końcu kobieta potrafi działać z chłodnym wyrachowaniem i precyzyjnie planować czyjaś śmierć.

Robert dotknął czoła, usiłując uporządkować swoje myśli. Ręka ciążyła mu jak z ołowiu, w głowie szum i zupełna pustka. Czuł się jak sparaliżowany, półprzytomny, półzamroczoney.

Zmęczonym wzrokiem rozejrzał się po pokoju oświetlonym słabo czerwoną żarówką. Dziwnie wydawał mu się znajomy. Ni to hotel, ni dom publiczny... Pocierał skronie chcąc zachować trzeźwość myśli, wciągnął głęboko powietrze... Otrząsnął się, jakby nagle znalazł się w przeciagu. Powoli odzyskiwał pamięć.

Tak, przypomniał sobie. Wszedł do tego pokoju z dwoma Chińczykami, którzy byli dla niego bardzo mili.

— Do diabła! Tylko co było później? Aha! Były jakieś tancerki. Pięknie tańczyły... Fajka! Tak, pan Tse Hai podał mu jakąś fajkę. I co z tego?

Robert zerwał się z kanapy, podbiegł do drzwi, rozsunął kotarę i stanął jak wryty: w sąsiednim pokoju na stosie dywanów spał spokojnie pan Lo Lung! W kącie siedział w fotelu pan Tse Hai i czytał jakąś angielską gazetę. Sielankowy obrazek zupełnie nie pasował do podejrzeń, których Robert nabrał zbierając strzępy wydarzeń w swojej pamięci. Czyżby miał przywidzenia? Tse Hai zobaczywszy go w drzwiach, odłożył gazetę i podszedł z uśmiechem na ustach.

— A, pan Rex! Już pan przespał?

— Niby co miałem przespać? Co się ze mną działo? Czuję się okropnie.

— Po wypaleniu fajeczki to normalne, ale przynajmniej dobrze się panu spało — Tse Hai wciąż się uśmiechał.

— Cholera! Podsunał mi pan opium?

— Chciał pan spróbować.

— Co, ja?! Nawet do głowy by mi to nie przyszło!

— Ciekawe, po pierwszej fajce wszyscy twierdzą, że wcale nie chcieli. Po drugiej i trzeciej już tego nie mówią.

— Szlag trafi te pańskie fajki! Która godzina?

— Za godzinę będzie północ, panie Rex. Chyba powinien już pan wrócić do hotelu. Pan Bredow przysłał posłańca z prośbą, żeby przed północą zechciał pan być u niego.

— To on nie przyszedł do restauracji?

— Nie. Boy przyniósł wiadomość, że pan Bredow ma pilne sprawy do załatwienia i dziękuje za zaproszenie.

— Hm, to ciekawe! Czemu więc mnie pan nie obudził przed północą?

— Oczywiście zrobiłbym to w odpowiedniej chwili. Chciałem, żeby pan wyspał się jak najdłużej — Chińczyk mówił tak serdecznym tonem, że Robert, chcąc nie chcąc, musiał być również uprzejmy.

— Mógłby mi pan zamówić taksówkę.

— Już na pana czeka, panie Rex.

— Poproszę więc o rachunek.

— Och, nie ma pośpiechu. Jeżeli pan pozwoli, zajrzę w najbliższych dniach do hotelu. Może nadarzy się okazja do porozmawiania z panem Bredowem o interesach.

— No, dobrze. Już mi wszystko jedno, byleby wyrwać się stąd jak najprędzej na świeże powietrze.
Tse Hai odprowadził Roberta do wyjścia, podał taksówkarzowi adres hotelu i ukłoniwszy się do ziemi, czekał na odjazd samochodu.
Robert zasnął natychmiast, a obudził się dopiero, gdy kierowca ostro zahamował przed hotelem „Astor”.
Półprzytomny wytoczył się z samochodu, wymamrotał, żeby boy zapłacił za kurs, i powłókł się do hallu.
Nagle zjawił się Roy, który po wyjeździe Maxa cały czas czekał w hotelu.
— Good evening, mister Rex! Skąd to o tak późnej porze? Pan i władca nie wrócił z panem?
Robert oprzytomniał trochę.
— Jego tu nie ma? U Lo Lunga powiedziano mi, że oczekuje mnie w hotelu.
— Ale go nie ma. Ja również chciałem z nim rozmawiać, a dowiedziałem się, że poszedł do chińskiej dzielnicy.
Pewnie chciał tam spotkać się z panem.
— Nic z tego nie rozumiem.
Roy dopiero teraz dokładnie przyjrzał się stojącemu na chwiejnych nogach Robertowi.
— Co panu jest? Źle się pan czuje?
— Opium! Ci szubrawcy podsunęli mi fajkę. Niedobrze mi.
— Niech pan zmyka do łóżka, a ja tu poczekam na pańskiego przyjaciela — rzekł Roy i opierającego się Roberta wepchnął do windy.
— Ale martwię się o Bredowa. Gdzie on się podział?
— Czort jeden wie! Do łóżka, a jak Bredow nie wróci za chwilę, pójdę go poszukać.
Do północy brakowało kwadransa. Roy usiadł w fotelu w hallu i zastanawiał się co robić, jeżeli Bredow nie wróci.
Każdy pomysł kończył się zawsze taką samą konkluzją: najlepiej zawiadomić policję, tylko że tego akurat zaginiony chciał uniknąć.
Spojrzał na zegarek. Pozostało pięć minut do podjęcia decyzji. Może jeszcze wszystko się wyjaśni?
Nie wyjaśniło się, więc należało natychmiast przystąpić do działania.
— Uff! Spręż się, Roy, każda minuta jest cenna. Policję wolno mi

wezwać w ostateczności, przyjaciela zawiadomić nie mogę. Dzwonić do Hartunga? Nie! On powie o tym damon, a te wygadają się przed panem sekretarzem! Cholera, ale się wkopałem!

Czas płynął niemiłosiernie szybko, a Roy nie wiedział co począć.

— Święty Buddo, poradź coś! Mów, Zeusie! Hello, Buddo, jesteś tam? Szkoda, że nie jestem buddystą. A może by się przebrać za Chińczyka? Udając żółtka, łatwiej bym się wkręcił do jaskini tego drania Lo Lunga. A co z sekretarzem? Co z nim pocznę, jak wytrzeźwieje?

Roy czuł, że z wysiłku pęka mu głowa. Nic mu dziś nie wychodzi!

— Do kroćset diabłów! Wymyśl coś, tumanie! Au, zacznym wyzywać samego siebie... Wiem, sekretarza muszę wyłączyć z akcji ratunkowej. Ale mi się powiedziało!

Poprosił recepcjonistę o kartkę papieru.

Drogi panie Rex! Poszukiwaniem Bredowa najlepiej zajmę się sam, gdyż znam Szanghaj jak własną kieszeń. Proszę przekazać wiadomość do Willi Hartungów, że przez najbliższe dni nie mogą liczyć na moje towarzystwo. Zgłoszę się, jeżeli będę potrzebował pomocy, a pana Bredowa znajdę, tego może pan być pewny. Wyczytałem to z gwiazd.

Pozdrawiam Roy Harrison

P.S. Gdyby po opium wciąż pana mdliło, radzę wypić szklanekę gorącego mleka i dodać oleju (może być rycynowy).

Przeważnie po takiej kuracji zapomina się błyskawicznie o wszystkich poprzednich dolegliwościach.

Roy złożoną kartkę włożył do koperty i polecił recepcjoniście doręczyć ją panu Rexowi, gdy tylko się zbudzi. Sam wybiegł z hotelu, wskoczył do samochodu i na pełnym gazie ruszył w kierunku chińskiej dzielnicy.

Jechał jasno oświetlonym bulwarem francuskiego nabrzeża, potem skręcił w wąskie, kręte uliczki. Przed lokalem Lo Lunga nacisnął klakson i włączył przeraźliwie wyjąca syrenę alarmową.

121

Powoli objechał budynek dookoła, ani na chwilę nie przestając się bawić syreną. Na dodatek długimi światłami świecił po wszystkich oknach na parterze.

— No, jeżeli Bredow nie zobaczy świateł, to przynajmniej usłyszy tę muzykę. Na pewno ją rozpozna, bo jeszcze wczoraj złościł się na mnie, gdy za miastem dla zabawy włączyłem moje trąby jerychońskie. Jeszcze raz moje rzekomo głupie pomysły okazały się na coś przydatne! — uradowany Roy musiał pochwalić samego siebie.

I miał za co! Ryk syreny rzeczywiście dotarł do „lochu” Maxa i świadczył wyraźnie, że Roy przystąpił do działania. Tym razem przeraźliwy dźwięk amerykańskiej zabawki wywołał nie złość, ale uśmiech na twarzy Maxa. Podziałał uspakajająco!

— Dobry chłopak z tego Roya! Już w akcji. Mogę więc spokojnie się zdrzemnąć, żeby jutrzejsze rozmowy z panem Tse Hai i kompanami przeprowadzić w pełnej formie.

Wyciągnął się wygodnie na kanapie i rzeczywiście wkrótce zasnął.

X

Następnego ranka Robert czuł się na tyle dobrze, by przeczytać list od Roya i wcale nie musiał korzystać z dołączonej recepty. Zdenerwowała go własna bezsilność, ale jednocześnie czuł podświadomie, że nikt lepiej niż Roy nie załatwi tej sprawy. Ubrał się szybko i pojechał do willi Hartungów. Siedzieli akurat przy śniadaniu.

Werner zaprosił porannego gościa do stołu, ale on zdecydowanie odmówił. Przywitał się z Christą.

— Przepraszam za najście, ale stało się coś poważnego i muszę z wami porozmawiać.

Wszyscy popatrzyli zdumieni, zaś Werner bez słowa podsunął Robertowi fotel.

— Proszę mówić, drogi panie Rex. Dopiero teraz widzę, że wygląda pan nie najlepiej. Co się stało?

— Zacznę od najgorszej wiadomości: mój przyjaciel zniknął wczoraj wieczorem i nie mam pojęcia, gdzie go szukać

— zaczął cicho, drżącym ze wzruszenia głosem. W oczach zaś było widać wyraźnie strach o los bliskiego mu człowieka.

Ledwo skończył, Maria zerwała się i patrząc na Roberta, niemal krzyknęła.

— Co? Co pan powiedział- Zniknął? Jak to się stało? — zadała czwarte pytanie i usiadła bezsilnie w fotelu. —

Błagam, niech pan powie wszystko, co wie. Musimy go natychmiast ratować!

Robert wziął ją za rękę i pogłaskał.

— Droga panno Holm, widząc pani przerażenie, czuję podwójny

ból na myśl, że mogło stać się coś złego — zwracając się do wszystkich opowiedział o wydarzeniach wczorajszego wieczora i przeczytał list od Roya. Hartung słuchał wyjątkowo uważnie.

— Moim zdaniem, Harrison wie znacznie więcej niż my. Z jego listu wynika, że już zaczął coś robić. Musimy zaraz do niego zadzwonić.

Wziął słuchawkę i wykręcił numer telefonu Roya. Odebrał służący.

— Mogę rozmawiać z panem Harrisonem?

— Pan wyjechał dzisiaj w nocy.

— Wie pan dokąd?

— Pojechał samochodem na dworzec. Kazał poprosić pana Hartunga, żeby jego szofer odebrał auto. Zapasowe kluczyki zostawił w kopercie zaadresowanej do pana Hartunga.

— Zaraz wyślę po nie szofera. Nic poza tym pan Harrison nie mówił?

— Nic. Bardzo się spieszył — dodał służący.

— Dziękuję panu — Hartung odłożył słuchawkę. — Teraz jestem już bardziej niż pewny, że Harrison coś wie. Nam zaś pozostaje spokojnie czekać, aż się odezwie. Moglibyśmy pomieszać mu szyki, wszczynając akcję poszukiwawczą na ślepo. Droga panno Holm, podziela pani moje zdanie?

Werner spojrzał na Marię, która ochłonawszy już trochę, odgarnęła nerwowym ruchem włosy z czoła.

— Tak, tak! Ale przypomniałam sobie, że wtedy — gdy we troje zabłądziliście do świątyni Hu Tuchtu — pan Bredow bardzo martwił się o pana Rexa. Niestety, nie chciał mi powiedzieć dlaczego.

— On martwił się o mnie? — zdziwił się Robert, jakby chciał się upewnić, czy Maria czegoś nie pomyliła.

— Właśnie! Ale nie wiem, nic więcej, bo akurat wróciliście. Robertowi nagle przesunęły się w myślach sceny z portu w Bremie,

gdy cały czas miał wrażenie, że w tłumie żegnających widzi skrzywioną twarz Chińczyka Kin Lunga.

— Być może miał jakiś powód — mruknął do siebie, a głośno spytał Wenera: — Czy na razie Roy nie potrzebuje naszej pomocy? Nie mogę sobie darować, że wczoraj poszedłem z tymi Chińczykami, a nie pojechałem na mojego przyjaciela.

— Czy pańskim zdaniem, Bredow i Roy mogli porozumieć się wcześniej? Wszystko na to wskazuje, skoro Roy bez zawiadomienia kogokolwiek z nas, natychmiast rozpoczął poszukiwania, a co za tym idzie — musiał mieć jakiś punkt zaczepienia albo nawet wiedział dokładnie, dokąd Bredow się wybrał.

— Tak. Gdy wczoraj w nocy wróciłem do hotelu, Roy siedział w hallu i twierdził, że czeka na Bredowa. Chyba nie powiedział po co, ale między Bogiem a prawdą, niewiele w ogóle rozumiałem z tego co do mnie mówił.

Maria, uspokoiwszy się trochę, wyszła na balkon. Christa objęła ją czule i spytała:

— Mario, czy to, co wyrwało się pani w chwili zaskoczenia jest prawdą? Ogromnie pani współczuję — dodała głaszcząc ją po włosach. Maria przytuliła się do ramienia przyjaciółki.

— Nie będę niczego ukrywać, skoro już i tak się zdradziłam.

— Czy on o tym wie, Mario?

— Wprost mu nie powiedziałam, ale na pewno zauważył, że go...

— Ze go pani kocha, Mario! To wspaniale! Dlaczego o tym nie rozmawialiście?

— Christo, najdroższa, przecież ja nie wiem, czy on też mnie kocha. Miałam go zapytać? — Maria popatrzyła bezradnie na Christę.

— No nie, ale ja mogłabym dyskretnie przeprowadzić drobne śledztwo. Najchętniej pobiegłabym na poszukiwanie już teraz.

— I pomieszała niepotrzebnie plany Roy a.

— Wiem o tym, Mario, jednak bezczynne oczekiwanie mnie dobija

— rzekła Christa i dotknęła rozpalonego czoła przyjaciółki.

— Zaprowadzę panią do pokoju, Mario. Tam w samotności szybciej minie zdenerwowanie, a gdy tylko nadejdzie jakaś wiadomość, zaraz panią zawołam, nawet jeśli nie będzie to jeszcze ta, na którą pani czeka — wzięwszy Christę pod rękę, wyprowadziła przez sąsiedni pokój na pierwsze piętro. — No, kochanie, niech pani spróbuje teraz zasnąć

— powiedziała, gdy doszły natalejsce.

— Wiem, że pani martwi się o mnie — uśmiechnęła się gorzko — ale czy na moim miejscu, potrafiłaby pani zasnąć?

— Prawdę mówiąc, na pewno nie — odpowiedziała po chwili wahania i wyobraziła sobie, że to Robert zniknął i grozi mu niebez-

pieczeństwo. Zbladła i złapała się za serce. — Mój Boże, wolę nawet o tym nie myśleć — dodała i pocałowała Marię w policzek.

— Niech pani wraca już na dół, Christo, i przeprosi wszystkich za moje zachowanie.

— Nikt nie ma do pani pretensji, Mario, wręcz przeciwnie! Miejmy tylko nadzieję, że Royowi się powiedzie.

— Od początku nabrałam zaufania do niego, choć to pędziwiatr jakich mało — roześmiała się Maria.

Tymczasem „pędziwiatr” bawił się w słynnym lokalu pana Lo Lunga. Był w cudownym nastroju, szastał pieniędzmi na lewo i prawo, zaczepiał okropnie uszminkowane tancerki, płatał przeróżne figle, ale cały czas miał oczy i uszy szeroko otwarte na wszystko, co działo się wokół niego. W końcu nie przyszedł tu dla zabawy. Zauważył, że Lo Lung kiwnął na bawiącego wśród gości pana Tse Hai, który podszedł natychmiast i obaj zaczęli o czymś żywo dyskutować. Lo Lung raz po raz wskazywał swoim niezbyt czystym paluchem w stronę pomieszczeń na zapleczu lokalu, z czego Roy wywnioskował, że może mieć to coś wspólnego z porwaniem Bredowa.

Prześliznął się ostrożnie ku drzwiom, otworzył je po cichu i stanąwszy za plecami obu Chińczyków, zagwizdał najgłośniej, jak tylko mógł, melodię znanej piosenki, zaczynającej się od słów: „Tęsknię za tobą! Odezwij się, kochanie, przyjdź choćby tylko jeden raz.”

Po chwili, mimo gwaru panującego na sali, Roy usłyszał dolatującą z głębi korytarza dalszą część tej melodii: „Nie mogę przyjść! Okrutny ojciec zamknął mnie w komorze.”

— Oho, jesteś tu ptaszku! Sam czort chyba tylko wie, w której norze te dranie cię trzymają. Ale wszystkiego się dowiemy, byle nie dać się ponieść nerwom.

Chińczycy przerwali dyskusję. Roy ukradkiem przemknął się między gośćmi i podszedł z drugiej strony sali do Lo Lunga, poklepał go po ramieniu i zawołał w pidgin-english:

— No, stary łobudzie, nie masz ochoty przywitać się z dobrym znajomym? Żadnych ploteczek na podorędziu? Co tam nowego w eleganckim świecie?

Chińczyk skrzywił się, nie wiadomo, czy po niezbyt delikatnym przywitaniu Roya, czy też z niezadowolonia, że przerwano mu rozmowę.

— Cóż ja, nędzny robaczek, mogę wiedzieć, co słyhać w wyższych sferach? — Lo Lung wzruszył tłustymi ramionami.

— Robaczki mają tę zaletę, że wszędzie się wcisną. A jaki tam z ciebie robak?! Jesteś najbogatszy w Szanghaju, więc nie udawaj skromnisa. Skoro jednak nie wiesz jeszcze, co w trawie piszczy, to muszę cię uprzedzić, żebyś czasami nie palnął jakiejś gafy, zwłaszcza przy pani Kingsearł, która poderwała nowego sekretarza francuskiej ambasady. — Roy aż przyklasnął w ręce, że na poczekaniu udało mu się wymyślić plotkę.

— Hihi, ale bomba! — zarechotał grubas, a stojący obok Tse Hai wybuchnął wprost niepohamowanym śmiechem.

— Największą bombą jest to, że madame Bertin, żona tego sekretarza, kombinuje z panem Kingsearłem! Nie mają zielonego pojęcia, że ich małżonkowie też się skumali, choć całe miasto o tym aż huczy. — Roy cieszył się jak dziecko, bo tak gładko mu szło opowiadanie tych bzdur i wymyślał następne szczegóły rzekomego romansu. — Ach, byłbym zapomniął! Ciekawa nowinka wyszła także z hotelu „Astor House”, a mianowicie, że ten Niemiec od stali, niejaki Bredow, zniknął bez śladu z jakąś prześliczną Chinczką! — wypalił Roy patrząc uważnie na reakcję obu rozmówców. Wymienili szybko porozumiewawcze spojrzenie i ku ogromnej radości Roya Lo Lung odezwał się do swojego rodaka w dialekcie szanghajskim: — Ta plotka bardzo nam pomoże! Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać zaginionego tutaj.

— Ludzie! A cóż to za bełkot? Jak coś takiego w ogóle da się zrozumieć? — Roy udał zdenerwowanego. Lo Lung, pewny, że trudnego szanghajskiego dialektu nie potrafi nauczyć się żaden cudzoziemiec, uklonił się nisko i rzekł:

— Proszę o wybaczenie, panie, że ja, oddany sługa, ośmieliłem się w pańskiej obecności odezwać w języku niezrozumiałym dla pana.

Roy machnął niedbale ręką i rzekł obojętnym tonem:

— Można wam w nieskończoność wpajać zasady dobrego wychowania, a wy lekceważycie nas na każdym kroku.

— Lekceważenia kogokolwiek zabraniają także nasze obyczaje

— usprawiedliwiał się Tse Hai.

— Ale łamanie ich od czasu do czasu wam nie przeszkadza — miał ochotę powiedzieć Roy, ale ograniczył się do siarczystego kuksańca, wymierzonego pomiędzy pokryte fałdami żebra Lo Lunga, i dodał:

— Następnym razem nie podzielę się z wami żadnymi nowymi plotkami, a przecież ludzie przychodzą tu głównie po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Myślicie, że po co, ha? Dla waszych pięknych, koślawych oczu, czy dla wybrakowanych tancerek z demobilu? Nie, nie, kochasiu! Tu przychodzi się na plotki. Radzę ci poszperać trochę wokół pani Kingsearl. To interesujący przypadek, zobaczysz, a teraz zamów mi taksówkę, bo na dzisiaj mam już dość tej twojej obskurnej jaskini — Roy starał się dokuczyć grubasowi, który kłaniając się raz po raz, odprowadzał go aż do drzwi. Bez pożegnania Roy wskoczył do taksówki i odjechał.

— Przynajmniej tyle się dowiedziałem, że Bredow wciąż jest u Lo Lunga. Jakoś muszę odbić go z rąk tych szubrawców. Tylko spokojnie, Roy, nie spiesz się i nie rób głupstw!

Następnego dnia do Roberta nie doszła żadna wiadomość ani od zaginionego przyjaciela, ani od poszukującego go Roya. Był coraz bardziej zdenerwowany i tylko dzięki spokojnej perswazji Wenera Hartunga nie rozpoczął działań na własną rękę.

— Odetchnął z ulgą, gdy wieczorem posłaniec przyniósł list od Roya, niedługi wprawdzie, ale dość pocieszający. *Drogi Rexie! Spokój i rozwaga i tym razem przyniosły spodziewane rezultaty. Wiem już, gdzie nasi łaskawcy ukryli króla stalowni, nie potrafię jednak dotrzeć do niego. Jutro uda mi się na pewno, ale nie powiem wam jak. Gdyby przypadkiem Christa potrzebowała prywatnego detektywa, proszę jej mnie polecić. Radzę sobie znakomicie. Niech Pan nie zapomni wprosić się w moim imieniu i Bredowa na jutrzejszą kolację u Hartungów. Gdybyśmy jednak nie przyszli, będzie Pan musiał zjeść nasze porcje, a to może niekorzystnie wpłynąć na godną zazdrości sylwetkę maharadży. Może się mylę, ale jeszcze nie widziałem brzuchatego maharadży. Nic poza tym z mało ważnych rzeczy nie przychodzi mi do głowy, więc najlepiej już się pożegnaj. Ukłony dla wszystkich od Waszego Harrisona.*

A kuku! Zabawa w chowanego... Kto pierwszy zgadnie, gdzie ukrył się ten nieznosny Roy?

List ten uspokoił nie tylko Roberta, ale także Marię.

Następnego dnia wieczorem Werner, trzy damy i Robert siedzieli zdenerwowani w salonie w willi Hartungów i przesuwali porę kolacji, ciągle mając nadzieję, że dołączy do nich Roy z Bredowem.

XI

Roy wysiadł z taksówki kilka przecznic dalej i idąc pieszo, upewniał się co chwilę, czy nie jest śledzony. Klucząc uliczkami chińskiej i europejskiej dzielnicy, dotarł do hotelu znajdującego się na początku francuskiego nabrzeża. Miał już pewne doświadczenie w tej dziedzinie, gdyż podejrzewał od dawna, że Lo Lung każe go śledzić, by dowiedzieć się, gdzie mieszka, a potem nasłać zbirów i okraść go. Tym razem jednak problem zmylenia szpiegów był o wiele poważniejszy: nie chodziło o splątanie figla przebiegłemu złodziejaskowi, ale o wyrwanie zakładnika z rąk groźnych zbirów. Przy okazji Roy miał wielką ochotę dokuczyć obu „żółtkom” i dla odprężenia zaczął obmyślać najwłaściwszy sposób.

Cały następny dzień musiał przesiedzieć w hotelu, gdyż mógł go spotkać ktoś ze znajomych albo, co gorsza, szpiegów Lo Lunga, a wtedy z grubsza opracowany plan wzięłyby od razu w łeb.

Zaczynało się ściemniać, gdy Roy powoli zdejmował z siebie poszczególne części garderoby, aż wreszcie w słabo oświetlonym pokoju stanął w stroju adamowym. Każdy rzeźbiarz oszalałby z zachwyty, gdyby go teraz zobaczył. Ze zwichrzoną podczas rozbierania blond czupryną wyglądał jak ożywiony nagle posąg Dawida, dopiero co wypuszczony spod dłuta samego Michała Anioła. Takie przynajmniej miał wrażenie widząc swoje odbicie w lustrze hotelowej szafy.

— Brr! Co za cholerny ziąb! W niebieskiej chińskiej bluzie powinno być już cieplej. Do tego brązowe spodnie, żółty żakiecik, no i peruka — mówił szcękając zębami.

Naciągnął czarną z długim warkoczem perukę na swoje blond włosy i podszedł do lustra.

— Cholera! Bardziej wyglądam na sierotkę Marysię niż na Chińczyka, chociaż tamta miała pewnie puszysty blond warkocz, a mój przypomina ogon zmokłego szczura. Jeszcze tylko skośne oczy, o taak!

— podpowiadał samemu sobie zręcznie operując pędzelkiem do tuszu.

— Trochę ciemnego pudru i mamy Chińczyka. Ciekawe, czy ktoś rozpozna mnie w takim przebraniu? Wolałbym się przekonać o tym, zanim nie będzie za późno.

Ledwo wypowiedział swoje życzenie, usłyszał pukanie do drzwi. Bez zastanowienia odpowiedział „proszę”, a w progu stanął kelner Francuz z tacą jedzenia, które Roy zamówił i potem zupełnie zapomniał, zajęty przebieraniem. Kelner popatrzył na niego ze wściekłością.

— Cholerny żółtku, czego szwędasz się po pokoju, kiedy pana nie ma? Zjeżdżaj stąd, pókim dobry — zanim Roy zdążył powiedzieć cokolwiek, celnie wymierzony kopniak Francuza dosięgnął jego pośladków. Odruchowo uskoczył bliżej drzwi, ale w ostatniej chwili pomyślał, że istnieje jeszcze minimalna szansa uratowania posiłku, który przyjemnie łaskotał nozdrza zgłodniałego Roya, a wszystko wskazywało na to, że przejdzie koło nosa.

— Pan kazał mi czekać w jego pokoju, dopóki nie wróci — wymamrotał Roy w najprawdziwszym pidgin-english.

— Nic z tego, szubrawcze, po to, żebyś wyżarł najsmaczniejsze kąski? Poczekasz na dole i biada ci, jeżeli zobaczę cię tu jeszcze raz.

— Roy patrzył z żalem na pięknie zastawiony stół, gdy niespodziewanie zakasował solidny kuksaniec pod żebro, a zaraz potem został zdecydowanie wypchnięty za drzwi. Trudno, kolacja została wewnątrz. Gdyby wiedział, że tak to się skończy, przełożyłby przynajmniej pasek ze spodni. Może ściągnięty mocniej żołądek nie burczałby tak mocno? W nie najlepszym nastroju wyszedł na ulicę.

— Mam przynajmniej pewność, że nie zostanę rozpoznany. Jeżeli kelner, ta świnią, skopał mnie w moim własnym pokoju, to mogę być pewien, że Lo Lung w tej swojej budzie też mnie nie rozpozna. Do boju, Roy! Biada temu nędznikowi, jeżeli pomiesza mi szyki i nie zdąży na kolację do Hartungów!

Na ulicach panował już półmrok, ale tłok wokół otwartych jeszcze sklepów i straganów był wciąż duży. Royowi zaświtała myśl, że wcale nie musi chodzić po mieście głodny! Stanął przed cukiernią i łapczywie przyglądał się witrynie wypełnionej słodyczami. Zadowolony sięgnął ręką do kieszeni i... nie znalazł ani grosza!

— Tego jeszcze brakowało! Szlag mnie trafi, jeżeli natychmiast czegoś nie zjem. Ukradnę, ale głodny chodzić nie będę!

Przysunął się blisko półki ze słodyczami, już przymierzał się do zgarnięcia najbliższego ciastka, gdy nagle usłyszał tuż za plecami znajomy głos, w dodatku po niemiecku.

— Dam sobie rękę obciąć, jeżeli ten żółtek nie zwędzi cukiernikowi czegoś za plecami.

Roy odwrócił się powoli i nie miał wątpliwości, że żółtkiem,

O którym mówił pan Hartung do pani Daisy, był nie kto inny tylko właśnie on sam. Odpowiedź siostry okazała się dla Roya nie mniej zaskakująca.

— Takich łobuzów powinna wyłapywać policja. Człowiek nie może być pewny, kiedy mu porwą kapelusz z głowy.

— Kapelusz akurat mnie nie interesuje, siostrzyczko — pomyślał ze złością Roy — ale torebkę, którą tak beztrudno niesiesz z tyłu, zwinę ci na pewno!

Szedł chwilę za nimi i rzeczywiście w tłoku udało mu się odpiąć pasek

I ukraść torebkę Daisy. No — pomyślał zmykając w boczną uliczkę — cała nadzieja w tym, że siostra starym zwyczajem nosi przy sobie coś słodkiego. — Nerwowo przewracał wewnątrz zdobyczy, wreszcie wysupłał szeleszczący papierek.

— Diabli nadali! Landrynki... Nigdy tego świństwa nie lubiłem, a teraz od nich zależy czy przeżyję, czy nie. Mogła mi się trafić bardziej żarłoczna siostra!

Wsadził torebkę do przepastnej kieszeni chińskich spodni, zły jak diabeł, bo Daisy swoim zwyczajem nie miała przy sobie nawet portmonetki, tylko te cholerne landrynki...

Rzucił okiem na zegarek: najwyższy czas pójść do Lo Lunga, gdyż o tej porze zaczynał się tam największy ruch. Roy nie miał właściwie żadnego gotowego planu uwolnienia Bredowa, dalsze kroki uzależniał od rozwoju sytuacji. Był jednak święcie przekonany, że w chińskim

przebraniu łatwiej się dostanie na zaplecze lokalu, gdzie znajdowały się pomieszczenia pilnie strzeżone przez Lo Lunga i niedostępne dla Europejczyków.

Przypadek zrządził, że doszło do ponownego spotkania Roya z siostrą i panem Hartungiem, którzy wyszli na wieczorną przechadzkę przed kolacją. Dla dowcipnisa w chińskim przebraniu, była to nie lada gratka iść za nimi krok w krok i podsłuchiwać, o czym rozmawiają.

— Jest pan dalej przekonany, że Royowi uda się odnaleźć Bredowa?

— spytała Daisy.

— Ależ oczywiście! Wierzę mu, jakbym ja sam był na jego miejscu.

— Ja zaś nie byłbym tak zupełnie pewny, mój drogi, czy Roy--Chińczyk, w dodatku o pustym żołądku, zasługuje aż na takie zaufanie

— mruknął do siebie podsłuchiwacz.

— Roy bierze się do wszystkiego bez chwili zastanowienia, zbyt lekkomyślnie, i jakoś nie mogę nabrać do niego zaufania.

No, siostrzyczko, pilnuj lepiej swego nosa i martw się o zaufanie do samej siebie. Pewnie jeszcze nie zauważyłaś, złotko, że zginęła ci torebka? — zezłościł się Roy. Chętnie posłuchałby dalszego ciągu tej interesującej rozmowy, ale czas naglił.

Nie byłby sobą, gdyby tak po prostu wycofał się i odszedł. Wyprzedził Daisy i przepychając się w tłumie niby niechcący nadepnął jej na nogę. Syknęła unosząc wysoko bolącą stopę, gdy „cholerny żółtek” wziął nogi za pas i zniknął w tłumie.

— O zmierzchu powinniśmy wychodzić na spacer w jakieś bezpieczniejsze miejsce — rzekł Hartung, podając ramię pomstującej jeszcze Daisy.

— Poza tym, czas już chyba na kolację.

— Jestem naprawdę ciekaw, czy rzeczywiście Royowi uda się dziś wieczorem przyprowadzić Bredowa. On niestety często wiele obiecuje, a potem z tego nic nie wychodzi.

— Oby tym razem mu wyszło, bo w naszym towarzystwie zapanowała iście grobowa atmosfera.

A co na to Roy? Biedak był tak głodny, że nie mógł już myśleć o niczym innym. Więc gdy dotarł wreszcie do restauracji Lo Lunga,

poczuł się jak wilk w przepelnionej owczarni. Nie mając jednak grosza przy duszy, zamieni się chyba w bezzębnego drapieznika.

Zajął miejsce przy tak zwanym bufecie. Po pierwsze: przez czyjaś nieuwagę łatwiej można było tam zgarnąć coś jadalnego, po drugie: opodal siedział wygodnie pan Tse Hai i istniało duże prawdopodobieństwo, że przysiadzie się do niego Lo Lung, póki co niewidoczny na sali.

Z jedzeniem sytuacja nie wyglądała najlepiej, za to w drugim przypadku Roy miał znacznie więcej szczęścia, bo oto z zaplecza wyszedł zdenerwowany Lo Lung i upewniwszy się, że na sali są tylko tubylcy, rzekł do współnika po angielsku:

— Wyobraź sobie, Tse Hai, ten parszywy pies twierdzi, że nie jest Bredowem i odmawia podpisania czeku.

— Co?! On nie jest Bredowem? To niby kim?

— Jedyne jego sekretarzem!

— Nie wierzę. Drań chce się wymigać od podpisania czeku. Jak to może udowodnić?

— Nawet nie próbuje?! Śmieje się, że trafię od razu do paki, jeżeli pójdę do banku z podrobionym czekiem. Na papierze napisał swoje prawdziwe nazwisko i kazał mi iść do konsulatu niemieckiego, jeżeli mu nie wierzę.

— Do stu piorunów! Gdzie zatem podział się prawdziwy Bredow? Ty, czy to nie ten, który podaje się za jego sekretarza? Wsiedli razem w Bremie i coś wykombinowali.

— Tak też myślałem, ale ten twierdzi, że Bredow wysiadł w Colombo i tam załatwia interesy, podczas gdy jego, niby sekretarza, wysłał do Chin. Może to prawda, a może chce wpuścić nas w kanał.

— Na pokładzie w każdym razie wszyscy mówili, że to on jest królem stali. Jest nim na pewno, tylko usiłuje wykręcić się sianem. Kim zatem jest ten drugi Niemiec, który nie odstępuje go na krok i doskonale orientuje się w sprawach stalowni, jeżeli prawdziwy Bredow został na Cejlonie? To wszystko nie trzyma się kupy. Mamy Bredowa tutaj i jeżeli nie podpisze czeku, przykręcimy mu śrubę.

Roy słuchał z zapartym tchem. To, co Chińczykom nie mieściło się w głowie, jemu wydało się wielce prawdopodobne — panowie po prostu zamienili się rolami! Potwierdzeniem takiego przypuszczenia mogła być

troska o przyjaciela, o której mówił mu Bredow, czy raczej Rex, chociaż to żaden dowód. Zresztą, jakie to miało teraz znaczenie, czy Bredow jest Rexem, czy Rex Bredowem, trzeba nieszczęśnika wydobyć z opresji, obojętne kim jest naprawdę. Tylko jak to zrobić? Tego Roy jeszcze nie wiedział.

— Co zrobimy z tym facetem?

— Na razie go związałem, bo był bezczelny, więc godzinka bezruchu dobrze mu zrobi.

— Ostrożnie z przemocą, Lo, zanim nie dostaniemy odpowiedzi z Niemiec od Kina. Jak jednak wydostaniemy nasze pieniądze, jeżeli ten spryciarz odmówi podpisu?

— Nie wiem, skoro twierdzisz, że nie mogę zastosować przymusu. Nawet nie można sfalszować podpisu, gdyż nie mamy żadnego wzoru.

— Spróbujmy pogrzebać w jego bagażu. Może ma w nim coś cennego, co moglibyśmy sprzedać?

— Ani tobie, ani mnie nie wolno pokazać się w hotelu, bo ten drugi natychmiast nas rozpozna.

— I zawiadomi konsulat, a tego akurat wolałbym uniknąć.

— Pamiętasz, co wczoraj mówił ten głupek Harrison? Podobno Bredow uciekł z jakąś Chinką. Nikt nie kojarzyłby jego zniknięcia z nami!

„Głupek” zazgrzytał zębami i mimo skręcającego go głodu, wpadł na genialny pomysł.

Wziął z bufetu skrawek niezbyt czystego papieru i aluminiową łyżeczką nabazgrał na nim kilka niemieckich, angielskich i chińskich słów. Z szelmowskim uśmiechem położył kartkę przed nosem Lo Lunga i spytał Szanghajskim dialektem:

— Nie masz, panie, jakiegoś zajęcia dla mnie? Umiem pisać w tych trzech językach, tłumaczyć listy, a nawet podrabiać podpisy.

Lo Lung i Tse Hai spojrzeli po sobie ogromnie zaskoczeni, potem z uwagą przyglądali się Royowi, który bez mrugnięcia okiem czekał na odpowiedź. ^

Tse Hai obejrzał kartkę Roya. — Potrafisz także rozmawiać w tych obcych językach?

— Nie, panie, rozumiem tylko to, co jest napisane. Wymówić tych słów nie potrafię.

Tse Hai domyślił się, że młody Chińczyk nie zna fonetyki i nie rozumie też tekstu mówionego, dlatego bez obawy odezwał się do Lo Lunga po angielsku.

— Moglibyśmy wykorzystać tego dziwaka do podrobienia podpisu Bredowa, nie uważasz?

— Tylko że najpierw musielibyśmy mu ten podpis pokazać!

— Zabierzemy chłopca do Bredowa. Idź i rozwiąż go, żeby nie budzić niepotrzebnych podejrzeń. Uprzątnij też trochę i trzymaj nerwy na wodzy, dopóki nie załatwimy tej sprawy do końca. Chciałbym ją wreszcie mieć z głowy.

— Ja również. Ponadto chciałbym zdążyć na czas na kolację do Hartungów — dodał w duchu Roy.

Lo Lung poczłapał na swoich krótkich nogach w stronę zaplecza, a Tse Hai zagadnął Roya:

— Masz chyba szczęście, bo akurat nadarzyła ci się okazja. Tylko nie waż się pisnąć choćby słówko o tym, co robisz, bo pan Lo Lung ma długie ręce i dosięgnie cię wszędzie.

— Źle mnie oceniasz, panie. Jestem ci bardzo wdzięczny za pracę i nie chciałbym jej stracić. Mogę zacząć już dzisiaj?

— Chyba nawet zaraz!

— Panie, czy nie mógłbyś dać mi czegoś do zjedzenia? Od rana nie miałem nic w ustach — poprosił Roy tak błagalnym tonem i spojrzał na Tse Haia tak wygłodniałym wzrokiem, że skąpy z natury Chińczyk zamówił dla niego miskę ryżu, ale także kieliszek ryżowej wódki.

Po posiłku Roy z optymizmem spojrzał na czekające go zadanie. Gotów był odtańczyć z radości taniec indiański, ale wolał odłożyć go na później, gdy będzie już po wszystkim. Tymczasem potulnie szedł za Tse Haiem ciemnymi korytarzami na zaplecze lokalu.

Stanęli przed drzwiami. Tse Hai zapukał. Wyszedł Lo Lung i wpuścił przybyłych do środka.

Pierwsze, co rzuciło się Royowi w oczy, było to, że Max siedzi wygodnie na kanapie, ale z taką miną jakby kazano mu zjeść pieczone gąsienice.

Lo Lung postawił przed nim stolik, położył kartkę papieru i swoim skrzekliwym pidgin-english rozkazał:

— Proszę napisać wyraźnie swoje nazwisko!

— Nie wiem po co. Żebyście mogli wykorzystać mój podpis do waszych ciemnych interesów?

— W takim razie każę mojemu sekretarzowi skopiować podpis z pańskiego paszportu.

Max i Roy zdumieni się równocześnie, słysząc, że Lo Lung ma sekretarza. Nieoczekiwany awans bardzo się spodobał Royowi.

— Ten pański sekretarz zna przynajmniej angielskie litery? — spytał Max wskazując lekceważącym gestem na Roya, który wymalowanymi skośnymi oczyma próbował dać mu znak, kim jest naprawdę.

— Zna wszystkie alfabety, które akurat są mi potrzebne — pochwalił się Lo Lung.

— A to ciekawe! Mógłbym zobaczyć próbkę jego umiejętności?

— Może skopiować coś, co jest napisane.

— A, rozumiem! To po prostu fałszerz. Nie nie, moi drodzy, na to nie dam się nabrać. Niech sekretarz fałszuje sobie, co chce, mojego podpisu nie będzie!

Roy przestraszył się, że jego plan może zostać zburzony w sposób najbardziej nieoczekiwany i zaczął gorączkowo poszukiwać sposobu porozumienia się z Bredowem. Przypadkowo pomógł mu Tse Hai.

— Umiesz napisać coś z pamięci?

— Pamiętam list, który wczoraj pisałem dla pana Ho Minga, waszego sąsiada — skłamał szybko Roy w pidgin-english.

— To pokaż temu niedowiarkowi, że umiesz pisać. W jakim języku pisałeś dla pana Ho Minga?

— Chyba po francusku, panie.

— Hm, akurat tego języka nie znam. Wszystko jedno. Pisz i udowodnij temu niewiernemu, że Budda też ma zdolnych wyznawców.

Roy wziął ołówek od Tse Haia i koślawymi literami napisał po francusku parę słów wiedząc, że Max zna płynnie język Moliera.

„Ostrożnie! To ja, Roy. Najpóźniej za godzinę wyciągnę stąd pana. Niech pan złoży swój podpis, "v^tedy wyjdę szybciej, bo musimy zdążyć na kolację do Hartungów".

Max wziął kartkę z umorusanych rąk sekretarza dla zwykłej ciekawości, ale przeczytawszy pierwsze słowa, wyprostował się, szybko dokończył papierosa i ze złością popatrzył na Lo Lunga:

— No i co? I bez tego wiedziałem, że ten sekretarz jest geniuszem. Dalej chce pan zdobyć mój podpis? Mówiłem już wyraźnie, że to się nie przyda, bo ja po prostu nie jestem Bredowem!

— Czy się przyda, czy nie, to już nasza sprawa. Cały Szanghaj wie, że pan jest Bredowem, i niech pan nie uważa nas za głupków. Proszę wreszcie podpisać, bo szkoda czasu na bzdurne zabawy w kotka i myszkę!

Tse Hai zdenerwował się nie na żarty i wlepił w Maxa swoje skośne oczy gotów zasztyletować go wzrokiem.

— Nie mam przy sobie książeczki czekowej, to jak mam wam wystawić czek?

— Wcale nie musisz! — wściekał się Tse Hai — czek podpisze mój sekretarz, ale musi widzieć twój podpis.

Rozumie pan?

— Rozumiem, że nie mam wyjścia?

— Nie i proszę się pospieszyć!

Max wziął kawałek papieru, wzruszył ramionami i napisał nazwisko Bredow kaligraficznym pismem, aby Roy nie miał kłopotów z ewentualnym skopiowaniem.

Lo Lung wyrwał mu skwapliwie kartkę z rąk.

— No, wreszcie mamy to, co chcieliśmy. Sumę, drogi panie Bredow, to już wpisujemy sami — roześmiał się, a zwracając się do Roya poklepał go po ramieniu: — Do roboty, chłopcze! Spraw się dobrze, a nie pożałujesz.

Zanim Roy i Max zdążyli wymienić porozumiewawcze spojrzenia, Chińczyk wypchnął rzekomego sekretarza za drzwi, po czym zaryglował je pośpiesznie, jakby przymknął niezwykle groźnego przestępcę.

— Roy starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów idąc korytarzem od celi, w której trzymano Maxa. Musi przejść tę trasę jeszcze raz i wtedy nie wolno mu się pomylić.

W restauracyjnej sali Lo Lung chciał natychmiast sprawdzić, czy Roy poradzi sobie z podrobieniem podpisu, na co on wcale nie miał ochoty.

— Wybacz, panie, nie zabrałem pióra ani lusterka — moich narzędzi pracy, więc nie mogłbym wykonać jej starannie. Za kilka minut będę z powrotem. Próbkę podpisu zatrzymaj u siebie.

— Niech cię piekło pochłonie, jeżeli tu nie wrócisz!

Choć Roy nie miał zamiaru pokazać się tu jako tubylec po raz drugi, przysięgał na wszystkie bóstwa zamieszkujące chińskie niebo, że zjawi się na skrzydłach, by służyć czcigodnemu panu.

Tempo, w jakim Roy opuścił lokal i przemierzył ulice dzielące go od hotelu we francuskiej dzielnicy, można by śmiało nazwać olimpijskim. Wszystko, co stało mu na drodze, zostało brutalnie odepchnięte na boki albo wręcz rzucone na bruk.

Roy wpadł jak burza do niezbyt schludnego hallu hotelowego i niestety, natknął się od razu na swojego „przyjaciela” kelnera. Francuz wprawnym ruchem zdążył złapać pędzącego Roya za warkocz, ale nie zdołał zatrzymać jego właściciela.

— Stój, zasrańcu! — wrzasnął, odrzuciwszy ze złością perukę.

— Wypchaj się! — odpowiedział mu Roy z podestu na pierwszym piętrze. — Proszę natychmiast przynieść mi na górę herbaty.

— Och, pardon, monsieur! To pan? W życiu bym pana nie poznał w tym przebraniu. Zaraz przyniosę tę herbatę — nadskakiwał Francuz bynajmniej nie licząc na napiwek.

W pokoju Roy pierwsze co zrobił, to rzucił się jak zgłodniały zwierz na wystygłą już kolację, wpychając do ust co tylko wpadło mu w ręce.

— Uff! Dosłownie w ostatniej chwili!... Mój żołądek skurczył się chyba jak przekłuty balon. Nareszcie mogę trzeźwo myśleć. Zrzucając z siebie chińskie przebranie gorączkowo zastanawiał się, czy nie byłoby najrozsądniej zawiadomić policji, ale na dobrą sprawę to on właściwie nie wie, kogo trzeba ratować, Bredowa czy Rexa? Zaczną się dociekania, przesłuchania, a szkoda na to czasu.

— Trzymaj się z daleka od władz, słodziutki, i pomóż sobie sam. Kelner przyniósł zamówioną herbatę, a chcąc być miłym, spytał, czym jeszcze mógłby służyć.

— Ilu Europejczyków jest pośród służby w tym hotelu?

— Dziewięciu i dwie pokojówki.

— Te można pominąć. Dziewięciu to by wystarczyło. Posłuchaj no, przyjacielu: pójdź teraz do twoich kolegów i spytaj, czy dziś wieczorem nie chcieliby zarobić po dwa talary. Jeżeli się zgodzą, to wróć tu, a ja powiem ci, o co chodzi. Nie minęło pięć minut, a Francuz przybiegł z rozpromienioną miną, bo wszyscy kelnerzy i lokaje mieli ochotę dostać dwa talary.

Co mielibyśmy za to zrobić, monsieur?

— Niewiele. Pójdziecie ze mną do restauracji Lo Lunga w chińskiej dzielnicy i nie ruszycie się ode mnie na krok, dopóki nie wrócę tu z panem, po którego idziemy.

— Och, monsieur! To żadna praca! O której wychodzimy?

— Za dziesięć minut. Tylko niech każdy weźmie jakiś poręczny kijek. Żadnej broni palnej, bardzo proszę!

Wkrótce potem cały zastęp czekał już w hallu. Roy wyjaśnił, że mają zachowywać się spokojnie i wykonywać wszystkie jego polecenia. Ruszyli w drogę.

— W restauracji Lo Lunga panował jak zwykle o tej porze duży ruch. Na widok gościa, który oprócz talarów zazwyczaj przynosił też humor i dobry nastrój, Lo Lung rzucił się na powitanie.

— Co za radość znów pana widzieć w moich niskich progach!

— Zaraz się okaże, czy rzeczywiście tak się cieszysz — przystopował go chłodnym tonem Roy.

— Zebrałem mnóstwo nowych wiadomości o pani Kingsearl.

— Wątpię, stary, bo całą tę historię wysłałem z palca. Logicznie biorąc, niczego nowego nie mogłeś się dowiedzieć.

— Jak zawsze, trzymają się pana żarty.

— Roy popatrzył na stojących za nim murem Francuzów, potem na Lo Lunga i rzekł oschle:

— Tym razem to od ciebie zależy, czy sprawę tę potraktujesz jako żart.

— Jaką sprawę? Pan znowu raczy żartować.

— Dosyć! Czasami jestem poważny, a dziś ani ja, ani wy, ani też pan Bredow na pewno nie mamy czasu na dowcipy.

— Tse Hai, który od początku przysłuchiwał się rozmowie, popatrzył na Lo Lunga i bez mrugnięcia swoim skośnym okiem spytał, zacierając ręce:

— To pan umówił się tu z Bredowem? Myślałem, że jest jeszcze z tą swoją Chinką.

— Nie, nie, kochasiu! Mój przyjaciel siedzi tu kilka pokoi dalej jako wasz zakładnik.

— Co też pan wygaduje? Nie wstyd panu obrażać Lo Lunga w jego

własnym domu? Tu nie ma żadnych zakładników, a już na pewno nie pańskiego Bredowa! Ktoś pana musiał wprowadzić w błąd.

— Coś podobnego! Nie uwierzycie, ale godzinę temu rozmawiałem tu z Bredowem osobiście.

— Tutaj? Przecież musieliśmy o tym wiedzieć — roześmiał się niepewnie Tse Hai.

— A jednak, moi panowie! — ciągnął Roy z promieniejącą miną. — Wcale nie powiedziałem, że stało się to bez waszej wiedzy. Obaj byliście obecni przy tej rozmowie.

Chińczycy popatrzyli po sobie, a Tse Hai pokręcił głową:

— Pan wybaczy, ale to jakieś nieporozumienie. Pan przecież dziś wcale jeszcze tu nie był.

— Jest pan tego pewien? Godzinę temu byliśmy wszyscy trzej w pokoiku na zapleczu i rozmawialiśmy z Bredowem. Właśnie wróciłem, żeby sfalszować jego podpis. Przekonałem was wreszcie?

Lo Lung zacisnął pięść i chciał rzucić się na Roya, ale w tym momencie dziewięciu mężczyzn w mgnieniu oka otoczyło krewkiego grubasa.

— Ostrożnie, panowie! Nie zróbcie szlachetnemu Lo Lungowi krzywdy. Poza tym ma on łaskotki, a w tej chwili raczej nie wykazuje ochoty do śmiechu. Proponuję, abyśmy teraz wszyscy razem poszli uwolnić nieszczęsnego Bredowa, który w samotności na pewno strasznie się nudzi. — Do swojej „drużyny” zaś rzekł po francusku: — Uważajcie, żeby nikt nie opuścił lokalu. Czterej chodźcie ze mną, a pozostali niech czekają tu, aż wrócimy. Tylko ostrzegam: żadnego alkoholu ani fajek! Zrozumiano? A teraz po Bredowa! Prowadzi pan, panie Tse Hai, czy też mam panu pokazać drogę?

— Przekłete psy chrześcijańskie! — warknął Chińczyk po swojemu, ale Roy zrozumiał i poczęstował go solidnym kuksańcem.

— Jeszcze raz powiesz coś w tym stylu, a pożałujesz. No, szybko, bo nie mam czasu.

Tse Hai, rad nie rad, ruszył w stronę korytarza, gdzie Bredow, ponownie spętany, siedział zamknięty od wczorajszego wieczora i z niecierpliwością oczekiwał na dalsze posunięcia Roya. Widząc otwierającego drzwi Lo Lunga, Max spodziewał się kolejnych szykan, już westchnął ciężko, gdy nagle zobaczył stojącego za Chińczykiem Roya.

— Hello, Roy!

— Hello, Bredow! Widzę, że tym razem odpoczywa pan w niezbyt wygodnej pozycji.

— Mnie też tak się zdaje i nie miałbym nic przeciwko, gdyby ktoś pomógł mi ją zmienić. Czuję się jak niemowlę w pieluszkach.

— Nie dziwię się. No, chłopcy, pomóżcie temu dżentelmenowi! Czas na zamianę ról i nastroju. Zwiążcie mi szybko obu skośnookich. Tak wielkich salcesonów chyba nikt jeszcze w Chinach nie robił.

Po chwili Lo Lung i Tse Hai, starannie spętani, leżeli obok siebie na podłodze.

— Bawcie się dobrze, moi panowie! Zapewniam, że przez najbliższych kilka godzin nikt nie będzie wam przeszkadzać. I nie sprzecajcie się, proszę, który z was popełnił błąd. Obaj jesteście jednakowo durni!

— Sukinsynu, zapłacisz mi za to! — wykrztusił z siebie Lo Lung. Tse Hai zaś syknął tylko przez zaciśnięte zęby:

— Daj spokój! Dziś wydaje im się, że są bezpieczni, ale jutro znów będą skamleć o litość!

— Na kim wam właściwie zależy, panowie? Przecież słyszeliście wyraźnie, że pana Bredowa nie ma w Szanghaju. Roy patrzył tryumfującym wzrokiem na miotających się z wściekłości Chińczyków.

— Niech im pan da spokój, Roy! Chodźmy stąd, bo nasi przyjaciele czekają i martwią się niepotrzebnie — rzekł Max kierując się do wyjścia.

— Racja. Dobranoc, panowie, i nie denerwujcie się. Do rana macie dużo czasu. Powiem tam obok, żeby wam nie przeszkadzano, gdyż prowadzicie ważne rozmowy, a chyba nie wątpicie, że obsługa mnie nie posłucha.

Na pożegnanie Francuzi nie mogli się powstrzymać, by nie poczęstować leżących chociażby jednym kopniakiem.

Roy, niczym troskliwy gospodarz wyszedł ostatni i starannie zaryglował za sobą drzwi.

Służącym Lo Lunga wręczył po talarze i polecił, żeby nie przeszkadzali panu w rozmowach z przyjacielem Tse Haiem do rana.

W hotelu francuskim Max mógł wreszcie wykąpać się, ogolić i zmienić sfatygowane nieco ubranie. Usiedli na chwilę, by na spokojnie omówić przebieg wydarzeń z ostatnich godzin.

— Szczerze mówiąc, Bredow, uwierzyłem w to, co pan powiedział Lo Lungowi.

— W co, mianowicie? — spytał Max, patrząc na Roya z uwagą-

— Wciąż mi pan nie ufa, mister... Rex?

Max milczał dłuższą chwilę z zaciśniętymi zębami, zanim się odezwał spokojnym tonem:

— Nie ma sensu brnąć dalej, skoro zna pan już prawie całą prawdę. Wiele panu zawdzięczam, więc chociażby z tego względu powinienem wszystko wyjaśnić. Tak, ja jestem Max Rex, a mój przyjaciel, Robert Bredow, jest tym poszukiwanym królem stali.

— Przepraszam, czy mógłbym poznać powód, dla którego panowie zamieniliście się nazwiskami?

— Oczywiście. Pan ma prawo postawić to pytanie. Odpowiem, ale zajmie nam to co najmniej kwadrans.

Możliwie najkrócej Max przedstawił okoliczności, w jakich doszło do zamiany ról i przyczyny, dla których Chińczycy próbują porwać Bredowa.

— O cholera! Nie przypuszczałem, że to tak poważna sprawa, — rzekł Roy wysłuchawszy relacji do końca. — Myślałem, że złe macochy pojawiają się wyłącznie w bajkach dla niegrzecznych dzieci. No, współczuję Bredowowi. Wygląda na to, że uratowałem pana od niechybnej śmierci. Posunęliby się do tego?

— Pewnie tak. Podając im moje prawdziwe nazwisko, sądziłem, że się wywinę, a jak pan sam widział, raczej nie miałem szans.

— Co dalej, panie Rex? Ci dranie nie dadzą panom spokoju, czy nie lepiej byłoby wyjechać z Chin jak najprędzej?

— O tym nie może być mowy! Dlatego bardzo pana proszę

o zachowanie dyskrecji. Zwłaszcza przed Bredowem. On nie może dowiedzieć się, że w Szanghaju grozi mu niebezpieczeństwo, nie może stąd wyjechać, dopóki...

— Dopóki jest tu Christa,' tak?

— To raz, a po drugie: dopóki ja jestem w stanie odgrywać jego rolę i ściągać ewentualne niebezpieczeństwo na siebie.

— Czy jednak, mój drogi, nie przesadza pan z poświęceniem się dla przyjaciela? W końcu naraża pan swoje życie!

— Komu na nim zależy? Co innego Robert. Od tego, czy żyje, zależy los setek robotników zatrudnionych w jego fabrykach. Gdyby wpadły w ręce syna tej skrytobójczym, na pewno wkrótce poszłyby pod młotek, a ludzie na bruk. Gdy ja umrę, nie szczeknie nawet pies. Co najwyżej ktoś westchnie: szkoda faceta, ale świat się przecież nie zawali. Nie mam ani krewnych, ani majątku, ani też uroczej dziewczyny, która kochałaby mnie tak, jak panna Christa mojego przyjaciela.

— Guzik pan wie! Mogę zaręczyć, że jest w Szanghaju taka dama, która szaleje za panem nie mniej, jak panna Christa za swoim maharadzą od stali!

— Niech pan nie żartuje, Roy! — Max zaczerwienił się i opuścił wzrok.

— Moich kowbojskich niebieskich oczu nikt nie oszuka, mój drogi! Sam byłem świadkiem, jak pewna dama, która niedawno jeszcze także uchodziła za kogoś innego, omal nie zemdląła, słysząc o zaginięciu Bredowa, który tymczasem okazał się Rexem.

— Roy, pan jest...

— Nie do wytrzymania, wiem. Nie jest pan pierwszym który mi to mówi.

— Akurat nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że jest pan wspaniałym facetem i bardzo zależy mi na pańskiej przyjaźni.

— Dlatego, że mam niebieskie oczy, czy dlatego, że powiedziałem panu o Marii?

— Głupie pytanie! Wróćmy raczej do głównego tematu: krótko mówiąc, wszystko musi zostać po staremu. Dopóki nie wrócimy do Niemiec i mojemu przyjacielowi nie będzie grozić żadne niebezpieczeństwo, ja pozostaję Bredowem.

— Trudno! A co z biedną Marią? Ma czekać, aż posiwieje?

— Proszę, Roy! Niech pan nie utrudnia mi sytuacji, która i bez tego jest ciężka. Podjąłem decyzję, choć wiem równie dobrze jak pan, że ci dranie nie zrezygnują.

— Może powinien pan zawiadomić tutejszą policję? Z porywaczami nie cackają się tu zbyt długo.

— Po pierwsze, nie mam w ręku żadnych dowodów, po drugie zaś, musiałbym ujawnić szwindel z nazwiskami, a tym samym wskazać bandytom ich cel.

— Rzeczywiście. W tej sytuacji pozostaje nam jedynie zachować ostrożność. Nie może pan nigdzie pokazywać się sam, żeby nie stwarzać okazji do porwania.

— Tak właśnie postępowalem od początku i nie wypuszczałem nigdy Roberta samego.

— Logiczne, ale teraz trzeba będzie pilnować także pana. Musimy wspólnie ułożyć jakiś plan na najbliższe tygodnie.

— Naprawdę, niepotrzebnie martwi się pan o mnie.

— Wcale nie o pana, bo o króla stali Bredowa. Musi przeżyć, a jest mi obojętne, czy pod swoim nazwiskiem, czy jako Rex. Najważniejsze, że wiemy, czego możemy oczekiwać, a to zmniejsza ryzyko do minimum — podsumował Roy i rzucił papierosa do popielniczki. Wstał, przeciągnął się bez żenady.

— Czas na kolację, nie sądzi pan?

— Sądzę! Mam tylko nadzieję, że nie ubarwi pan zbyt opowieści, którą z pewnością każą nam przy stole powtórzyć ze sto razy.

— Niech będzie! — uścisnęli sobie serdecznie dłonie. — Udam, że

O niczym nie wiedziałem, a do knajpy Lo Lunga trafiłem przypadkowo, gdyż tam miał pan spotkać się z przyjacielem. Może być?

— Świetnie! W ten sposób zbierzemy laury nie zdradzając naszej tajemnicy — ucieszył się Max. Po chwili obaj byli już w drodze do willi Hartungów.

A tam panowała niewesoła atmosfera. Czekano na zapowiedzianych gości. Wydawało się, że lada chwila powinni nadejść. Mijały jednak minuty, potem godziny, a ich wciąż nie było. Maria niemal odchodziła od zmysłów. List Roya, który otrzymał Robert, brzmiał wprawdzie uspokajająco, ale z upływem czasu coraz trudniej przychodziło Marii utrzymać nerwy na wodzy.

Również Härtung powoli tracił wiarę w powodzenie misji Roya

I zachowywał się coraz bardziej nerwowo. Wytłumaczył sobie, że Roy podał orientacyjny termin- zakończenia poszukiwań Bredowa, wierząc w swój sukces. Skoro zaś nie przychodzi, plan widocznie się nie powiodł.

Robert i Christa wyszli na balkon wypatrując, czy w głębi ulicy nie pokaże się samochód Roya. Ruch był niewielki, wieczorną ciszę

zakłócał tylko miarowy chlupot fal omywających kamienny brzeg rzeki Huang-pu.

— Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, gdzie Roy się znajduje; może jakoś moglibyśmy mu pomóc — odezwał się Robert, przeczesując palcami jasne, gęste włosy. Christa, choć również bardzo zdenerwowana, starała się opanować ze względu na Marię, a teraz próbowała uspokoić też Roberta.

— Niech pan nie traci nadziei. Jestem święcie przekonana, że gdyby Roy potrzebował pomocy, na pewno skontaktowałby się z nami. Mógł nie podawać żadnego terminu, przynajmniej nie denerwowalibyśmy się tak bardzo. Trudno jednak wymagać, żeby w tak trudnej sytuacji zjawił się tu punktualnie co do minuty.

— Jak mam pani podziękować, Christo, za dodanie mi otuchy? Jestem już tak zdenerwowany, że mam ochotę gryźć ściany.

— A i tak nic więcej by pan nie wskórał, co najwyżej trzeba by wzywać malarza i naprawiać tynki — zaśmiała się, chcąc rozweselić Roberta. Wziął jej szczupłą dłoń i pocałował czule.

— Gdybym nie miał teraz pani, Christo, po zniknięciu przyjaciela pewnie bym oszalał. Pani obecność wpływa na mnie kojąco.

— W ten sposób mimo woli jakbym uczestniczyła w akcji ratunkowej — uśmiechnęła się i położyła mu rękę na ramieniu. — Mój drogi, Bredow musi się znaleźć i na pewno wkrótce go zobaczymy. Jak dotąd nic nie wskazuje na to, że coś mu się stało.

Robert westchnął ciężko. Chciałby podzielać optymizm Christy, lecz nie mógł uwolnić się od przeczucia, że Max znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Słyszysz pan? Zdawało mi się, że to hamujący samochód. Tak! Proszę popatrzeć! — Christa pokazywała na słabo oświetloną ulicę.

— Jest, zatrzymał się pod domem! Roy... Roy, to pan? — krzyczała uradowana.

— A któż by inny? — odburknął głos z ulicy.

— Jest pan sam!

Zapadła złowieszcza cisza, a po chwili Roy wrzasnął na całe gardło:

— Mam gooo!

— Och, Roy, wiedziałam, że panu się uda!

— Bardzo mi to schlebia, piękna pani! No, Bredow, wynocha z samochodu! Podobno tam czekają na nas z kolacją. Christa nie czekając, aż zobaczy wysiadającego Bredowa, pobiegła na dół do salonu i już z daleka krzyczała:

— Są! Obaj! Jednak miałam rację, że na Royu można polegać! Mario, oni tu są... obaj cali i zdrowi! — pocałowała przyjaciółkę, która jakby nie wierząc jeszcze, że to prawda, patrzyła osłupiałym wzrokiem. Christa już miała pobiec na ulicę, gdy drzwi nagle otworzyły się i stanął w nich Roy. Omal nie doszło do zderzenia. Roy w ostatniej chwili złapał Christę w ramiona i, zanim się spostrzegła, pocałował ją kilka razy.

— No, to się nazywa serdeczne powitanie! Widzę, że muszę częściej spóźniać się na kolację.

Zapanował niezwykle rwetes, tysiące pytań na raz, chaotyczne odpowiedzi, śmiechy, zamieszanie. Zazwyczaj spokojny Hartung skakał z radości jak dziecko, nie wiedząc kogo uściskać najpierw: Roya, który odnalazł zgubę, czy też odnalezionego, którego zdążył polubić w ciągu tych kilkunastu dni znajomości. Robert długo nie puszczał przyjaciela z objęć. Nic nie mówił, tylko serdecznie poklepywał go po ramieniu. Gdy w ten sam sposób chciał okazać wdzięczność Royowi, ten zręcznie wyśliznął mu się z rąk.

— O nie, przyjacielu! Pozwalam, żeby pan poklepywał kogoś innego zamiast mnie. W tym czasie ja rzucę się do stołu. Aż brzydzę się powiedzieć, czym to ja się nie żywiłem przez te dwa dni! — otrząsnął się z odrazą.

Zasiedli przy wielkim owalnym stole. Bohaterom pozwolono zaspokoić pierwszy głód, a później zaczęła się opowieść przerywana dziesiątkami przeróżnych pytań. Jedynie Maria nie odzywała się wcale. Szczęśliwa, że znowu widzi ukochanego mężczyznę, milczała, ale jej oczy najlepiej zdradzały, co przeżywała naprawdę. Max patrzył w nie jak urzeczony i z chęcią oddał inicjatywę Royowi, który jak nakręcony opowiadał kwieciście i szczegółowo o swojej i Maxa przygodzie. Prawie wyczerpał już temat, gdy nagle zwrócił się do zapatrzonej w niego jak w obraz siostry:

— Daisy, skarbie, od kiedy to jesteś zwolenniczką kary chłosty?

— Co?

— I dlaczego wciąż nosisz w torebce te okropne landrynki, o które, jak pamięcią sięgam, gromił cię nieboszczyk tato? — pytał dalej, nie zwracając uwagi na zdumioną minę Daisy.

— Ja, landrynki? Niby skąd o tym wiesz? W jakiej torebce? — broniła się niezręcznie.

— W tej, której po spacerze z panem Hartungiem po francuskiej dzielnicy nie przyniosłaś do domu.

— Co? Ja niby zgubiłam...

— Zgubiłaś! A chwilę potem miałaś czelność w mojej obecności stwierdzić, że jestem lekkomyślny i nie potrafię ocenić rzeczywistości. Tymczasem ty do tej pory nie wiesz, iż ukradziono ci torebkę! Cała Daisy! — uśmiechnął się, wyjął z aktówki torebkę siostry i położył ją na stole. — Trzymaj, skarbie. I poznaj litościwe serce kieszonkowca.

— Kto... kto mi ją ukradł?

— Ja!

— Ty?!

— Wcale jej nie broniłaś!

— Rany boskie, kiedy to zrobiłaś?

— Mówiłem przecież, że w dzielnicy francuskiej, dokładnie w tym momencie, gdy zupełnie niepotrzebnie przepędziłaś biednego tubylca, który próbował zwędzić w cukierni coś do zjedzenia.

— Do licha, Harrison, gdzie pan się schował, skoro tak dokładnie wie pan o wszystkim? — spytał Werner, trzęsąc się ze śmiechu.

— Nigdzie, bo to ja byłem tym żółtkiem, którego Daisy miała ochotę wychłostać.

— To już doprawdy szczyt wszystkiego! Okraść własną siostrę w biały dzień! — zawołała Daisy, tarmosząc brata za ucho.

— Prawdę mówiąc, było już ciemno. Tonący brzytwy się chwyta, jak to mówią, a ja byłem głodny jak wilk i bez grosza przy duszy. Poszedłem na łatwiznę widząc ciebie z torebką, ale rozczarowałaś mnie, siostrzyczko, okropnie! Landrynki! Czemu, u licha, nie nosisz tabliczki czekolady albo kanapki z szynką? Przez twoje niedbalstwo omal nie umarłem z głodu!

— Od dzisiaj, obiecuję, będę stale nosiła przy sobie pęto kiełbasy i dwie suche bułki, gdybyś znów przymierał głodem gdzieś na ulicy — zaśmiała się i pogłaskała Roya po policzku.

Rozmowom nie było końca. Gdy atmosfera podniecenia trochę opadła, Hartung zaproponował zmianę nastroju. Panowie przeszli do saloniku na papierosa.

— Nacieszyliśmy się już dość sukcesem Harrisona i powrotem naszej zguby, myślę więc, że najwyższy czas zastanowić się nad przyczyną tego nieszczęsnego porwania, po to głównie, żeby uniknąć podobnego wypadku w przyszłości.

Max i Roy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wynikało z nich, że Roy wie, o co chodzi i nie zabierze głosu. Max zaczął:

— Pyta pan o przyczynę, panie Hartung, a ona jest oczywista! Ci dranie chcieli wydebić ode mnie okup! Usiłowali zmusić mnie do wystawienia czeku in blanco, na którym zamierzali wpisać dowolną sumę, jaka by im przyszła do głowy.

— Przecież musieli liczyć się z tym, że jak pana puszczą, to postawi pan całą policję na nogi.

— Nie sądzę, żeby mieli zamiar mnie puścić. Po uzyskaniu podpisu — szczerze mówiąc, w końcu by im się to udało — sprzątnęliby mnie bez śladu.

Maria po tych wypowiedzianych lekkim tonem słowach zamknęła oczy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co zrobiłaby, gdyby Chińczykom udało się zrealizować swój plan. Max, zauważywszy jej reakcję, odetchnął z wyraźną ulgą.

— Z tego wynika, że Roy zjawił się z odsieczą dosłownie w ostatniej chwili? — spytała Christa.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości! — zaśmiał się Max. Christa zaś podeszła do Roya szamoczącego się z uwierającym go butem, podniosła jego głowę chwytając za blond czuprynę i pocałowała prosto w usta.

— To za uratowanie Bredowa! Daisy i Maria na pewno też zechcą panu podziękować w ten sposób.

— Ależ mam dziś udany dzień! Nie jestem przyzwyczajony, że tak mnie się rozpieszczą, drogie damy! — przyjmował pocałunki i zerkając na Maxa i Roberta rzekł: — I co, żal wam?

— Mój drogi! Gdybym nie został porwany, to nie miałby pan okazji do zbierania laurów. Zgodnie z prawem część tej zapłaty należy się mnie! Drogie panie, niech sprawiedliwości stanie się

zadość! — zażądał poważnym tonem, patrząc wyczekująco na reakcję kobiet.

Christa dotknęła palcem koniuszek nosa, jakby się zastanawiała, a potem odpowiedziała:

— Prawa należy przestrzegać! Ja tam nie lubię mieć długów

— podeszła do Maxa, położyła mu dłoń na ramieniu i nadstawiła wdzięcznie usta. Pocałował je delikatnie i dziękując, nachylił się nad jej ręką.

— No, koleżanki! Nie ociążać się! Żeby uniknąć tłoku, proponuję ustawić się według wzrostu. Daisy, pani jest chyba wyższa?

— Och, gdyby mnie teraz Kurcio zobaczył! — zachichotała pani kapitano wa.

— Już on na takie drobiazgi nie zwraca uwagi, siostrzyczko!

— uspokajał ją Roy, gdy z uśmiechem spłacała Maxowi „dług”. Przyszła kolej na Marię. Widać było, że jest blada, ale nic nie

wskazywało na to, żeby się wahała. Każdy jednak mimowolnie odwrócił wzrok w inną stronę czując, że dla tych dwojga jest to szczególna chwila i nietaktem byłoby natrętne przyglądanie się.

Max patrzył na Marię rozpromienionym wzrokiem, chwycił jej drżące ręce i pocałował, zanim ona zdecydowała się nadstawić mu policzek. On jednak bez wahania pocałował ją w usta i szepnął po cichu:

— Kocham cię, Mario!

Uścisnął mocno jeszcze raz jej ręce, pocałował i podszedł do pozostałych, dając Marii czas na ochłonięcie.

— Teraz, myślę, wreszcie wszyscy są zadowoleni — zaśmiał się Werner Hartung.

— Pan wybaczy, panie Hartung, ale ja się nie zgadzam — zawołał Robert. — Moim pogruchotanym sercem nikt się nie zajmie?

— Wszystko w swoim czasie, mój drogi! Jak pana kiedyś porwą Chińczycy, to też dostanie pan książeczkę odprawę!

— zapewnił go wspaniałomyślnie Roy.

— Wybaczcie, że znowu wracam do sprawy bezpieczeństwa pana Bredowa. Jeżeli nie zamierzasz zawiadamić policji, to powinniśmy opracować jakiś plan, żeby nie powtórzyło się nieszczęście.

— Jedno, co mogę zrobić, to nie pokazywać się sam na ulicy — rzekł Max i popatrzył na Roya.

— Dla Europejczyka samotne spacerowanie w ogóle nie są bezpieczne zważywszy na skomplikowaną sytuację polityczną w Chinach — zauważył Hartung. — Niechętnie się zgadzam na wyjścia Christy i panny Holm. Powinien im towarzyszyć przynajmniej Roy. Bardzo łatwo można opuścić bezpieczne dzielnice i niespodziewanie znaleźć w samym środku zamieszek.

— Tak jakby Roy nie miał nic lepszego do roboty, jak wyprowadzanie dziewczynek na spacer! — burknął Roy na propozycję Wenera.

— A ja uważam — wtrąciła się Daisy, która już od dłuższego czasu usiłowała wtrącić się do rozmowy — że pora spać! Jest już pierwsza w nocy.

— Siostrzyczko, czy ktoś zabronił ci iść do łóżka? Chcesz, to połóż się natychmiast! — rzekł Roy, wpychając siostrę do głębokiego fotela.

— Roy, ty łobuziaku! Zobaczysz, powiem Kurtowi, aby dał ci nauczkę, gdy tylko się zjawi — broniła się Daisy.

— Kurt będzie mnie ćwiczył? Już ja to widzę. Prędkiej na odwrót!

— Roy zamierzał rozsiąść się wygodnie, gdy nagle Max, widząc zmęczenie Marii, chwycił go mocno za kołnierz i uniósł z siłą, o jaką nikt by go nie podejrzewał.

— No, dzisiejszy bohaterze, ruszmy się, zanim nie wylecimy z hukiem z tego miłego i gościnnego domu. Jesteśmy zmęczeni i po tylu emocjach sen dobrze nam zrobi.

— Trudno, skoro pan też popiera pomysł Daisy, poddaję się. A pan, Rex?

— Także. Nasze panie mają już tak małe oczka, że prawie nas nie widzą. Idziemy!

— Jako gospodarzowi wypadałoby namawiać, żebyście jeszcze zostali. Możecie mnie oskarżyć o niegościnność, ale dziś tego nie zrobię

— zaśmiał się Werner. Pożegnanie przeciągnęło się jakieś dziesięć minut, zanim trzej panowie opuścili wille Hartungów.

Wymiana telegramów Pierwszy: *Liana Bredow, Niemcy, Duisburg. Podać natychmiast jakiś znak szczególny Bredowa.*

Drugi: *Lo Lung, Szanghaj. Shin-bei. Brązowa kropka nad prawym okiem, taka sama obok lewego ucha.*

Trzeci: Zgodnie z umową, wiadomy obiekt zdobyty, ale wymknął się. Czas nagli, obiekt wkrótce wraca do Niemiec.
Tse Hai. Czwarty: Obiekt bezwzględnie zlikwidować. Przekazane pieniądze odebrać dopiero po wykonaniu zadania.
Kin Lung.

XII

Zaczynała się chłodna szanghajska jesień. Temperatura wyraźnie spadła, według chińskiego termometru osiągała już poziom „trzech koszul”. Zwłaszcza noce były chłodne, dlatego też nikt nie kwapił się na spacer, a rozpalony kominek w willi Hartungów stał się najpopularniejszym miejscem spotkań naszych znajomych.

Rankiem powietrze było rześkie i czyste, podobnie jak latem, ale nie zapowiadało męczących upałów w ciągu dnia. Po długich naleganiach Chrście udało się wreszcie namówić Marię do jazdy konnej i od pewnego czasu poranne przejażdżki odbywały się we czworo. Próbowano wyciągnąć także Daisy, która umiała jeździć, ale dla niej wielkim problemem okazało się wczesne wstawanie. Max miał wielką ochotę przyłączyć się, cóż z tego, skoro interesy w Szanghaju nabrały nadspodziewanego rozmachu i zabierały sporo czasu. Robert wkrótce pogubił się zupełnie i niemal z konieczności Max musiał zajmować się wszystkim sam.

Na szczęście wieczorami znajdował krótką chwilę na rozmowę z Marią, więc nie narzekał na nadmiar pracy. Poniekąd cieszył się, bo nadarzyła się okazja odwzięczenia się przyjacielowi za pomoc, której ten udzielał mu od czasu, gdy razem chodzili do szkoły.

Na kolejną przejażdżkę wszyscy czworo wybrali się daleko poza chińską dzielnicę na pola przylegające do torów wyścigów konnych, gdzie rankiem było cicho i spokojnie. Spokój i Roy! Te dwa pojęcia nijak do siebie nie pasowały, nic więc dziwnego, że wkrótce poranną ciszę raz po raz przerywały gromkie wybuchy śmiechu całej czwórki.

- Mam doskonały pomysł!
- Najpierw proszę go przedstawić, a to my ocenimy, czy jest doskonały.
- Moje pomysły są dla was, profanów, zbyt wyrafinowane.
- Już jakbym coś o tym słyszała — wtrąciła się Maria, pesząc trochę Roya, ale udał, że nie zrozumiał aluzji do przygody z Hu Tuchtą.
- Słuchajcie i doceniajcie! Tor wyścigowy jest pusty. Proponuję zawody. Będą nagrody: trzy główne i jedna pocieszenia! Dla widzów w mundurach i studentów zniżka pięćdziesiąt procent!
- Ja jestem za! — zawołała Christa zawsze otwarta na wszelkie nowinki. — Ale najpierw musimy wiedzieć, jakie będą nagrody!
- Każdy da, co może. Zobaczymy, kto jest największym skąpcem. Ja daruję tę dużą wazę z cesarskiego pałacu!
- Do licha, ale się szarpnął! Cóż ja, biedny maharadża od maszyny do pisania mogę postawić? Mam! Jako drugą nagrodę proponuję złoconą papierośnicę. Mogą z niej korzystać zarówno panowie jak i panie.
- Mario, czeka nas trudna decyzja — powiedziała Christa pocierając koniec nosa, jakby się poważnie zastanawiała. Drugą ręką klepała po karku rumaka, który niespokojnie kręcił się w miejscu.
- Ja funduję trzecią nagrodę — zaproponowała Maria. — Tę złotą bransoletę w kształcie podkowy. Wygrał ją przed laty mój ojciec właśnie w zawodach konnych.
- Ależ to jest pamiątka! Nie możemy jej przyjąć!
- Ja nie przywiązuję uwagi do biżuterii, jak zapewne zdążyliście już zauważyć. Ojciec nigdy jej nie nosił, widocznie nie była mu aż tak droga.
- No dobrze. Pozostała nam więc tylko nagroda pocieszenia. Christo, pani jak zawsze ma szczęście!
- Jak to?
- Na otarcie łez można dać byle co!
- A jednak chyba was zaskoczę i podaruję coś równie cennego jak wy, a mianowicie moje indyjskie jedwabne sari. Kto chce, może je nosić jako suknię balową, a kto nie — zrobi sobie z niej moskitierę.
- No, muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiej puli nagród! Umówmy się zawczasu, że nikt nie przyjmie nagrody, którą sam ufundował.

— Przecież to oczywiste!

— Ustalmy zatem warunki biegu i metę. Biegniemy do tamtego drzewka na końcu toru. Nie wolno spaść z konia, dobiec do mety na piechotę ani zamieniać się wierzchowcami.

— Dobra! Zaczynamy! Damy biegną w środku, ja po wewnętrznej, a pan od strony żywopłotu.

Zajęli miejsca. Przejęci zabawą, podnieceni, nie zwracali uwagi na to, co działo się wokół nich. Nie zauważyli więc grupki Chińczyków kręcących się koło zagajnika za żywopłotem.

— Gotowi? Uwaga, start! — krzyknął Roy, a cztery rumaki zerwały z kopyta.

Każdy był tak zajęty sobą i widział tylko drzewo na końcu toru, że nie patrzył, co robią przeciwnicy. Robert miał konia wyraźnie słabszego i zaczął odstawać.

Gdy zbliżył się do zagajnika, nagle zza żywopłotu wyskoczył Chińczyk, rzucił pod przednie kopyta konia grubą linę, o którą zwierzę potknęło się i upadło jak ścięte drzewo.

Robert próbował poderwać konia, ale zanim zdążył podnieść się w siodle, z krzaków wybiegło jeszcze czterech Chińczyków. Dwaj złapali za cugle, a dwaj z tyłu zarzucili mu worek na głowę. Jedno, co Robert zdążył zobaczyć w ostatniej chwili, to widok trojga pędzących do przodu jeźdźców, znikających za zakrętem toru. Potem stracił przytomność. Nie czuł więc, jak zdejmowano go z konia, nie widział wychodzącego z zarośli Tse Haia ani Chińczyków szamoczących się z wierzgającym rumakiem.

— Po chwili podjechał samochód Lo Lunga. Szybko wrzucono Roberta na tylne siedzenie i znowu nad torem zapadła głęboka, niczym nie zmacona cisza. Nawet najbystrzejsze oko czy ucho nie dostrzegło śladów walki, która rozegrała się tu przed chwilą.

Kilka minut później trzech jeźdźcy, podnieceni jeszcze atmosferą zawodów, wrócili w to miejsce sądząc, że Robert został za zakrętem z sobie tylko wiadomych powodów.

Zaskoczeni rozglądali się, szukając śladu po Robercie. Roy zaśmiał się i zawołał:

— Halo, Rex! Niech pan się nie ukrywa. Mamy dla pana nagrodę pocieszenia. Pierwsze miejsce zdobyła oczywiście Christa!

Cisza. Poczuli się nieswojo. Christa pod wpływem nagłego przyływu strachu wrzasnęła z całej siły:

— Rex! Max! — Niechże pan się odezwie wreszcie!

Żadnej odpowiedzi. Zaniemówili z przerażenia. Roy objechał zarośla i z daleka zobaczył w zeschniętej trawie coś błyszczącego. Zeskoczył z konia i podniósł dobrze wszystkim znany pejcz Roberta ze złożoną rękojeścią w kształcie korony.

— Zgubił pejcz? — zdziwił się Roy i pomógł Chrście, która próbowała sama zejść z konia. — Do diabła, co tu się stało? Znowu jakieś chińskie czary? Nie sądzę, żeby Rex żartował z nas akurat w ten sposób po tym, co...

— Roy, o czym pan mówi? — Christa patrzyła na niego z przerażeniem w oczach. — Pan coś podejrzewa? Na Boga, niechże pan mówi!

— Tak, podejrzewam. — Trzymając konia za uzdę, stał pomiędzy Christą a Marią. — W tej sytuacji muszę wam zdradzić pewną tajemnicę, zresztą nie moją. I tak nic teraz nie poradzimy, więc szybko opowiem wam, o co chodzi. Przede wszystkim Rex nie jest Rexem, ale samym Bredowem. Na czas wyjazdu do Chin obaj zamienili się nazwiskami z bardzo ważnych, jak się okazało powodów. — Pokrótce opowiedział całą historię.

Milczeli chwilę, potem Christa spytała po cichu:

— Sądzi pan, że ci bandyci wiedzą już o zamianie i porwali teraz właściwego Bredowa?

— Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć zniknięcia Roberta. Jak oni to zrobili, że niczego nie zauważyliśmy? Gdzie go wywlekli? Na pewno nie tam, gdzie Rexa, bo dobrze wiedzą, że znów bym po niego przyszedł. Musimy więc szukać gdzie indziej.

— Powinniśmy najpierw zawiadomić jego przyjaciela. Może on wie, co trzeba zrobić? — zaproponowała Maria, nie mniej przestraszona od Christy.

— Gdyby on wtedy od razu zawiadomił policję, nie doszłoby dziś do nieszczęścia — jęknęła Christa z wyrzutem spowodowanym strachem i rozgoryczeniem.

— Możliwe, ale nie jestem pewien. Tu w grę wchodzi duże pieniądze z których ci faceci nie zrezygnowaliby tak łatwo.

— Wydaje mi się, że musimy natychmiast wracać do domu, zatelefonować do pana Rexa i poprosić pani ojca, żeby zawiadomił odpowiednie władze. Tym razem bez pomocy policji na pewno się nie obędzie — zauważyła trzeźwo Maria podając Chrście cugle.

Siedzieli już na koniach, gdy Roy próbował jeszcze poszukać jakichś śladów. Na suchym, drobnym piasku nie było nic widać.

— Nawet niebiosą są przeciwko nam. Wiatr zawiął wszystkie ślady i nie można stwierdzić, w którym kierunku uprowadzili konia.

— Nic by nam to nie dało, nie mamy broni ani żadnej pomocy — Maria zauważyła, że po tych słowach Christa zacisnęła usta i zbladła jeszcze bardziej. Musiała ją jakoś podtrzymać na duchu, jak ona wtedy, gdy uprowadzono Maxa. Bardzo jej pomogła sama świadomość, że jest ktoś bliski, który czuje to samo. Christa zapewne też tego teraz potrzebuje. Położyła jej rękę na ramieniu, uścisnęła i rzekła:

— Wracajmy. Być może pani ojciec i pan Rex znajdą jakieś wyjście!

Bez słowa wrócili do miasta. Z willi Hartungów Roy zadzwonił do Rexa, który natychmiast przyjechał.

— Co z Robertem? Z tej rozmowy przez telefon niczego nie zrozumiałem. — Max był bardzo zdenerwowany. Nie mógł i nie chciał uwierzyć, że przyjaciela spotkał taki sam los jak jego, choć robił wszystko, żeby do tego nie doszło. Werner Härtung chwilę intensywnie myślał.

— Musimy natychmiast zawiadomić nie tylko wszystkie europejskie konsulaty, ale przede wszystkim chińską policję.

— O ile ci dranie nie zdążyli nastawić policjantów przeciwko nam. Wtedy już nic nie wskóramy.

— Mam i na to sposoby, Harrison. Pojadę wprost do księcia Yo Hantsu, a on poradzi sobie z policją. Najgorsze, że nie wiemy, gdzie bandyci ukryli Bredowa.

— Jestem niemal pewien, że Robert został ogłuszony albo zamroczony w inny sposób. Przecież wołałby o pomoc, próbował stawiać opór do czasu naszego powrotu. Całe zajście nie mogło trwać dłużej niż minutę.

Christa stała przy oknie, patrzyła na rzekę i nie mogła powstrzymać łez. Szukała gorączkowo jakiegoś sposobu uratowania Roberta, ale

każdy, który przychodził jej do głowy, nie miał szans na powodzenie, skoro nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie znajduje się porwany.

— Nie pamięta pan, Roy, czy Bredow został w tyle na samym początku, czy też później? — spytała odwróciwszy się do obecnych.

— Nie mam pojęcia. Wszyscy byliśmy tak zajęci wyścigiem, że nie oglądaliśmy się jeden na drugiego.

Christa przycisnęła mocno do piersi pejcz Roberta, jakby wierzyła, że poprzez przedmiot należący do niego uda się dotrzeć myślami do kryjówki porywaczy. Ojciec, widząc jej cierpienie, podszedł i objął przez ramię.

— Nie załamuj się, dziecko, odnaleźliśmy jednego, odnajdziemy i drugiego! Europejczyk nie może zaginać tak zupełnie bez śladu. Jadę teraz do księcia, a pan, Rex, niech zawiadomi konsulaty. Ma pan paszport i dokumenty Bredowa; trzeba je zabrać i pokazać urzędnikom. Panno Holm, panią zaś chciałbym prosić, żeby zaopiekowała się Christą.

— To oczywiste, panie Härtung. Nie zostawię jej na chwilę samej, chyba że mnie o to poprosi — rzekła Maria odprowadzając do drzwi Wenera i Maxa. Ten odwrócił się u progu, wziął jej rękę i szepnął:

— Mario, niech pani się modli, żebyśmy odnaleźli Roberta żywego. Od tego zależy, czy będziemy szczęśliwi. Teraz, gdy pani już wie, kim jestem, mogę głośno powiedzieć, co do pani czuję. — Pobiegł za Hartungiem, który siedział już w samochodzie.

Maria patrzyła chwilę za odjeżdżającymi. Łagodny uśmiech pojawił się na jej poważnej twarzy, ale od razu przypomniała sobie o Bredowie i pobiegła do Christy, która w rozmowie z Royem próbowała jeszcze raz odtworzyć przebieg wydarzeń na torze.

Konsulaty zostały powiadomione, policja również, zaś Max, Roy i pan Härtung na własną rękę przeczesywali chińską dzielnicę w nadziei, że trafią na jakiś ślad po zaginionym. Na próżno! Nikt nic nie widział, nic nie słyszał.

Czyżby Robert i jego koń mogli zapaść się pod ziemię?

Z kilkoma policjantami Roy i Max poszli do Lo Lunga, ale jak można było oczekiwać, niczego się nie dowiedzieli.

Wręcz przeciwnie: wizyta ta przyniosła więcej szkody niż pożytku, gdyż Roy nieopatrznie powiedział bandytom, jakie środki zostały przedsięwzięte w celu

uratowania Bredowa. Ugryzł się w język, gdy było już za późno i wypowiedzianych słów nie mógł odwołać. Kilka następnych dni były dla Christy prawdziwym koszmarem. Ożywiała się na krótko, gdy któryś z przyjaciół przynosił relację ze swoich poczynań, ale skoro nie dawały one żadnych rezultatów, milkła ponownie. Trzeciego dnia po porwaniu Roberta w ogóle nie wyszła z sypialni. Przeglądała kasetkę z pamiątkami, szukając tych, które przypominały jej ukochanego, gdy nagle wypadła karteczka od Hu Tuchtu. Włożyła ją wtedy do kasetki i zupełnie o tym zapomniała. Przyglądała się przez chwilę hieroglifom, próbowała je rozszyfrować. Musiał to być jakiś dialekt, ale przecież Roy przeczytał kartkę, gdy odnalazł ją w rękawiczce. Jak to było? — „W razie potrzeby zgłoś się tam, pokaż tę kartkę i poproś o pomoc w moim imieniu.” — Dalej był podpis: Hu Tuchtu Lun Tai. Christa patrzyła na kartkę jak urzeczona, a w jej sercu rozjarzyła się iskra nadziei. Może należało sprawdzić, czy pod wskazanym adresem nie znajdzie się ratunku dla ukochanego? Spróbować nie zaszkodzi! Jak w transie ubrała się do wyjścia i zadzwoniła po pokojówkę.

— Szybko, Losufu! Zamów dla mnie samochód i zwołaj pannę Holm. Tylko nie guzdraj się, proszę!

— Pędzę, pani, jakby mnie czarci gonili!

Po chwili przyszła Maria, a widząc podnieconą i ożywioną jak dawniej przyjaciółkę, zdziwiła się:

— Christo, w czym mogę pani pomóc?

— Tak, Mario. Proszę powiedzieć ojcu, żeby się nie martwił, ale nie zejść dziś na śniadanie.

— Pani wychodzi?

— Wyjeżdżam samochodem. Nie wytrzymuję już w czterech ścianach i muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Szofer będzie ze mną, nie ma więc powodu do niepokoju, ale jeżeli pani chce, mogę zabrać także Losufu. Tak, to dobry pomysł — dodała.

Maria popatrzyła z troską i pogłaskała Christę po policzku.

— Wiem. Nie powie mi pani prawdy, Christo, ale nie będę nalegała,

bo wierzę, że nie zrobi pani nic, co sprawiłoby ból ojcu. Nie przeżyłby, gdyby jeszcze pani coś się stało.

Christa objęła ją czule i rzekła z trudem powstrzymując łzy:

— Bardzo pani dziękuję, Mario. Pamiętam o ojcu, proszę się nie martwić. Jeżeli nie zdążę na obiad, na pewno przyślę wiadomość przez Losufu. Nie chcę, żebyście się martwili. Niech pani trzyma kciuki za powodzenie mojego przedsięwzięcia, Mario. Jest to ostatnia szansa uratowania Roberta, ale jestem przesądna i nie powiem, co zamierzam zrobić.

— Będę trzymała, dopóki pani nie wróci.

Zeszły razem do samochodu. Losufu nie trzeba było długo namawiać na przejażdżkę, więc już z uśmiechniętą miną siedziała obok szofera.

Ruszyli. W pewnej odległości od domu Christa poprosiła kierowcę Chińczyka, żeby się zatrzymał i pokazała mu kartkę od Hu Tuchtu.

— Znasz ten adres? Potrafisz odczytać nazwisko?

Chińczyk rzucił okiem na kartkę i popatrzył na Christę z takim zdziwieniem w oczach, że aż się przeraziła.

— Znasz to nazwisko, wiesz kim jest ten człowiek?

— Znam, pani. Każdy wierzący wie, gdyż jest to ojciec świętego Hu Tuchtu — odpowiedział szofer z nabożnym wzruszeniem. Christa na moment zamknęła oczy.

— Ojciec Hu Tuchtu? Jesteś tego pewien?

— Najzupełniej! Kai Hanfu jest także ojcem wszystkich biedaków i głodujących w Szanghaju. Rozdaje im cały majątek. Spod jego drzwi jeszcze nikt nie odszedł z pustymi rękoma, ale w zamian każdy obdarowany jest zobowiązany mu służyć. W ten sposób Kai Hanfu stał się najpotężniejszym człowiekiem w Szanghaju. Na jego zawołanie stają tysiące ludzi — szofer zniżył głos dodając: — Ja też należę do jego ludzi i stawiam się na każde wezwanie.

— Jedźmy tam szybko!

— Kai Hanfu mieszka daleko za miastem, w okolicach torów jezdzieckich. Musimy przejechać przez chińską dzielnicę.

— Uważaj więc, ale gdy wyjedziemy na szosę, przyciśnij gaz

— poleciała Christa i wtuliła się w oparcie fotela. Zamknęła oczy. Nadzieja na uratowanie ukochanego ogarnęła ją na nowo.

Pół godziny później samochód zatrzymał się przed skromnym, zwykłym domem, stojącym w starannie utrzymanym ogrodzie.

— Tu mieszka Kai Hanfu. Czy mam zameldować pani przybycie?

— Chyba nie będzie potrzeby, bo właśnie nadchodzi starszek służący. Spytaj, czy jego pan mnie przyjmie. Podaj moje nazwisko i powiedz, że mam bardzo ważną sprawę.

Szofer rozmawiał ze sługą, a Christa poleciała w tym czasie Losufu, by została w samochodzie.

Starszek powoli prowadził Christę przez cudowny ogród. Cierpliwie czekała chwilę przed domem rozglądając się dookoła. Tylu pięknych, wielobarwnych kwiatów jeszcze nie widziała.

Nie zauważyła, kiedy stanął obok niej starzec ubrany w prosty, ale uszyty z drogocennej tkaniny strój. Na dwóch palcach lewej ręki miał niezwykle długie paznokcie, zaplecione jak warkocz. Dopiero, gdy zagadnął ją po angielsku, zauważyła jego obecność.

— Chciałaś ze mną rozmawiać? — spytał spokojnym tonem, patrząc uważnie na Christę. Przyglądała mu się przez chwilę, jakby zastanawiała się, czy może go prosić o pomoc w odnalezieniu Roberta.

— Jeżeli ty jesteś Kai Hanfu, ojciec Hu Tuchtu, to bardzo bym chciała z tobą porozmawiać. Przeczytaj, proszę, kartkę, którą dał mi twój syn — podała mu papier zapisany hieroglifami.

Chińczyk zerknął na pismo, zaraz ukłonił się nisko.

— Wejdź do mojego domu. Przedstaw mi twoją prośbę, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

W pokoju, do którego weszli, oprócz dywanów, waz i niskich stołeczków, nie było żadnych mebli. Starzec wskazał Chrście jeden z taboretów, sam zaś usiadł wprost na podłodze.

— Mów, proszę. Nikt poza mną niczego nie usłyszy.

Christa wciągnęła głęboko powietrze, popatrzyła chwilę na starca i zebrawszy całą odwagę, przedstawiła powód swojej wizyty. Słuchał uważnie. Gdy skończyła, nie odezwał się od razu, dopiero po chwili rzekł powoli tonem charakterystycznym dla starych ludzi.

— Jeśli twój ukochany — z pewnością jest nim, skoro odważyłaś się przyjść aż do mnie — żyje, odzyskasz go najwyżej w ciągu trzech dni. — Kai Hanfu powiedział te słowa z takim przekonaniem, że Chrście aż pociemniało przed oczyma. Podbiegła do starca z wyciągniętą ręką.

— Jak mam ci dziękować?

— Podziękujesz, gdy otrzymasz to, o co prosiłaś. Na razie, to jeszcze ja jestem twoim dłużnikiem, gdyż wyświadczyłaś przysługę mojemu synowi.

— Nic o tym nie wiem! Widziałam go tylko przez chwilę w świątyni.

— Opowiedz mi o tym spotkaniu. Nie widziałem syna od pięciu lat. Na kartce, którą mi przyniosłaś, syn w umówiony sposób daje mi znać, że jesteś osobą godną jego zaufania, od której dowiem się, jak on naprawdę się czuje, jak wygląda. Jest szczęśliwy? Jest zadowolony?

— Zadowolony chyba tak, Kai Hanfu, ale nie szczęśliwy. Pozwól, że opowiem ci, co ja, niewierna, zaobserwowałam w świątyni.

Starzec słuchał ze łzami w oczach, jak jego ukochany syn z trudem dźwiga ciężkie obowiązki nałożone na jego młode barki. Nie przerywał, a gdy skończyła rzekł:

— Stokrotne dzięki, cudzoziemko! Jesteś pierwszą osobą, która przynosi mi wiadomości o synu. Kapłanom nie dowierzam. Teraz jestem pewien, że Hu jest zdrow i czuje się nie najgorzej. A wracając do twojej sprawy: czy zaginiony mężczyzna był z tobą w świątyni? Czy mój syn go widział?

— Tak, Kai Hanfu, był. Twój syn rozmawiał z nim i powiedział mu... — Christa zawahała się i poczerwieniała. — Powiedział, że...

— Nie ukrywaj przede mną słów mojego syna, nawet jeżeli nie były skierowane do mnie — nalegał starzec.

— Powiedział panu Bredowowi, że... no cóż... że mu zazdrości

— szepnęła cicho. Starzec uśmiechnął się i pogłaskał jej dłoń swoją kościstą drobną ręką.

— Biedny chłopiec! Teraz rozumiem, dlaczego dał ci tę kartkę, choć przecież nie wiedział, że będzie ci potrzebna.

Mój syn rozmawiał z Bredowem. To wielkie wyróżnienie, a ci bandyci ośmielili się podnieść rękę na tego człowieka! Gorzko tego pożałują! Od dawna miałem ich na oku, ale teraz miarka się przebrała.

Starzec uderzył w wielki gong. Cały dom wypełnił się czystym, metalicznym dźwiękiem. Wszedł stary sługa.

— Idź do miasta i zwołaj na dzisiejszy wieczór wszystkich zobowiązanych do służby. Żeby mi nikogo nie brakowało, bo popamiętają!

— rozkazał ostrym tonem. — Kobiet nie trzeba, zwołaj samych

mężczyzn. — Służący uklonił się i wyszedł, zaś Kai Hanfu odprowadził Christę aż do samochodu.

— Gdy tylko go odnajdę lub dowiem się, gdzie jest, pošlę ci wiadomość do domu. Mój posłaniec będzie miał na ramieniu czerwoną przepaskę, a odezwie się dopiero, gdy pokażesz mu ten pierścień.

Zdjął z palca prostą obrączkę i podał ją Chrście. Przyjęła ją z wielkim wzruszeniem.

— Jak to dobrze, że zaufałam Hu Tuchtu i przyszłam do ciebie. Moi przyjaciele nie wierzyli wtedy, że kartka od twojego syna może na coś się przydać. Zobaczysz go jeszcze kiedyś?

— Nie przewidywałam takiej możliwości, ale dzięki tobie zaistniała. Gdy złapię tych bandytów, przekażę ich kapłanom, gdyż świecka sprawiedliwość jest dla nich zbyt pobłażliwa. Przy tej okazji zobaczę się z synem.

— Jeżeli będzie to możliwe, przekaż mu moje podziękowania.

— Opowiem mu o tobie. Na pewno się ucieszy. W swoim osamotnieniu rzadko mu się zdarza przeżywać chwile radości. Teraz jednak mnie czas zabrać się do dzieła, a ty spokojnie czekaj na posłańca.

Pomógł Chrście wsiąść do samochodu i skłoniwszy się nisko, czekał, aż odjedzie. Potem niemal biegiem wrócił do domu.

Posłańcy, jeden po drugim, opuszczali dom Kai Hanfu. Wieczorem na dziedzińcu zebrał się prawdziwy tłum lichy, ale schludnie ubranych mężczyzn, w milczeniu czekających, aż wyjdzie ich pan i dobroczyńca, by wydać polecenia. Ku wielkiej radości Marii, Christa zdążyła wrócić do domu przed obiadem, nie trzeba więc było niczego wyjaśniać panu Hartungowi.

Dziś Max i Roy też zostali zaproszeni, jednak przy stole panował poważny nastrój i nikt nie miał ochoty na rozmowę. Podczas deseru wszedł lokaj i oznajmił:

— Jakiś goniec chce rozmawiać z panią posiadającą pierścień. Nie wiem, o kogo mu chodzi, a on upiera się, że trafił pod właściwy adres.

Christa zerwała się, poczerwieniała i powiedziała drżącym ze wzruszenia głosem: — I ma rację! Proszę go natychmiast wprowadzić.

Wszyscy popatrzyli zdumieni, a Werner podszedł do niej i objął ramieniem.

— Dziecko, co tu się dzieje? Możesz mi wyjaśnić? Czy w tym domu ciągle musi dziać się coś tajemniczego?!

— Tatusiu, wybacz, ale nie mogę nic ci powiedzieć. Zaufajcie mi, proszę, chodzi o nieg^{c^}

— O Roberta? — spytał Max wstrzymując oddech.

— Tak jest!

Po chwili do jadalni wszedł młody, schludnie ubrany Chińczyk z jaskrawo czerwoną przepaską na prawym ramieniu i odezwał się w pidgin-english:

— Mam wiadomość dla kobiety posiadającej pierścień. Czy jest wśród obecnych tutaj?

Christa dała mu znak, aby podszedł. Trzymała przy tym rękę wysoko uniesioną, by pierścień Kai Hanfu był z daleka widoczny. Gонец uklonił się nisko i podał list, który Christa natychmiast rozpieczętowała. Zapadła cisza, jak makiem zasiał.

Dowiedziałem się już, że Twój ukochany żyje, wiem też, gdzie jest przetrzymywany, ale z uwolnieniem muszę poczekać do rana. Prawdopodobnie jest ciężko chory, majączy w gorączce, i to jego krzyki właśnie zwróciły uwagę moich ludzi. Bądź dobrej myśli, jutro już go odzyskasz. Koniecznie podaj mi jakieś jego znaki szczególne. Twój wielce zobowiązany

Kai Hanfu

Christa musiała zebrać wszystkie siły, żeby zachować spokój. Zmartwiła się wiadomością o chorobie Roberta, ale radość, że żyje była jednak większa.

— Ma ktoś z was kawałek papieru?

— Wystarczy kartka z notesu? — spytał Roy sięgając do kieszeni. Chwyciła podaną jej kartkę i ołówek.

Kai Hanfu, jestem ci niezmiernie wdzięczna za wiadomość! On żyje, a to jest najważniejsze! Rozpoznasz go po brązowych znamionach obok lewego ucha i pod prawym okiem. Jutro od rana nie ruszę się z domu i z niecierpliwością będę czekała na wiadomość.

Christa Hartung

Zwinęła kartkę i podała ją posłańcowi.

— To pilna przesyłka. Zanieś ją natychmiast twojemu panu. Chińczyk uklonił się nisko i zniknął, Christa zaś westchnęła z ulgą

i usiadła półprzytomna, nie zwracając w ogóle uwagi na wyczekujące spojrzenia zgromadzonych przy stole. Roy nie wytrzymał i spytał zdenerwowany:

— Nie powie nam pani, co tu się dzieje, Christo? Musimy wiedzieć, skoro chodzi o Roberta.

Popatrzyła na niego jak zbudzona ze snu i niespodziewanie dla wszystkich roześmiała się.

— Wcale nie musicie! Powiem wam jutro rano, obojętne, czy będzie to dobra, czy zła wiadomość.

Zarzucono ją natychmiast gradem pytań, ale ona milczała jak zaklęta.

XIII

Tej nocy nie zmrużyła oka, cały czas szamocząc się z myślami. Robert żyje, tylko czy Kai Hanfu się nie pomylił? Jego ludzie trafili na ślad chorego Europejczyka, wcale nie musi być nim Robert!

Rano niepokój Christy jeszcze się nasilił. Dochodziła dwunasta a żaden z posłańców Kai Hanfu się nie pokazywał. Zdawało się, że Christa oszaleje zamknięta w swoim pokoju.

Wreszcie zapukał lokaj i zawiadomił, że przyszedł ten sam człowiek co wczoraj i chce widzieć się z panią posiadającą pierścień.

Chińczyk przywitał się i bez słowa podał kopertę.

Gdy przeczytasz ten list, natychmiast poślij po lekarza, aby był już na miejscu, kiedy moi ludzie przyniosą chorego.

Twojego ukochanego próbowano otruć, na szczęście zdążyłem w ostatniej chwili. Dołączoną do listu kartkę daj lekarzowi, aby wiedział, jakie zastosować leczenie. Wśród ludzi, którzy przyniosą chorego, będzie mój stary sługa.

On odpowie na wszystkie twoje pytania. Ja, niestety, nie mogę pokazać się w twoim domu i zaklinam cię: nikomu nie zdradz, kim jestem! Moja moc polega głównie na tym, że nikt nie zna mojego nazwiska. Nie musisz mi dziękować, bo to ja jestem Ci wdzięczny za wiadomość od syna i za umożliwienie mi spotkania z nim. Dzisiejszej nocy przekażę bandytów kapłanom i przy tej okazji zobaczę się z synem. Życzę Ci szczęścia, cudzoziemko, jakiego tylko skromny wyznawca Buddy może życzyć osobie niewierzącej.

Kai Hanfu

Odłożyła kartkę i wybuchnęła ogromną radością.

— Jest uratowany! Zaraz tu będzie! Wielki Boże, dzięki, że zdążyliśmy z pomocą! Roy, szybko niech pan wezwie doktora Berga z niemieckiego konsulatu. Niech zaraz tu przyjdzie, gdyż Robert jest ciężko chory. Próbowano go otuć. Nie pytajcie teraz o nic więcej, później wszystko wyjaśnię.

Roy pobiegł do gabinetu, gdzie znajdował się aparat telefoniczny. Cały dom nagle został postawiony na nogi, a Christa nie musiała wreszcie udawać, że się nie denerwuje. Rzuciła się na szyję Marii.

— Tak się martwię, w jakim on jest stanie, Mario! Z tego listu wynika, że nie jest za późno na ratunek... Nie uwierzysz, ale w uratowaniu Roberta pomogła mi ta kartka od Hu Tuchtu!

— Co? Ten świstek papieru, z którego wszyscy żartowaliśmy? Roy i Werner Hartung czekali w gabinecie, wkrótce dołączył do nich

Max, który wezwany z hotelu zabrał po drodze doktora Berga.

Panowie nie potrafili objaśnić doktorowi, o co chodzi. Dopiero gdy Christa podała mu kartkę dołączoną do listu, starszy pan uśmiechnął się.

— Teraz wreszcie wiem, po co zostałem wezwany! Bez tych wskazówek nigdy nie domyśliłbym się przyczyny choroby.

Christa chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie usłyszała warkot podjeżdżającego pod dom samochodu.

Wszyscy rzucili się do wyjścia. Chińczyk z czerwoną szarfą na prawym ramieniu podszedł i spytał w pidgin-english.

— Czy mogę rozmawiać z kobietą posiadającą pierścień? Christa pokazała mu klejnot na palcu. Gonięc uklonił się, bez słowa

otworzył na oścież drzwi, przez które kilku Chińczyków pośpiesznie wniosło Roberta leżącego na noszach i nakrytego kolorową jedwabną chustą.

Stary Chińczyk skinął ręką; wszyscy zniknęli w mgnieniu oka. Został tylko on. Odsłonił chustę.

Robert wyglądał jak nieboszczyk. Na jego woskowo bladej twarzy nie było widać żadnego znaku życia. Stary sługa, widząc przerażenie w oczach Christy, dotknął delikatnie jej ramienia.

— On żyje, ale lekarz musi natychmiast zrobić to, co napisał mój pan.

Roy i Max chwycili w tym momencie nosze i bez pytania zanieśli je do sypialni Wenera. Lekarz ruszył za nimi. Gdy Christa chciała pobiec także, stary Chińczyk przytrzymał ją.

— Mój pan chce, żebyś nosiła jego pierścień, dopóki jesteś w naszym kraju. Tym sposobem wszyscy jesteście pod jego ochroną.

— Czy przed wyjazdem mogę oddać pierścień osobiście i jeszcze raz podziękować twojemu panu za pomoc?

— Mój pan nie mieszka już w domu, w którym z nim rozmawiałaś. Zawsze, gdy ktoś nie wtajemniczony tam trafi pan przenosi się do innego, a dokąd — informuje tylko tych, których chce — wyjaśnił stary sługa kłaniając się raz po raz.

— Opowiedz nam, proszę, gdzie i w jaki sposób odnaleźliście zaginionego.

Z krótkiego opowiadania wynikało, że do poszukiwań zaangażowano ogromną rzeszę ludzi, a obaj przestępcy zostali już przekazani w ręce sprawiedliwości.

— Powiedz twojemu panu, że będę mu niezmiernie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobił. Gdyby nie on, przez całe życie Chiny kojarzyłyby mi się z tragedią, której na szczęście udało się uniknąć — uściśnęła ramiona Chińczyka.

— Będą to pierwsze słowa, które jutro powiem mojemu panu. Teraz, jeżeli pozwolisz, pani, chciałbym już pójść.

Uśmiechnęła się, a starzec zniknął w mgnieniu oka. Zobaczywszy Roya i Maxa wychodzących z sypialni, zawołała:

— Jak on się czuje?

— Trudno powiedzieć, Christo — odpowiedział Max. — Trzeba poczekać, aż zacznie działać lekarstwo podane przez doktora Berga.

— Doktor nie potrzebuje pomocy przy pielęgnowaniu chorego?

— Na razie nie. Obiecał, że zawoła. — Usiedli w hallu, a Hartung powiedział:

— Nie uważasz, że już najwyższy czas wyjaśnić nam, jak udało ci się odnaleźć Roberta. Wprost nie mogę w to uwierzyć.

— Racja, tato. Posłuchajcie więc — zaczęła, jakby się trochę ociągając. — Pamiętacie tę kartkę, którą dostałam od Hu Tuchtu?

- Oczywiście, dziecko! Roy wyśmiał ją wtedy na wszystkie sposoby. Dlaczego nam o niej przypominasz?
- Bo to dzięki niej Robert Bredow jest teraz wśród nas!
- Co? Ty chyba z nas żartujesz!
- Nie mam najmniejszej ochoty na żarty, tato. Nie wiedząc, co ze sobą począć, przeglądałam pamiątki po Robercie i przypadkowo natknęłam się na tę kartkę. Roy wprawdzie wątpił w jej przydatność, ale postanowiłam posłuchać rady Hu Tuchtu. Szofer, gdy przeczytał treść, o mało nie upadł przede mną na kolana. Okazało się, że dostałam pozwolenie na rozmowę z ojcem samego Hu Tuchtu!
- To rzeczywiście niesamowite! — nie wytrzymał Max, który w napięciu słuchał każdego słowa.
- Jeszcze bardziej zdziwicie się, gdy wam powiem, że tego człowieka słucha cały Szanghaj! To jest, tato, ten starzec, o którym mówił ci książę.
- To brzmi jak bajka. I ty, dziewczyno, dotarłaś do tego człowieka?
- Dzięki tej karteczce! Była tam zaszyfrowana wskazówka, żeby okazielowi starzec pomógł pod każdym względem. Zrobił to bez wahania, tym chętniej, że opowiedziałam mu o jego ukochanym synu, którego nie widział od pięciu lat. Prawdę mówiąc, w uratowaniu Roberta pomógł nam Hu Tuchtu. Moich zasług nie ma w tym wcale, może tylko tyle, że zdecydowałam się wykorzystać tę kartkę, w której skuteczność wszyscy powątpiewaliśmy.
- Jak nazywa się ten wszechmocny człowiek?
- Prosił mnie o dyskrecję, więc chyba rozumiecie, że nie powiem wam nic więcej.
- Masz rację, Christo — poparła ją Maria uprzedzając ewentualne nalegania. — Co tam za listy trzymasz w ręku?
- Oj, zupełnie o nich zapomniałam! Dał mi je ten stary Chińczyk. Jego pan kazał mi dać te listy, by w mojej ojczyźnie posłużyły wymiarowi sprawiedliwości. Nie wiem, co miał na myśli. Może ktoś zechce rzucić okiem?
- Pani pozwoli, panno Hartung. Charakter pisma wydaje mi się dziwnie znajomy — krzyknął Max załamującym się głosem, wyraźnie zdenerwowany. Christa podała mu list. Szybko przerzucił jeden po drugim.

— Co za podłość, co za diabelskie wprost wyrachowanie! Ta kobieta nie ma w sobie cienia ludzkich uczuć! —
Wszyscy patrzyli zdumieni na wybuch złości spokojnego zazwyczaj Maxa.

— Mógłby nam pan wyjaśnić, o co chodzi?

— Tak, panie Hartung. Tej zbrodni nie można zataić, ale najpierw muszą zostać ukarani ci bandyci na miejscu.

— Mój starzec przekaze ich jeszcze dziś kapłanom — powiedziała Christa spokojnym tonem, choć także ledwo panowała nad sobą.

— Oj, to nie ma im czego zazdrościć! — wtrącił Roy. — Dla Chińczyka nie ma nic straszniejszego jak sąd kapłański. Wydaje on bardzo surowe wyroki, a skazany musi odpokutować ciężko każdą udowodnioną mu winę.

— Azjatyckie kary wydają nam się okrutne, ale są na swój sposób skuteczne i sprawiedliwe. Co jednak powinniśmy zrobić w sprawie macochy Roberta? — spytał Max, wyjaśniawszy zebranym rolę tej kobiety w spisku, który był główną przyczyną wyjazdu Roberta do Chin i zamiany nazwisk.

Słuchali z zapartym tchem, kręcąc czasami z niedowierzaniem głowami. Christa zaś odczuwała coś w rodzaju współczucia dla tej kobiety i próbowała zrozumieć motywy jej postępowania.

— Ona chyba nie jest przy zdrowych zmysłach! To chory człowiek i zamiast do sądu powinna trafić do zakładu psychiatrycznego!

— Zmieniłaby pani zdanie znając tę kobietę. Zachowuje się zupełnie normalnie, ale widać, że jest zaborcza, chciwa, a przy tym zawzięta i uparta. Dla Roberta poznanie prawdy będzie bardzo bolesne. Mimo nie najlepszych stosunków, zawsze dbał, aby macosze i przyrodniemu bratu niczego nie brakowało.

— Nie można by w jakiś sposób oszczędzić Robertowi przykrości? — spytała Christa. — Osłabiony po ciężkim zatruciu, będzie musiał uczestniczyć w wyczerpujących przesłuchaniach, procesie. Jak on to wytrzyma?

— Możemy mu nie mówić o niczym, dopóki jest tutaj, ale po powrocie do Niemiec, musi poznać prawdę. Zaraz zawiadomię konsulat, żeby aresztowano Kin Lunga, zanim łobuz zdąży uciec.

— Tak, ale wtedy pani Bredow zorientuje się, że jej plan się nie powiódł, i także czmychnie za granicę — trafnie zauważył Roy.

- Nie uda jej się! Złożę zastrzeżenie, że nie wolno jej wyjeżdżać z Niemiec do czasu naszego powrotu.
- Chodzi w końcu o podejrzenie o współudział w planowanym morderstwie, więc urzędnicy konsulatu najlepiej wiedzą, co należy zrobić — podsumował dyskusję Werner Hartung.

XIV

Na liście pasażerów „Oceany” opuszczającej port w Szanghaju znalazły się między innymi te oto nazwiska: Mr. Werner Hartung z córką Miss Maria Holm Mrs Daisy Sörensen Mr. Roy Harrison Mr. Max Rex Mr. Robert Bredow Werner Hartung stwierdził, że jego firma w Chinach działa już samodzielnie, więc może sobie pozwolić na dłuższą nieobecność i wreszcie odwiedzić ojczyznę.

Roy Harrison długo szukał jakiegoś rozsądnego powodu, by przekonać kierownictwo swojej firmy, że jego kolejny wyjazd do Niemiec jest absolutnie konieczny.

Max i Robert załatwili swoje interesy bez przeszkód, mogli więc spokojnie wrócić równocześnie.

Pod troskliwą opieką Christy i Marii zatruty organizm Roberta szybko wracał do formy. Nie bez znaczenia było też ściśle dostosowanie się lekarza do wskazówek podanych na kartce od Kai Hanfu. Można śmiało stwierdzić, że Robert przeżył dzięki temu starcowi. Christa opowiedziała mu, w jaki sposób trafiła do tego niezwykłego człowieka, jednak na usilną prośbę Maxa ani słowem nie zdradziła, czym kierował się Lu Lung w swoich zbrodniczych działaniach.

Robert wciąż był bardzo osłabiony i zwlekał z oficjalnymi oświadczeniami. Christa zresztą też wolała, żeby w tej ważnej chwili jej ukochany był znowu wesoły i w pełni sił jak przed wypadkami w Szanghaju.

Do wypłynięcia „Oceany” z portu pozostała jeszcze godzina. Stali wszyscy na pokładzie, rozmawiali, przyglądali się pasażerom wchodzącym na statek. Roy był w swoim żywiole. Podobnie jak w Bremie nie szczędził nikomu krytycznych uwag, z tą różnicą, że tym razem były jeszcze bardziej uszczypliwe.

Christa nagle wyłączyła się z rozmowy. Zdawało jej się, że wśród kręcących się po nabrzeżu Chińczyków jeden z czerwoną przepaską na ramieniu jest łudząco podobny do samego Kai Hanfu! Wyraźnie kogoś szukał. Przez moment Christa zawahała się; podejść do niego, czy poczekać, aż sam ją odnajdzie. Zanim podjęła decyzję, starzec dostojnie kroczył po trapie, wszedł na pokład i bez wahania zbliżył się do grupki pasażerów, wśród których stała Christa.

Uklonił się nisko i rzekł po angielsku.

— Przysłał mnie mój pan, gdyż sam nie mógł przybyć.

Christa zdumiała się rozpoznawszy Kai Hanfu bez żadnych wątpliwości, ale szybko zrozumiała, że nie chce on zdradzić swojej tożsamości.

— Jaką wiadomość przesyła mi twój pan?

— Prosi, abyś zwróciła mu pierścień, który ci pożyczył. Opuszczasz Chiny, więc nie będzie ci już potrzebny.

— Oto on — zdjęła klejnot z palca. — Powiedz twojemu panu, że będę mu wdzięczna do śmierci za to, co dla mnie zrobił.

— On nie przyjmuje żadnych podziękowań, gdyż to dzięki tobie, znów mógł spotkać się ze swoim synem. Dostał od niego prezent dla ciebie. Spoczywa na nim błogosławieństwo Wielkiego Buddy, nie możesz go odstępować nikomu

— mówiąc to, podał Chrście pięknie oszlifowany jaspis wielkości gołębiego jaja. Był to niezwykle drogocenny kamień, dorównujący wartością wielkim brylantom, które zwykle są ozdobą królewskich rodów.

— Nie mogę tego przyjąć. Jest niezwykle kosztowny — zawahała się.

— Musisz go przyjąć! Bez niego nigdy nie będziesz szczęśliwa, gdyż

Hu Tuchtu przelał nań całe swoje szczęście — dodał po cichu zawieszając złoty łańcuszek z kamieniem na szyję Christy. — Mój pan życzy ci również przyjemnej podróży. Na mnie już jednak czas.

— Pozdrów twojego pana ode mnie bardzo serdecznie!

Starzec uklonił się nisko i sprężystym krokiem opuścił pokład. Zaraz potem zdjęto trap i parowiec powoli odbijał od portowego nabrzeża. Chiński łódź ze swoimi tajemnicami zniknął stopniowo zasnuwając się mgłą.

Piękne, słoneczne dni przyniosły wszystkim zasłużony odpoczynek po burzliwych i tragicznych przeżyciach w Szanghaju. Morskie powietrze szczególnie posłużyło Robertowi. Z dnia na dzień czuł się lepiej i wkrótce wszyscy odzyskali dobry humor, jaki towarzyszył im w poprzedniej podróży. Prócz Roya...

— Bo traktowano go trochę jak piątę koło u wozu.

Błąkał się po pokładzie szukając, następnej ofiary swych żartów, gdy zauważył Roberta rozmawiającego z Christą. Była piękna, księżycowa noc, przyjemny chłodek zastąpił upał panujący w ciągu dnia, na pokładzie spacerowało niewiele osób. Robert miał zupełnie inne plany na tak cudowny wieczór niż te, z którymi przyszedł Roy.

— Nie mógłbyś znaleźć sobie innego miejsca, Roy? We troje na tej ławce będzie nam zdecydowanie za ciasno — burknął Robert.

— Aj! Znowu komuś nadepnałem na odcisk. Przepraszam pokornie, już się zwijam! — zrobił głupią minę i oddalił się.

— No, wreszcie coś dotarło do tego natręta! — Robert odetchnął z ulgą.

— Aż tak przeszkadza ci ten sympatyczny chłopiec, Robercie?

— Dziwisz się? — wziął jej rękę i pocałował kolejny raz. — Chcę wreszcie usłyszeć twoją odpowiedź, a ciągle ktoś nam przeszkadza.

— Przecież już ją znasz! — zaśmiała się.

— A jednak chciałbym ją usłyszeć.

— Wiesz, co Roy powiedziałby słysząc cię teraz?

— „Kto za wiele pyta, wiele traci!”

— No właśnie!

— Rozumiem, że mam nie pytać — i zanim zdążyła odpowiedzieć, podniósł się i pocałował ją w usta, potem włosy, ramiona i znowu w usta.

Nie bronila się. W przerwie zdążyła tylko szepnąć: — Nie mogę złapać powietrza!

— A po co ci powietrze?! Nie wystarczą ci moje pocałunki? Nie przestanę, dopóki nie usłyszę odpowiedzi! — dodał i znowu wziął ją w objęcia.

— Jak mam ci odpowiedzieć, skoro cały czas zamykasz mi usta?

— zdążyła wyszeptać.

— Mów szybko. Daję ci pięć sekund!

Wykorzystała chwilę nieuwagi i wymknęła mu się z rąk. Zdążył ją jednak złapać.

— Stój, zdrajczyni! Czy tak zachowuje się ktoś, kto kocha?

— Nie, ale ktoś, kto pada ze zmęczenia. Jest już po północy

— wyszeptała, zanim nie porwał jej w ramiona i znowu zaczął całować.

— Robert, puść mnie, proszę!

— Ani mi się śni! Tak długo czekałem na tę chwilę, a ty teraz chcesz uciec bez ważnego powodu.

— Uznaj, że ogromne zmęczenie jest jednak ważnym powodem.

— Wybacz, kochanie, nie pomyślałem o tym. Pozwól, że pocałuję cię jeszcze raz, bo musi mi to starczyć do rana — wziął ją w ramiona, pocałował i powoli odprowadził do drzwi jej kabiny. Stali jeszcze chwilę, ale wszystko ma swój kres, więc także ich pożegnanie musiało kiedyś się skończyć.

Roy szedł słabo oświetlonym korytarzem, klnąc pod nosem na Roberta, który przepędził go bezceremonialnie, chociaż jemu nie chodziło o nic więcej, jak tylko o chwilę rozmowy przed snem. Kto to widział, żeby dorosły mężczyzna dał tak się otumanić i poza miłością, niczego już na tym świecie nie widzieć? Żeby już słowa z takim nie można było zamienić? — Roy rozzłościł się na poważnie.

— Jak można się tak zakochać? Łażą z sobą, jakby się pogubili. To nie dla mnie taka zabawa! A "tam co znowu?! — zdziwił się słysząc odgłosy dochodzące z ciemności. — Toż to pocałunki! Najprawdziwsze niemieckie pocałunki.

Kogóż to tym razem wzięło? No nie! Mój przyjaciel Rex i panna Maria... To chyba jednak nie oni tak cmokają

— zwątpił i bez chwili namysłu podbiegł do stojącej w głębokim cieniu

pary. Max i Maria zareagowali jak przyłapani na brojeniu dzieci. Czujne ucho Roya wyraźnie wychwyciło ostatnie zdanie Maxa:

— Co za licho niesie tu tego smarkacza?!

Roy pominął tę uwagę milczeniem, ukłonił się nisko z rozpromienioną miną.

— Dobry wieczór państwu! Przyjemny wieczór mamy dzisiaj wieczoru, nieprawdaż?

— Prawdaż, i co z tego? — burknął Max, wcale nie okazując rozbawienia i ochoty do rozmowy.

— Co was dzisiaj wszystkich pokąsało? Warczą i warczą! Ty też, Mario, jesteś dziś bojowo nastawiona?

— Skąd przyszło ci to do głowy?! Rozmawialiśmy tu sobie spokojnie, a ty twierdzisz że mamy złe humory.

— Hm, prawdę mówiąc, żadnej rozmowy nie słyszałem, ale co mnie to obchodzi? Najgorsze, że nikt dziś nie ma dla mnie czasu.

— Idź do Roberta.

— O naiwni! Właśnie mnie przepędzili! W sposób nieco grzeczniej-szy niż wy, ale też dał mi do zrozumienia, że moja obecność jest mu absolutnie zbędna. I tak się tułam, jak ta błędna owca.

— Czujesz się obrażony?

— Och, nie! Jest mi tylko smutno!

— Współczuję, ale jedyną radą, którą mogę ci służyć, to ta, żebyś poszukał sobie towarzystwa, gdzie nie będziesz przeszkadzał — rzekł Max, odwrócił Roya w kierunku wyjścia i popchnął go delikatnie. — Idź chłopcze, i dziś raczej nie pokazuj mi się na oczy!

— Biedny Roy, zanim zorientował się, co go spotkało, znów był sam na pokładzie. Zły jak diabeł, powlókł się do swojej kabiny, położył na łóżku i nie rozbierając się przeleżał do rana.

Nie słyszał więc perlistego śmiechu Marii.

— Naprawdę, dawno się tak nie ubawiłam! Widok zakłopotanego Roya to rzadkość! — Max jednak najwyraźniej nie miał ochoty rozmawiać o intruzie i bez chwili zwłoki powrócił do zajęcia, które mu przerwano, a mianowicie do studiowania delikatnych warg Marii. Wszystko wskazywało na to, że zanosi się na długie i żmudne studia. Student ciągle nie był zadowolony z rezultatu, więc uparcie powtarzał materiał, a i tak nie było żadnych szans, że skończy dziś wieczorem.

Zrobił krótką przerwę, aby dać Marii także okazję do wypowiedzenia się na zadany temat. I wyraziła się: trzeba powtórzyć!

Do tego akurat Maxa nie trzeba było namawiać. Jednak trzecia powtórka spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem obiektu badań.

— Proszę cię, musimy także porozmawiać.

— Tak? Musimy? A o czym to?

— Nic jeszcze nie powiedziałaś, co teraz zamierzasz....

— Wiesz dobrze, co teraz zamierzam! — przerwał jej chcąc znowu pocałować.

— Co zamierzasz robić? — zdążyła wtrącić.

— Z czym?

— Ze mną... ze sobą!

— Z tobą? Wyrzucę cię zaraz za burzę, jeśli nie domyślasz się, co chcę z tobą zrobić. Na wszelki wypadek powiem ci, że chcę się z tobą ożenić!

— Przed wyrzuceniem za burzę, czy po? — zaśmiała się tak uroczo, że Max najpierw musiał ją pocałować, zanim odpowiedział.

— Absurdalne pytanie! Powiedz mi lepiej, od kiedy już mnie kochasz?

— To jeszcze ci nie mówiłam?

— No nie! Panna Holm całuje się z mężczyznami, którym nie mówi, że kocha!

— A musi od razu wyklądać kawę na ławę?

— Musi!

— Trudno. Kocham cię od pierwszego wejrzenia, tylko wtedy myślałam, że ja, biedna nauczycielka, nie mam żadnych szans u króla nadreńskiej stali. Musieli cię porwać Chińczycy, by moje marzenia okazały się odrobinę realne. — Mario, skarbie! A czyja nie przechodziłem podobnych katuszy? Wyobrażasz sobie, co czułem, gdy dowiedziałem się, że nie jesteś córką Hartunga? Chciałem od razu krzyknąć: Proszę pani! Ja jestem biedny jak mysz kościelna, zupełnie tak sarno jak pani. Pobierzmy się i połączmy nasze biedy! — Ale nie mogłem jeszcze mówić. Powiedz, najdroższa, bardzo się martwiłaś, gdy zostałem porwany?

— Och, Max! Nawet mi nie przypominaj tych najstraszniejszych godzin w moim życiu! Dla ciebie gotowa byłam przewrócić całe miasto

do góry nogami, a musiałam czekać beczynn timer, żeby nie pomieszać planów Royowi. — Maria przytuliła się, jakby jeszcze czuła strach.

— To już mamy za sobą, kochanie. Ten miły chłopiec odnalazł mnie, zanim ci bandyci zdążyli zrobić mi coś złego.

— Wiesz, że od tamtego czasu lubię Roya znacznie bardziej? Jego specyficzny humor od razu przypadł mi do serca i trudno go będzie wykorzezić.

— Jeżeli zostawiłaś tam dość miejsca dla mnie, nie będę zazdrosny, ale gdy zrobi się zbyt tłoczno, mister Harrison musi się wynosić!

— Starczy miejsca dla obu, o to się nie martw.

— Brzmi to pocieszająco.

Rozmowa musiała skończyć się pocałunkiem, skoro odbyła się właściwie w przerwie w zajęciach.

Następnego ranka telegrafista przekazał Maxowi depeszę nadesłaną z Duisburga:

Podczas aresztowania Kin Lunga pani Bredow zastrzeliła się. Powód jeszcze nieznan. Chińczyk w areszcie śledczym do waszego powrotu.

Max, ogromnie przejęty, pokazał telegram Royowi.

— To straszne, nie uważasz?

— Nie uważam, Rex! Ta kobieta zrobiła, co należało. Zaoszczędziła wam wielu kłopotów, przede wszystkim procesu w rodzinie, który dla Bredowa byłby ogromnie krępujący. Teraz można mu wreszcie wyjaśnić całą sprawę, gdyż biedak do dziś nie wie, dlaczego Chińczycy chcieli go otruć.

— Zaraz mu wszystko wyjaśnię. Na pewno nie wiesz, ale on wczoraj wieczorem zdążył się zaręczyć!

— A co to? Masz mnie za półgłówka? Ja dobrze słyszę, co w trawie piszczy, nawet na pełnym morzu!

— Tak? Ale o drugich zaręczynach na pewno jeszcze nie słyszałeś.

— Skądże! Nikomu przecież do głowy by nie przyszło, że ty i Maria się zaręczycie!

— Więc jednak wiedziałeś?

— Stary! Roy Harrison wie wszystko i z tym trzeba się pogodzić!

Swoją drogą, ty i maharadza od maszyn do pisania sprzątnęliście najładniejsze dziewczyny pod słońcem. Mądre, ładne i gotowe palnąć każde głupstwo — słowem: wspaniałe! Wierz mi, w moich ustach to największe pochlebstwo, na jakie mnie stać.

Roy złożył mu szczerze gratulacje i poszedł do szwagra, który po wypłynięciu „Oceany” z Bombaju wyraźnie trzymał się na osobności. Siedział w swojej kabine, naburmuszony, jak zawsze gdy dręczyły go wyrzuty sumienia. Tym razem ich powodem mogła być śliczna Angielka, która dosiadła się na pokład w towarzystwie głuchej jak pień damy do towarzystwa.

Kurt obiecywał sobie solennie, że w czasie tej podróży, gdy na statku znów płynęła żona i, co gorsza — szwagier, nie da się sprowokować żadnej damie. Cóż, pokusa, która zjawiała się w Bombaju była zbyt śliczna. Teraz Kurtowi pozostało już tylko modlić się do wszystkich swoich bogów, żeby przypadkiem szwagier nie wpadł na ślad jego chwili słabości. Takich próśb jednak żaden bóg nie wysłuchuje z radością i Roy ledwo wszedł do kabiny Kurta, już wyczuł, że coś wisi w powietrzu. Wreszcie sobie użyje!

— Kurciu, złociutki, jak się dziś czujesz?

— Nienajgorzej, stary! — odparł jak mógł najweselej.

— Tak? A to dziwne!

— Niby czemu? — wymamrotał Kurt, jakby żuł gumę.

— Wróble ćwierkają, że niepokój zagnieździł się w twojej biednej duszy.

— A niech cię...!

— Diabli porwą! Ulżyj sobie, szwagierku!

— Ciebie i twoje wróble! Co za cholerna plotkara musiała akurat tobie wyśpiewać całą sprawę!

— To jest jakaś sprawa?

— Nie udawaj niewiniątka, skoro już wiesz o wszystkim.

— A powiesz mi, co jiiiby wiem, złociutki? — spytał stukając z zadowolenia czubkami butów.

— Do cholery! Czy to aż taki grzech raz pocałować śliczną dziewczynę w czasie tańca, czy spaceru w księżycową noc?

— Grzech raczej nie, ale na pewno jest to głupota, bo wszystko wyśpiewałeś, choć wcale nie pytałem.

— Jak to? Myślałem, że wiesz! — wyjąkał Kurt zdziwiony.

— Nic nie wiedziałem, ale czy mogłem ci przerywać, kiedy tak pięknie opowiadałeś?

— Ależ ze mnie osioł! — Kurt huknął się z całej siły w czoło.

— Przez grzeczność nie zaprzeczę. Zrób mi jednak przysługę, stary i nie opowiadaj Daisy o swoich podbojach, bo znów wpadnę w bryndzę jak podczas poprzedniej podróży.

— Też nie miałbym o czym opowiadać! Przecież to błahostki...

— Przestań, Kurt! Nie opowiadaj, że pocałunki dla ciebie to błahostki. Robisz wszystko z ogromnym zaangażowaniem i to u ciebie cenię najbardziej.

Roy poklepał szwagra z rozmachem po ramieniu i śmiał się do rozpuku. Kurt zaś patrzył z niedowierzaniem.

— Cholera, nigdy nie wiem, kiedy mówisz poważnie, a kiedy żartujesz!

— Nie przejmuj się, Kurciu! Przekonałem się, że tak naprawdę to ty Daisy nie zdradziłeś, a drobnych flircików potrzebujesz jedynie do podtrzymania dobrego nastroju. W końcu Daisy ma to, na co zasługuje! Dlaczego chodzi spać z kurami? Puszczą takiego przystojnego chłopaka samego i myśli, że on będzie bał się starych ciotek do towarzystwa? Mam rację, czy nie?

— Stary, niech cię diabli porwą! — Kurt wreszcie uwierzył, że szwagier stanął po jego stronie i odetchnął z ulgą, gdy został sam. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie da się wciągnąć w żaden flirt, no... przynajmniej do następnego razu. Max w tym czasie wyjaśnił Robertowi i Chrście wszystko, co dotychczas było dla nich tajemnicą. Powiedział o spisku macochy i o jej samobójstwie. Skoro nic nie zagrażało już jego szczęściu, Robert nie przejął się specjalnie tą wiadomością i wkrótce nikt nie wracał do tego tematu.

W Hamburgu opuściły pokład dwie pary narzeczonych, jeden dręczony wyrzutami sumienia kapitan, jego niezłomnie wierna małżonka, teść maharadży od maszyn do pisania i traktujący wszystko z góry Roy. „Oceana” odetchnęła z ulgą, pozbywszy się wreszcie uciążliwego balastu.